

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/95

1955



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

P. HOSTOWIEC:

KONFERENCJA CZTERECH W GENEWIE

Z. ZAREMBA:

KOMUNIZM PRZY DRZWIACH OTWARTYCH

WINCENTY WITOS: **PAMIĘTNIKI**

SPIS RZECZY

André Malraux :	<i>List do Redakcji „Kultury”</i>	3
—	<i>Dalsze wpłaty na dom „Kultury”</i> ..	5
Paweł Hostowiec :	<i>Konferencja Czterech w Genewie</i> ..	7
Zygmunt Zaremba :	<i>Komunizm przy drzwiach otwartych</i> ..	19
Stanisław Zarzewski :	<i>Które z przemian w Polsce są odwracalne ? (II)</i>	29



Heinrich Böll :	<i>Pociąg nie miał spóźnienia (2)</i>	52
Zofia Romanowiczowa :	<i>Kilka pieśni trubadurów</i>	69

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>Stos pacierzowy</i>	81
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	87

K R A J

Z. Jordan :	<i>Bunt intelektualisty</i>	92
Radio Kraj :	<i>Zbigniew Florczak namawia do powrotu</i>	102
Marian Pankowski :	<i>Odpowiedź Florczakowi</i>	104

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Wincenty Witos :	<i>Fragmenty z Pamiętnika</i>	107
------------------	-------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

—	<i>Kongres Pen-Clubu w Wiedniu</i> ..	129
---	---------------------------------------	-----

K S I A Ż K I

KAJ :	<i>Mandaryni, komunizm, koegzystencja</i> ..	132
(av) :	<i>Książki ukraińskie</i>	142
Stanisław Westfal :	<i>Słownik wyrazów obcych</i>	146
(j) :	<i>Przegląd czasopism</i>	147



A. Bobkowski, J. Pawlikowski, J. Horzeński, B. A. Wysocki, S. Ginwitt, V. Star, Z. Siekiel-Zdzienicki :	<i>Listy do Redakcji</i>	150
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Wrzesień-Septembre** **1955**

INSTYTUT



LITERACKI

NAGRODA LITERACKA "KULTURY" NA 1955

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na nagrodę „Kultury” 1955 upływa 31 października br.

ANKIETA O WYPRAWIE KIJOWSKIEJ

Ankieta na temat wyprawy kijowskiej, ogłoszona w numerze majowym (5/91) „Kultury” została zamknięta. Nadestane wypowiedzi zostaną omówione w numerze listopadowym.

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Redakcja „Kultury” poszukuje do swej biblioteki książek polskich wydanych przed wrześniem 1939 oraz kompletów pism, zarówno przedwojennych jak i wychodzących w okresie wojny. W pierwszym rzędzie:

W DRODZE (tygodnik wychodzący w czasie wojny w Jeruzolimie);

TYGODNIK POLSKI (wychodzący w czasie wojny w Nowym Yorku);

POLSKA WALCZĄCA (Londyn);

SALAMANDRA (miesięcznik Żołnierzy I-ej Dywizji Pancerniej).

SPROSTOWANIE

W artykule Józefa Wittlina pt. „Jeszcze pro domo mea”, zamieszczonym w numerze 7/93-8/94 „Kultury” wydrukowano błędnie na stronie 221 wiersz 4. od dołu (w przypisie):

„Krzywiono się wadliwą jakoby kompozycją. ...” Powinno być:

„Krzywiono się na wadliwą jakoby kompozycję. ...”

Na str. 224, w polskiej transkrypcji greckich słów, (wiersz 10 i w. 11 od góry) dwukrotnie zamiast: *erkos* powinno być *herkos*.

Do Redakcji "Kultury"

Drodzy przyjaciele,

Doświadczenie któregośmy nie zapomnieli, pozwala nam od razu i po bratersku rozpoznać w „Kulturze” pismo okupowanego kraju”.

Macie słuszość mówiąc, że w boju, jaki prowadzicie jesteście grupą tak samotną, jak samotny jest każdy kto mówi „Nie” zwycięskiej przemocy; ta względna samotność stanowi cenę tego co uzasadniona wasza duma ma prawo uznać za waszą niezależność moralną, polityczną i materialną. Że „Kultura” musiała opuścić dom, w którym na przeciąg siedmiu lat znalazła schronienie — wydaje się być tego gwarancją; pomoc, z jaką się spotykacie, od Szwecji po Amerykę Łacińską — wydaje się nią być również, właśnie dlatego, że pomoc ta nie wystarcza. Mniejsza o to: gwarancją „Kultury” jest każdy jej numer.

Jeżeli świat niedostatecznie rozumie wasz dramat, dzieje się to, wydaje mi się, przede wszystkim dlatego, że uważa on kulturę polską za kulturę słowiańską, pokrewną kulturze rosyjskiej. Zapominając, że choć istnieje geniusz rosyjski, nie istnieje kultura rosyjska w tym sensie w jakim mówi się o kulturze narodów zachodnich; raczej więc, skomplikowana i dwuznaczna, z Bizancjum; i że kultura polska, związana ze światem łacińskim jest jedną z kultur Zachodu. Stąd okupacja kulturalna (a nie więc kulturalna!) która ciąży wam na równi z dosłowną okupacją. Stąd sens historyczny waszej akcji intelektualnej.

Nie broniąc Polski ani w imię traktatu wersalskiego, ani w imię kapitalizmu, bo odrzucacie i jedno i drugie, wskazując na głęboką niesprawiedliwość społeczną, której wasz kraj w imię

sprawiedliwości społecznej stał się ofiarą, broniąc wolności tworzenia przeciwko okupacji, jaką wam narzucano, tak jak my jej broniliśmy zarówno przeciwko nazizmowi jak przeciwko Niemcom, jesteście razem z tymi, którzy, pomiędzy 1940 i 1944, bronili wszelkiej wolności, podobnie jak tylu innych broniło jej dawniej. Wysyłacie potajemnie do Polski książkę Orwella, a nie książkę doktrynera, podobnie jak nasi republikanie wysyłali do Francji „Châtiments” w wydrążonych popiersiach Napoleona III-go. I bez wątpienia czas aby Zachód zrozumiał, że jest z wami złączony, ponieważ wszelki opór jest kwestią wytrwania a pogotowie bojowe wymaga siły ducha.

André MALRAUX

DALSZE WPLĄTY NA DOM „KULTURY”

Michał Borysewicz, San José, Calif. (USA)	300 fr.
Antoni Kurdziel, Niagara Falls, N.Y. (USA) po raz drugi ..	1.750 "
George Kurpiel-Łękawski, Trona, Calif. (USA)	1.750 "
Julian Rżóska, Khartoum (Sudan)	1.000 "
Tomira Witkowska, Lyme, N.H., USA	1.400 "
Ryszard Witkowski, Caracas (Wenezuela)	2.000 "
Józef Rzepecki, Caracas (Wenezuela)	1.000 "
St. Chromiński, Mount Park, Vic. (Australia)	1.000 "
Jan Walczak, Long Island City, N.Y. (USA)	1.750 "
Anonimowo (USA)	5.000 "
Inż. Jan Pożaryski, Sharon, Pa (USA)	3.500 "
Carinia, Co, Sydney (Australia)	16.000 "
Pp. M. Kulakowscy, Sydney (Australia)	8.000 "
Lech Krysiwicz, Montreal (Kanada), zebrane przez siebie w fabryce	5.000 "
O. L.	1.750 "
W. Kulski, West Parth, W.A. (Australia)	1.000 "
Anita Russel, Colombo (Ceylon)	2.000 "
Stan. L. Opolski, Toronto, Ont. (Kanada), ponownie	2.000 "
Wiktor Skiba, Detroit, Mich. (USA), ponownie	1.000 "
Stanisław Merlo, Bruksela (Belgia)	1.000 "
Józef Pokorny, Montreal (Kanada) po raz trzeci	500 "

Dalsze wpłaty przekazane przez Kolonię Polską w Brazylii na ręce naszej przedstawicielki w Rio de Janeiro: Krystyna Wawelberg — 200 crs., Lincoln Nodari — 500 crs., J. Hewrych — 1.000 crs., Maia Osser — 200 crs., Wanda Łabanowska — 250 crs., Distribuidores Unidos — 10.000 crs., Andrzej Rey — 1.000 crs oraz Zygmunt Haar „Dla uczczenia pamięci mego Zmarłego Brata, Leopolda Haara, któremu „Kultura” zawsze była tak bliska” — 500 crs, razem

13.650 crs

Kwoty zebrane wśród Polonii Argentynskiej i przekazane na ręce naszego przedstawiciela w Buenos Aires: Z.A.T.A., Buenos Aires — 1.750 peso, Nina i Czesław F., Buenos Aires — 500 peso, pp. Łaszewscy — 65 peso, p. Michniewicz — 65 peso, „Mewa”, San Isidro — 300 peso, C.R. Banach i J. Stasiewicz — F-ca wyrobów z plastyku w Buenos Aires — 500 peso, inż. August Nieniewski — 200 peso, „Cegielka” im. śp. Józefa Machnika — 1.500 peso oraz Klub Polski w Buenos Aires — ponownie 325 peso, razem

5.155 p.

Związek Polaków w Maracay (Wenezuela) zrzeszający rodaków z Valencji i Puerto Cabello — po uroczystej Akademii z okazji 35-lecia Cudu nad Wisłą — zebrał wśród swoich członków i gości z Caracas na dom „Kultury” kwotę

30.000 fr.

Ofiarodawcami są: 1) Ojciec Bonaventura, duszpasterz Polonii; 2) Stanisław Dłużniewski; 3) Adam P. Góralski; 4) Jarosław Górski; 5) Zbigniew Górski; 6) Antoni Kurowski; 7) Hipolit Mickiewicz; 8) Arkadiusz Miller; 9) J. Niebrzydowski; 10) J.A. Nowak; 11) Jerzy Puternicki; 12) Aleksander Rudzki; 13) Stanisław Sowiński; 14) Dr Wacław Szumkowski; 15) W. Tarka; 16) Dr Roman Turowski.

Polonia w Caracas (Wenezuela) nadesłała na dom „Kultury” łącznie kwotę 170.000 fr.
Na sumę tę składają się następujące ofiary: Henryk Ginter — Bs. 100; Bogdan Płończak — Bs. 50; Władysław Filek — Bs. 50; Dr Eugeniusz Gerulewicz — Bs. 50; Bartnicki — Bs. 10; Andrzej Wasowski — Bs. 100; E. Ginter — Bs. 100; M. Sztunke — Bs. 10; Stanley Steyer — Bs. 10; Chrościechowski (inż.) — Bs. 20; Piotr Marszewski — Bs. 20; G. Sochowski (?) — Bs. 20; Janusz Machnowski — Bs. 330; Jarosław Górski — Bs. 300; Dr S. Świetlicki — Bs. 40; R. Dobrzyński — Bs. 50; Jarosław Konopnicki — Bs. 200; razem: 1.460 Bs.

Adolf Broda, Tumut Pond via Cooma N.S.W. (Australia) .. 11.000 fr.

DZIĘKUJEMY

MASZ KŁOPOT — CO WYSYLAĆ DO KRAJU???

doradzi i załatwi skutecznie

Największy Polski Dom Wysyłkowy na uchodźstwie

TAZAB Ltd.

TAZAB HOUSE

22 Roland Gds., London (England) S.W.7.

Telefon: FRE. 5676 i 7611.

Doświadczenie oparte na masowej wysyłce paczek z
MEDYCYNĄ — ŻYWNOŚCIĄ — TEKSTYLIAMI
pozwala na możliwie ścisłą ocenę cen i potrzeb
rynku krajowego.

Współpracując z TAZABEM otrzymujesz solidną obsługę i wszystkie informacje co się w danej chwili oplaca wysłać do poszczególnej miejscowości, a zatem masz zapewnioną
NAJWIĘKSZĄ POMOC — NAJMNIEJSZYM KOSZTEM.

Obszerne cenniki towarowe i medyczne
wysyłamy bezpłatnie na każde żądanie.

Konferencja Czterech w Genewie

ZMIANY KLIMATU GENEWSKIEGO

W dziedzinie „odprężen” międzynarodowych Genewa posiada niemalą tradycję. Przez blisko dwadzieścia lat obradowała tu Liga Narodów. Każde zebranie jej Zgromadzenia lub Rady przynosiło jakieś zażegnanie lub przynajmniej odroczenie grożących konfliktów. Mówiono nawet o szczególnym „klimacie genewskim”.

Jeżeli, jak sądzą niektórzy, doświadczenia z bombami atomowymi wpłynęły ujemnie na klimat Europy, zmiany te nie są może nigdzie tak widoczne jak w Genewie.

Na czym bowiem polegał „klimat genewski” w latach międzywojennych?

Za wszystkich czasów istniały wielkie mocarstwa, oddzielone od mniejszych sztywnymi zasadami w rodzaju np. często wzmiankowanej w dawnych gazetach „zasady kompensacji”. Ta ostatnia polegała na tym, że gdy jedno z wielkich mocarstw okupowało zbrojnie jakiś kraj, inne wielkie mocarstwa okupowały natychmiast ze swej strony upatrzone poprzednio kraje, tytułem, jak mówiono, kompensaty za rozszerzenie się terytorialne pierwszego mocarstwa. Liga Narodów, powstała po pierwszej wojnie z inicjatywy prezydenta Wilsona, zastąpiła ten porządek innym, opartym na prawach wszystkich ludów do niepodległości. Dla przykładu podzielono Austro-Węgry i część imperium rosyjskiego, przywracając niepodległość narodom nieraz od wieków jej pozbawionym. Nowy porządek nie dogadzał „wielkim”, ale, raz ustalony, zmuszał je, przynajmniej w Genewie, do zachowywania pozorów. Głosy na sejmie genewskim były równe, i dla przeprowadzenia swych projektów wielcy musieli kaptować wota małych, dzięki czemu nawet poza Genewą musieli się powstrzymać od wysyłania im ultimatów i urządzania przed ich drzwiami ulubionych dawniej demonstracji floty. Stąd powstał

ów sławny „klimat genewski”. W małej republice nad jeziorem wilki uśmiechały się do jagniąt, lisy kokietowały kurczętą, a grzejący się na słońcu boa dusiciel rzucał od czasu do czasu jakieś słówko dla rozśmieszenia królików.

W tym rajskim klimacie, przypominającym raczej złoty wiek niż epokę pary i elektryczności, nawet szef rządu tak małego kraju jak Dania mógł czuć się jak u siebie w domu. W sobotę wieczorem Stauning zasiadał w kawiarni Bawarii przy szklance herbaty z rumem, w której było coraz mniej herbaty, a coraz więcej rumu, jeżeli zaś znalazła się stosowna kompania, intonował basem pieśń marynarzy. Już wówczas, w początku dwudziestych lat, Stauning miewał czarne przewidywania. Sądził że Dania, położona w zasięgu sił zbrojnych Niemiec, Anglii i Rosji, nie potrafi bronić swej niepodległości i że w tej sytuacji najrozsądniej byłoby, dla uniknięcia rozlewu krwi, znieść armię, sprzedać statki wojenne i zburzyć fortyfikacje. Wspominam go tu jako pierwszego prekursora dzisiejszego neutralizmu. Zdawało się jednak, że złe przeczucia opuszczały go w Genewie.

Ponieważ Stany Zjednoczone odwróciły się od Ligi, mocarstwa europejskie uważały ją za twór tymczasowy i nie kwapły się z budową dla niej stałej siedziby. Przez długie lata przedstawiciele czterdziestu kilku krajów obradowali w skromnych pomieszczeniach. Zgromadzenie ogólne zasiadało w tzw. Salle de Réformation, starym budynku o drewnianym stropie, podobnym do młyna wypróbnionego z młynarskich urządzeń. Rada Ligi i komisje zbierały się w dawnych salonach i restauracji hotelu National, gdzie mieścił się sekretariat Ligi. Wszystkie obrady były publiczne. Kto chciał mógł się im przysłuchiwać. Salle de Réformation miała dla publiczności obszerną galerię. W Nationalu żadne bariery ani kordony nie dzieliły publiczności od delegatów. Nikt nie legitymował wchodzących.

Nie wszystkie ludy były jednakowo zadowolone z porządku ustalonego po pierwszej wojnie światowej. Ukraińcy, ludy Kaukazu, mieszkańcy terytoriów mandatowych, jak również mniejszości narodowe państw należących do Ligi wysyłały do Genewy delegatów nieoficjalnych, składających sekretariatowi i delegatom mocarstw memoriały i zażalenia. Obecność tych nieoficjalnych delegatów, najczęściej emigrantów, należała do klimatu genewskiego; nikt nie przeszkadzał ich działalności. Mogąc poruszać się swobodnie, składać wizyty i memoriały, przedstawiciele narodów i grup niezadowolonych nie rzucali z galerii ulotek, nie przerywali obrad antypaństwowymi okrzykami ani nie dumali posepnie nad nabitym rewolwerem. Niejasności dotyczące kompetencji i możliwości praktycznych Ligi zostawiały wszystkim pewną nadzieję, uczucie łagodzące obyczaje i powstrzymujące od tragicznych decyzji.

Dla tych przyczyn nie czuć było w Genewie nadzoru policyjnego, do którego cudzoziemcy przyjeżdżający w związku z obradami Ligi nie dawali powodu. Jedynym przedstawicielem władzy, jakiego pamiętam z tych lat w Genewie, był policjant w pa-

radnym mundurze i białych rękawiczkach, regulujący ruch na zbiegu rue du Rhône i Corraterie.

Odległości w Genewie są niewielkie; większość ministrów spraw zagranicznych, przyjeżdżających we wrześniu na Zgromadzenie ogólne, udawała się na posiedzenia pieszo. Wielu jeździło z jednego brzegu zatoki na drugi w motorówkach zwanych „mouettes genevoises”, spełniających rolę wodnego tramwaju. Każdy nowo przybywający dygnitarz pozował dwum świetnym karykaturzystom węgierskim, Kellenowi i Derső, których rysunki zdobią częściowo dotąd ściany Bawarii.

Klimat ten trwał w Genewie przez kilkanaście lat. Wreszcie jednak utrzymywanie pozorów równości sprzyrzyło się „wielkim”. Nadszedł dzień, gdy król Abisynii, wypędzony z kraju przez wojska Mussoliniego, ukazał się w Genewie nie w fotelu delegata lecz na galerii dla publiczności, po czym został wydany przez policję z granic Szwajcarii. Był to koniec pozorów i klimatów. „Wielcy” ujęli sprawy w własne ręce, zaczęli zjeżdżać się gdzie indziej, w Godesbergu, Monachium itd. Wkrótce potem przyszedł koniec Europy.

Wojna położyła kres działalności międzynarodowych organizacji. Genewa wyludniła się; tysiące mieszkań i całe nowe dzielnice stały pustką.

Minął długi szereg lat. Organizacja Zjednoczonych Narodów odziedziczyła w Genewie po Lidzie wielki, wzniesiony na krótko przed wojną budynek, do którego zaczęła przenosić z New Yorku swe mniej ważne agendy. W mieście pojawiły się znów setki, potem tysiące międzynarodowych urzędników. Dla przyjezdnych honoratorów zbudowano nowy hotel nad brzegiem Rodanu. Sprawy dyskutowane w Genewie były jednak podrzędne, streszczane zaledwie petitem na dalszych stronicach gazet. Na pierwsze stronicie Genewa wróciła dopiero w roku ubiegłym, z okazji konferencji indochińskiej.

Wówczas to ujawniły się pierwsze rysy nowego klimatu genewskiego. Z jednej strony była to płynność i niejasność pertraktacji: nikt prócz wtajemniczonych nie wie dotąd jaką grę prowadzi mocarstwa w tej części Azji, ani jaki będzie los ludów zamieszkujących Indochiny. Z drugiej strony uderzał strach uczestników o ich cenne życie i mobilizacja wielkiego aparatu policyjnego. Do Genewy przysłano cały pułk żołnierzy i ściągnięto rezerwy policji z całej Szwajcarii. Domy zajmowane przez niektóre delegacje otoczono zasięgami z drutu. Zamieszkałych w Szwajcarii emigrantów przoszono, aby bez ważnych powodów nie jeździli do Genewy i nie utrudniali nadzoru.

Wszystkie te nowości wydawały się zrazu zjawiskiem jednorazowym, ograniczonym do konferencji indochińskiej. Wkrótce jednak okazało się, że są to stałe znamiona nowego klimatu politycznego.

Już na dwa tygodnie przed spotkaniem wielkiej czwórki część dziennikarzy przyjechała do Genewy w celu opisanie tamtejszych przygotowań policyjnych. W korespondencjach swych

donosili, że rodzaj stanu oblężenia zapanował w Genewie na tydzień przed otwarciem konferencji. Z Zurychu przyjechał pułk żołnierzy mających strzec dostępu do dzielnicy, gdzie mieścili się rezydencje Czterech. Kilkuset agentów policji rozłożyło nadzór nad miastem. Policję szwajcarską wzmocniły grupy agentów przysłanych przez cztery mocarstwa biorące udział w konferencji. Wybierając się do Genewy zacząłem uważnie czytać gazety w celu dowiedzenia się czy w ogóle będę mógł przedrzeć się przez tyle kordonów i nadzorów.

W Europie zachodniej spokojni obywatele nie odróżniali agentów od innych przechodniów i nawet przestępcy okazywali w tych sprawach niepojętą łatwowierność. Otóż czytając gazety dowiedziałem się, że po konferencji indochińskiej umiejętność poznawania agentów zrobiła wielkie postępy wśród ludności genewskiej. Jeden z korespondentów zagranicznych pisał, że genewczycy znajdują żywą zabawę w obserwowaniu agentów obcych przybyłych na konferencję Czterech. Na użytek czytelników mogących się kiedyś znaleźć w obrębie promieniowania jakiejś nowoczesnej konferencji notuję tu za gazetami szczególnie znaki agentów w cywilu. Angielskich poznaje się po butach na gumowych obcasach z wyglansowanymi na lustro nosami, gdy reszta obuwia jest mniej starannie oczyszczona. Agenci francuscy noszą buty „potworne”, brzęczące źle przymocowanymi do obcasów okuciami. Amerykańskich poznaje się najpewniej po krawatach o barwach fajerwerków, sowieckich wreszcie widzi się zazwyczaj przed witrzynami zegarmistrzów i poznaje po spodniach kroju „kloszowego”, które pamiętam z czasów gimnazjalnych i które dziś poza obrębem Rosji znane są chyba tylko z powieści Sergiusza Piaseckiego:

Spodnie kloszowe, zaprasowane,
Buciki nowe, lakierowane.

Szef policji genewskiej, Charles Knecht, udzielił korespondentowi *Corriere della sera* wywiadu, z którego dowiadujemy się, że głównym przedmiotem nadzoru międzynarodowej armii agentów są emigranci. W czasach Ligi Narodów wystarczała obserwacja paru anarchistów. „Dziś — powiada Knecht — mamy nowych anarchistów, którzy nie są zresztą anarchistami. Są to emigranci nienawidzący obecnych kierowników Związku sowieckiego. Niektórzy nienawidzą bardziej Bułganina niż Malenkowa. Porozumienie między Rosją i Stanami Zjednoczonymi nie leży w ich interesie. Emigranci tworzą płynną masę, którą siłą rzeczy musimy śledzić. Trudno zresztą przeniknąć ich myśli”. Tak wyglądamy w oczach nadzorującej nas policji.

Zatrzymałem się dłużej na policyjnym klimacie konferencji widząc w nim coś więcej niż malowniczy szczegół obyczajowy epoki Zjednoczonych Narodów. Porządek ustalony wspólnie przez wielkie mocarstwa w Jalcie, Poczdamie, San Francisco itd., zostawił kilkaset milionów niezadowolonych, zrozpaczo-

nych i pozbawionych łagodzącej obyczaje nadziei. Jak słusznie zauważył szef policji genewskiej, władze obawiają się dziś nie anarchistów czy wyznawców innych doktryn rewolucyjnych, lecz emigrantów, to jest niegdyś spokojnych obywateli, nie mieszczących się w obecnym porządku świata. Liczba niezadowolonych i przyprowadzonych do rozpacz jest tak wielka, że strach przed nimi, trawiający od 38 lat władców Kremla, ogarnął także Zachód, zmuszając jego mężów stanu do chowania się za plecami całej armii uzbrojonych agentów. Jak w sławnym balecie Manuela de Falla *Sombrero de tres picos*, „taniec strachu” był jednym z najbardziej uderzających numerów pantomimy Czterech w Genewie.

ORGANIZACJA I REKLAMA

Konferencja Czterech odwróciła zwykły porządek rokowań. Dawni negocjatorzy układali się naprzód o warunki pokoju, a potem pili na zgodę. Konferencja mająca położyć koniec zimnej wojnie potoczyła się w odwrotnym porządku. Zaczęto od uśmiechów, toastów i wiwatów, potem próbowano rozmawiać o przedmiotach sporu. Ponieważ rozmowy nie dały wyniku, przekazano je ministrom spraw zagranicznych czterech mocarstw, ograniczając zresztą rokowania do tematów niewinnych, z których łatwo wyslizgnąć się w paru zręcznych frazesach. Z tematów tych tylko sprawa niemiecka pozostaje wciąż pilna i bogata w nieoczekiwane możliwości.

Odwrocenie porządku rokowań wynikało być może z okoliczności, że dwaj główni negocjatorzy wychodzili z wojska, generałowie zaś zawierają tylko rozejmy, zostawiając układy pokojowe cywilom.

Ze względu na ten charakter i przebieg konferencji wielu sądzi, że nie dała ona żadnych wyników i była jedynie rodzajem manifestacji politycznej.

Na skutek odwrócenia zwykłego porządku rzeczy, organizatorzy konferencji musieli uciec się do metod używanych przy kampaniach wyborczych, gdzie kandydaci robią wiele hałasu dokoła swych intencji i programów zanim jeszcze zdążyli czegoś dokonać. Cała więc organizacja konferencji nastawiona była na propagandę i reklamę. Dlatego zapewne Czterej, zamiast spotkać się w jakiejś górskiej miejscowości, gdzie kontakty osobiste i zagadnienia bezpieczeństwa nie nastroczałyby żadnych trudności, zebrali się w mieście sławnym z swych „odprzeżeń”, w którym nie mając wiele do powiedzenia, zgromadzili koło 1.500 dziennikarzy i fotoreporterów.

Sprzeczne elementy zawarte w samym założeniu konferencji — rozmiar reklamy i skromność osiągnięć, poszukiwanie popularności i strach o życie — wywołały różne trudności organizacyjne.

Czterej obradowali za potrójnym kordonem wojska i policji. Dzięki tej okoliczności znaczna część ich wystudiowanych z góry

gestów pojednawczych nie doszła w ogóle do wiadomości publicznej. O niektórych z nich dowiadujemy się jedynie ze źródeł ubocznych. Tak więc np. w cytowanym już wywiadzie szefa policji genewskiej znajdujemy następujący szczegół: „Dziś z rana żołnierze zaczęli otaczać zasiekami z drutu wilę Bułganina, jak w zeszłym roku wilę Mołotowa. Kiedy już rozwinęli większą część drutu, jeden z urzędników sowieckich powiedział im, że takie zabezpieczenie willi nie podoba mu się, bo mogło by wywołać w opinii publicznej mylne pojęcie o duchu ożywającym delegację rosyjską”. „Nasze zadania wymagają wiele cierpliwości”, dodaje szef policji.

Zgromadzeni na drugim końcu miasta w „domu prasy” dziennikarze musieli zadawać się skromnymi w swej treści komunikatami i wyjaśnieniami szefów prasowych Czterech oraz nikłym materiałem anegdotycznym. W braku lepszych tematów nawet pojawienie się Bułganina i Chruszczowa w otwartym samochodzie — zamiast w pancernej limuzynie — było obszernie komentowane jako dowód pokojowych intencji władców Kremla. Jak w każdej propagandzie było w tym wiele oczywistej przesady. Ostatniego dnia konferencji posłyszałem w okolicy dworca gwizdki policjantów i odwróciwszy się zobaczyłem sznur czarnych samochodów jadących z wielką szybkością w kierunku lotniska. Na czele karawany, otoczony rojem zbrojnych motocyklistów w błyszczących hełmach, jechał otwarty samochód, w którym między dwoma roslymi mężczyznami, siedział Eisenhower z podniesioną ręką, dający przyjazne znaki milczącym i nieco osłupiałym przechodniom. Żadnemu z nich zapewne nie przyszło na myśl, aby widok tylu zbrojnych ludzi pędzących ulicami miał zwiastować jakąś pomyślną zmianę obyczajów.

Inni komentowali z rozrzewnieniem samotną przechadzkę, jaką podobno miał odbyć Żukow na brzegu jeziora. O tego rodzaju przechadzkach istnieją pouczające anegdoty historyczne. Napoleon III na przykład, któremu nie obce były ambicje trybuna ludu, miał zwyczaj wysiadania niespodzianie z powozu i witania się z przechodniami. Jego prefekt policji, sławny niegdyś Maupas, twierdził wszakże, że cesarzowi nie udało się ani razu ucisnąć za rękę kogoś innego niż agentów policji. Spod opieki policji wyrwać się jest równie trudno jak z klimatu politycznego swego czasu.

Ponieważ nikomu z Czterech nie udało się powiedzieć nic niezwykłego, wielka rola przypadła w udziale fotografom, mającym uwiecznić pojednawcze uśmiechy i gesty, wymieniane między Wschodem i Zachodem. W *Le Monde* czytamy o tych zdjęciach: „Historyczna fotografia Czterech przedstawia w sposób uderzający zmianę atmosfery, jaka nastąpiła w ciągu ostatnich miesięcy... Dla milionów Amerykanów widok ich prezydenta uśmiechającego się do człowieka, przedstawianego dotąd jako szefa „gangu” kremłowskiego i uosobienie zła, będzie wstrząsem psychologicznym o doniosłym znaczeniu”.

SPRAWY NIEMIECKIE

Jakkolwiek konferencja zebrała się bez ustalonego programu, w toku jej okazało się, że rozmowy Czterech obracały się kolejno dokoła następujących punktów: zjednoczenie Niemiec, projekt paktu bezpieczeństwa dla Europy, rozbrowienie oraz zbliżenie gospodarcze i kulturalne między Wschodem i Zachodem. Te cztery punkty przekazano też konferencji ministrów spraw zagranicznych.

Najważniejszą i najpilniejszą z nich była sprawa zjednoczenia Niemiec, której — jak można się domyślać — poświęcona była większa część rozmów Czterech. Rząd Republiki związkowej przysłał do Genewy swych obserwatorów, sam zaś kanclerz Adenauer z grupą doradców znajdował się w Mürren, w stałej komunikacji telefonicznej z Genewą.

Nie wychodząc nawet ze swego pokoju można się było domyśleć, że w sprawie tej porozumienie będzie najtrudniejsze, bo zmiany nastrojów i pojednawcze gesty nie mogą złagodzić istniejącego tu między Stanami Zjednoczonymi i Rosją konfliktu interesów.

Zjednoczone Niemcy stałyby się najsilniejszym państwem kontynentu europejskiego. Przyłączenie się ich do bloku zachodniego uszczupliłoby w sposób istotny obecny stan posiadania i wpływów sowieckich w Europie. Każdy rząd sowiecki — czy byłby to Stalin, Malenkov, Bułganin czy nawet jakiś termidoriański rząd generałów — opierałby się takiemu załatwieniu. Neutralizacja zjednoczonych Niemiec na wzór Austrii zmuszałaby Stany Zjednoczone do tzw. strategii peryferycznej, prowadzącej nieuchronnie do upadku ich wpływów w Europie. Przystąpienie wreszcie zjednoczonych Niemiec do bloku wschodniego byłoby końcem wpływów amerykańskich w Europie, a zapewne i w innych częściach świata. Sprzeczność interesów amerykańskich i sowieckich jest tu oczywista.

W sprawie tej doszły ostatnio do głosu same Niemcy, gdzie zdaniem wszystkich obserwatorów daje się zauważyć w opinii publicznej stały wzrost prądów neutralistycznych. Różne się na to składają przyczyny. Omawiając je w związku z konferencją genewską, hamburski tygodnik *Die Zeit* podnosi m. in. wpływ rozwoju broni atomowych. „Właśnie w przededniu konferencji genewskiej mocarstwa zachodnie przeprowadziły w Niemczech manewry mające na celu zbadanie możliwości wojny atomowej. Wyniki ich zostały przez dumnych z swej wiedzy fachowców szczegółowo ogłoszone: już w pierwszym dniu spadło w Europie 50 bomb atomowych; większa część urządzeń obronnych i lotnisk została zniszczona. W ciągu ośmiu dni trwania manewrów zrzucono ogółem 335 bomb atomowych”. Tygodnik hamburski sądzi, że tego rodzaju rewelacje dezorientują opinię publiczną i osłabiają pozycję Niemiec w rokowaniach z Rosją.

Wśród sprzecznych prądów nurtujących Niemcy, Adenauer jest w tej chwili jedynym pewnym partnerem mocarstw zachodnich. Można przypuszczać, że szefowie rządów tych ostatnich unikali w Genewie wszystkiego co mogłoby osłabić sytuację wewnętrzną rządu w Bonn. Podkreślali więc przy każdej okazji potrzebę zjednoczenia Niemiec, lecz wobec różnicy zdań co do postępowania w tej materii przekazali całą sprawę konferencji ministrów. Według wiadomości podanych do prasy, delegaci sowieccy dążyli do odroczenia rozmów na tematy niemieckie, zyskując czas do rozmów bezpośrednich z Bonn. Jak widać z komunikatu końcowego, Czterej nie powzięli w tej sprawie żadnej jasnej decyzji.

Wydaje się więc, że w sprawach niemieckich Sowiety używały w Genewie pewną przewagę taktyczną. Po odprężeniu stało się jaśniejsze niż kiedykolwiek, że zjednoczenie Niemiec zależy od Rosji. Korzystając z świeżo przyznanej Niemcom Zachodnim suwerenności, władcy Kremla mogli stanąć na stanowisku, że o zjednoczeniu mogą traktować tylko z Adenauerem, którego zaproszono w tym celu do Moskwy. Nie wydaje się, aby w Genewie delegaci sowieccy pośpieszyli poinformować swych nowych przyjaciół o warunkach, jakie zamierzają zaproponować kanclerzowi niemieckiemu. Pewne wydaje się tylko to, że odrębne rokowania postawią kanclerza Republiki związkowej wobec dylematu, z którego nie widać żadnego dobrego wyjścia. Propozycje sowieckie będą zapewne w mniej lub więcej zręcznej formie ofiarowywały zjednoczenie w zamian za neutralizację. Odrzucając je, kanclerz ryzykuje utratę autorytetu wewnątrz kraju, przyjmując — naraża się na konflikt z swymi sprzymierzeńcami zachodnimi. Konferencja Czterech nie zmniejszyła wcale jego trudności.

SPRAWA SIEDMIU PAŃSTW ZONY SOWIECKIEJ

Sprawa ta została podniesiona w pierwszym dniu konferencji przez prezydenta Stanów Zjednoczonych, który w swym przemówieniu wstępnym wymienił ją jako jeden z tematów do dyskusji. Mówiąc mianowicie o prawach ludów do niepodległości i do wybierania form rządów, prezydent Eisenhower oświadczył: „Naród amerykański ma głębokie przeświadczenie, że pewne ludy Europy Wschodniej — posiadające długą i dumną przeszłość — nie korzystają pod tym względem z gwarancji wynikających z naszej deklaracji o statucie Narodów Zjednoczonych, ogłoszonej podczas wojny i potwierdzonej przez inne umowy zawarte w czasie operacji wojennych”.

Bułganin, przemawiając w końcu tegoż posiedzenia, odpowiedział, że poruszenie na konferencji sprawy demokracji ludowych Europy Wschodniej byłoby wtrącaniem się w ich sprawy wewnętrzne. Szefowie rządów Anglii i Francji — o ile wnosili można z komunikatów — nie zabrali głosu w tej materii.

O tym jak oceniano w Genewie miejsce zajmowane przez sprawę siedmiu krajów w hierarchii zagadnień interesujących Czterech, można wnosić z charakterystycznego komentarza, jaki pojawił się nazajutrz po mowie Eisenhowera w *Gazette de Lausanne*.

Dziennikarze, od kiedy zwłaszcza przestali wyrażać własne poglądy, stają się coraz bardziej pomocnikami dyplomatów, ważą słowa i odgadują myśli swych ministrów spraw zagranicznych. Widziano już dziennikarzy powoływanych wprost z redakcji na stanowisko ambasadorów. Karierę taką można wróżyć redaktorowi politycznemu *Gazette*, którego artykuł uchodzić może za wzór zręcznego posunięcia prasowo-dyplomatycznego. Rzecz w tym, że prezydent Eisenhower, mówiąc pierwszy, nie mógł mieć pewności, że słowa jego dotyczące siedmiu krajów nie dotkną ponad miarę jego nowych przyjaciół. Chciał być może uspokoić ich obawy, ale nie wypadało mu się cofać. Nic w tej sytuacji nie mogło mu być bardziej na rękę niż komentarz poważnego dziennika, wyjaśniający całą sprawę i ukazujący ją w właściwych proporcjach. Pośpieszający mu z pomocą artykuł *Gazette* zaczyna się w bardzo pięknym stylu od stwierdzenia, że mocarstwa zachodnie mają wobec siedmiu krajów zobowiązania, których nie mogą negować bez utraty swego kredytu moralnego. Dla tej przyczyny prezydent Eisenhower wymienił sprawę tych krajów wśród najważniejszych zagadnień pozostałych do rozstrzygnięcia. Autor dodaje jednak zaraz, że prezydent wymienił tę sprawę tylko dla pamięci, i że nikt zapewne nie będzie nalegał na jej dalsze rozważanie w Genewie, gdzie wszyscy są zgodni w chęci unikania spraw mogących drażnić innych rozmówców.

Nic nie wiadomo o tym, aby po wymianie zdań między Eisenhowerem i Bułganinem Czterej powracali jeszcze do tego tematu, który nie figuruje też na liście spraw przekazanych październikowej konferencji ministrów spraw zagranicznych.

Z pojawienia się, jak również z nagłego zniknięcia sprawy siedmiu krajów na konferencji genewskiej, trudno wyciągnąć jakieś wnioski. Nie wniosła jej na forum dyplomatyczne zimna wojna, nie widać na razie powodów, dla których miałyby ją wnieść atmosfera odprężenia. Publicyści, którzy przewidywali pojawienie się jej na konferencji Czterech, widzieli taką możliwość w związku z ewolucją zagadnienia niemieckiego i ewentualnego poszukiwania przez Stany Zjednoczone kompensaty za neutralizację Niemiec. Rozmowy na tematy niemieckie nie weszły jednak wcale na te tory.

PRÓBA INTERPRETACJI GESTÓW SYMBOLICZNYCH

Amerykańsko-sowieckie manifestacje wzajemnego zaufania i życzliwości, oznajmiające koniec zimnej wojny, nie były na pewno improwizacją, lecz widowiskiem wyreżyserowanym

uprzednio między Waszyngtonem i Moskwą. Manifestacje takie wymagały rzecz prosta omijania tematów spornych i drażliwych. Musiało więc być z góry ustalone, że w Genewie o nich mowy nie będzie i że konferencja niczego nie załatwi. Nikt też z Czterech, o ile wiadomo, na to nie nalegał.

Czy manifestacje genewskie są początkiem jakiejś nowej polityki amerykańskiej? Nic o tym bliższego nie wiadomo. Zakończenie, na razie deklaratywne, zimnej wojny jest tylko posunięciem. Cała reszta konferencja Czterech — przy swym założeniu niezłatwiania niczego — składała się z samych posunięć, uśmiechów, uników i mniej lub więcej symbolicznych gestów. Był to rodzaj pantomimy politycznej, rzeczy nie tłumaczącej się jasno w słowach i łatwiej znajdującej wyraz w fotografiach niż w komunikatach i protokołach.

Interpretacja pojedynczych gestów genewskich jest tym trudniejsza, że sprawy polityczne nie mają ustalonej symboliki mimiki i gestów. Cokolwiek chcielibyśmy o nich powiedzieć, słowa nasze nie będą pokrywały się dokładnie z uciekającą od nich rzeczywistością. Z tym zastrzeżeniem dopiero możemy starać się interpretować genewską gestykulację lub raczej formułować myśli, jakie ta gestykulacja sugeruje.

Pierwszym wrażeniem z konferencji była słabość samodzielnych pozycji sprzymierzeńców europejskich Stanów Zjednoczonych. Już po pierwszej wymianie uśmiechów między Eisenhowerem i Bułganinem wszyscy nagle spostrzegli, że rola szefów rządu brytyjskiego i francuskiego w Genewie będzie bardzo blada. Co się właściwie stało? Od kilku lat już alianci europejscy Ameryki usiłują się usamodzielnić i zająć stanowisko pośrednie między Wschodem i Zachodem. Ogłoszenie końca zimnej wojny przez prezydenta Stanów Zjednoczonych potwierdzałoby słuszność ich stanowiska, ich samodzielne kroki w kierunku koegzystencji tracą jednak w nowej sytuacji większą część swego znaczenia.

Chcąc przywołać do porządku krnąbrnych sprzymierzeńców, wystarczy najczęściej wyciągnąć rękę do nieprzyjaciela. Stalin używał z powodzeniem tego manewru. Ostatnie zmiany na Kremlu stworzyły sytuację, w której i Stany Zjednoczone mogą z powodzeniem próbować tej taktyki. Nic o tym w związku z konferencją nie można powiedzieć, ponieważ w Genewie nic się w ogóle nie stało. Sam jednak symboliczny gest pojednawczy naszkicowany zaledwie przez prezydenta Eisenhowera musiał dać do myślenia wszystkim europejskim neutralistom. Poróżniona wewnętrznie i amputowana Europa nie dorosła do roli trzeciej siły, tak długo przynajmniej jak gra toczy się w granicach czystej przemocy.

Ten sam mechanizm gra także wewnątrz bloku sowieckiego. Jeżeli Kreml liczył się w ogóle z swymi satelitami, ewentualne porozumienie z Ameryką uwolniłoby go z tej strony od wszelkich kłopotów.

Sprawa niemiecka ukazała się również w nowym świetle. W perspektywie zimnej wojny zjednoczenie Niemiec jest sprawą pilną, dramatyczną; w perspektywie porozumienia amerykańsko-sowieckiego traci wybitnie na pilności.

Obie strony starały się nadać jak największy rozgłos obwieszczonemu w Genewie zakończeniu zimnej wojny. Słyszałem też wiele domysłów dotyczących celu i skutków tej propagandy.

Jeżeli chodzi o świat zachodni, wrażenie wywołane przez koniec zimnej wojny nie budzi wątpliwości. Poza niewielką liczbą sceptyków, wiadomość ta była przyjęta wszędzie z zadowoleniem.

Nigdy jeszcze świat zachodni nie cieszył się tak wielką i powszechną zamożnością, ani równie szorokimi możliwościami awansu społecznego. Brakło mu tylko poczucia stałości i ciągłości. Zbyt długo prasa karmiła go nowinami o bombach atomowych. Nikt wprawdzie nie wierzył w możliwość bliskiej wojny, ale myśl o niej była wciąż obecna. Manifestacja genewska rozwiązała ostatnie troski. „Od niepamiętnych czasów nie widziano na Zachodzie równie pomyślnych i beztrudnych wakacji”, pisał jeden z komentatorów. Można przypuszczać, że powszechna euforia zapewni głównemu autorowi odprężenia, prezydentowi Eisenhowerowi, powszechną sympatię i doskonałe szanse wyborcze. Jednym uśmiechem, pasującym Bułganina na partnera Ameryki w dziele odprężenia i pokoju, prezydent Eisenhower zmył Mac Carthygo i fanatyków zimnej wojny.

Z równym zadowoleniem przyjęto zapewne te wiadomości na Kremlu. Zagadnienie spadku po dyktatorach nastrocza największe trudności. Dyktator zdążył zwykle przed śmiercią wytepić wszystkich możliwych spadkobierców. Władzę więc dziedziczą ludzie, których niepozorność ocaliła od śmierci. Aby utrzymać się przy władzy, muszą odnieść jakieś prędkie i przemawiające do wyobraźni sukcesy. Nie trudno więc się domyśleć, że dla Bułganina i Chruszczewa podniesienie ich do rangi partnera Eisenhowera musiało być wielkim sukcesem wewnętrznym.

Nieco inne zapewne były refleksje ich poddanych. Żaden rząd nie może wchodzić na drogę zimnej wojny bez udziału obywateli, bez tego aby jego poddani i nawet przeciwnicy mieli do obcego antagonisty jakieś własne urazy. Przepaść dzieląca Wschód i Zachód nie dzieliła tylko Kremla i Waszyngtonu, lecz, jeszcze głębsza, istniała między ludami obu bloków. Nie zmniejszą jej też genewskie gesty Eisenhowera. Patrząc na „historyczną fotografię” pracownik kołchozu powie: tym łatwo się porozumieć, są z jednej mąki.

Łudzą się też ci, którzy chcieliby zasypać tę otchłań przez rozwój stosunków gospodarczych między obu blokami. Zestąpiący rąbiący lasy wiedzą, że pobyt na dalekiej Północy zawdzięcza popytowi, jakie drzewo sowieckie ma na rynkach Zachodu. Szumowi samolotów wiozących złoto z Kolumby towarzyszą

złorzeczenia łagierników pod adresem Zachodu. Rzeczy te muszą być znane w Waszyngtonie. Czytamy też, że prezydent Eisenhower postanowił sprzedać Rosji po cenie niższej niż w USA zboże Stanów Zjednoczonych. Gest ten byłby pewnym uzupełnieniem uśmiechu do Bułganina. Wątpię jednak, aby znalazł echo u ludności wschodniego kolosa, przypominam sobie bowiem list nauczycielki pisany stamtąd o pomocy UNRRA: „Amerykanie karmią witaminami komunistów, aby nie osłabli w gnębieniu nas”.

Wiadomości z Moskwy wskazują, że na Kremlu sukcesy genewskie nie zmąciły trzeźwości sądów. Komuniści moskiewscy przestali być „czarnym ludem”, mnożą więc zaproszenia i wizyty. Zimną wojnę grzebali wspólnie z innymi przedstawicielami Zachodu, ale o interesach chcą z nimi rozmawiać oddzielnie.

W opisie posiedzenia Najwyższego Sowiegu, na którym Bułganin referował wyniki konferencji Czterech, uderza wreszcie szczegół nie figurujący w sprawozdaniach agencji, lecz zanotowany przez moskiewskiego korespondenta *Corriere della sera*:

„Wśród skupionej uwagi całego zgromadzenia Bułganin... odrzucił zdecydowanie propozycję Eisenhowera (fotografowania obiektów wojskowych) mówiąc: „Oba nasze kraje posiadają olbrzymie terytoria, gdzie można ukryć co się chce”. Marszałek uśmiechnął się przy tych słowach i jego uśmiech był jak gdyby sygnałem: wszyscy deputaci wybuchli głośnym śmiechem, i po kilku minutach dopiero prezes Rady Ministrów mógł wrócić do słowa”.

Paweł HOSTOWIEC

WYSYŁAMY DO POLSKI

Najnowsze leki amerykańskie i zagraniczne. Wypełniamy recepty krajowe. Dostawa drogą lotniczą do 10 dni. Również materiały, żywność, narzędzia rolnicze, materiały budowlane itd. z dostawą zupełnie wolną od cła. Katalogi wysyłamy na żądanie odwrotną pocztą.

POLISH AMERICAN AGENCY

Frank Sakoski, Manager
799 Broadway New York 3, NY.

Komunizm przy drzwiach otwartych

Do arsenału wypróbowanych środków ochronnych dla dyktatury komunistycznej należy izolacja kraju od wolnego świata. Środek niezbędny dla dezinformacji społeczeństwa i swobodnego działania propagandy, bez obawy konfrontacji z niewygodnymi faktami. Pod ochroną takiej czy innej kurtyny można dopiero poddawać społeczeństwa ideologicznej tresurze.

A oto pod parciem faktów politycznych i gospodarczych komuniści jugosłowiańscy weszli na drogę szerokiego otwarcia drzwi swego kraju. Uczynili z turystyki nie tylko narzędzie propagandy, co w krajach komunistycznych wymaga turystyki kierowanej, lecz zwykłe, jak i w innych krajach, mających ku temu warunki, źródło napływu obcych walut i innych ekonomicznych korzyści. Takie postawienie sprawy wyłącza „Inturista”, zastępując go „Putnikiem”, zwykłym biurem podróży, bez przewodników i bez obowiązujących tras zwiedzania kraju. Po zwykłych formalnościach granicznych cudzoziemiec zagłębia się w Jugosławię z poczuciem pełnej swobody.

To było pierwsze moje wrażenie po znalezieniu się w kraju dyktatury Tito. Wrażenie pełne zdziwienia, że w ciągu trzytygodniowego pobytu w tym kraju nikt się mną nie interesował, policja zaś była mniej widoczna i mniej gęsto rozstawiona, niż... w Wielkiej Brytanii czy Francji. Tłumaczy się to zresztą łatwo: cała policyjna służba ruchu wobec jego słabego natężenia sprowadza się do kilkudziesięciu policjantów rozmieszczonych na skrzyżowaniach dróg w wielkich miastach.

Tak więc drzwi do Jugosławii zostały szeroko otwarte dla cudzoziemców. Ale dla obywateli Jugosławii? Z praktyki osobistej stwierdzić mogę, że wyjazd zagranicę przeciętnego Jugosłowianina nie stanowi wielkiego problemu, jeśli nie brać pod uwagę trudności finansowych. Nasza wizyta była rewizytą złożoną obywatelce Jugosławii. Komunizm w tym kraju praktykuje się dosłownie przy drzwiach otwartych.

W ten sposób znikła główna przesłanka komunistycznej strategii wewnętrznej, tak doskonale wypróbowana w Rosji i stosowana pedantycznie w krajach podsowieckich. Nie sposób od tam wmawiać w masy, że na świecie panuje tylko nędza i niewola, by pod tą osłoną domagać się od społeczeństwa wyrzeczenia się wszystkiego w imię dobrobytu i wolności po którejś tam z rzędu „piatiletce”.

Komuniści Jugosławii, pozbawieni nagle oparcia w Moskwie, więcej, znajdując się pod jej bezlitosnym ostrzałem ideologicznym i gospodarczym (1), zostali w roku 1948 zmuszeni do szukania rzeczywistego poparcia w masach ludności. Zerwanie z Moskwą dało im od razu potężny atut: społeczeństwo przyjęło z entuzjazmem wyzbycie się sowieckiej protekcji. Reżym Tito zdobył się na dwa następne akty, zbliżające go z masami: przerwał terror i proklamował politykę natychmiastowego podnoszenia dobrobytu.

Z kimkolwiek rozmawiałem — z robotnikiem fabrycznym, z marynarzem dalekich rejsów, z młodym urzędnikiem firmy eksportowej, ze starym emigrantem polskim, pełnym podejrzliwości wobec istniejącego reżymu — zawsze otrzymywałem obraz dwóch różnych epok życia powojennego. Z jednej strony koszmarny terror, który pożerał tysiącami ofiary, życie zaś wypełniał piekłem lęku i niepewności jutra, z drugiej — okres po 1949 roku, kiedy, jak mówił mi jeden z rozmówców, „jeśli mnie o coś oskarżą, mogę się bronić, nie jestem już oddany na łaskę i niełaskę Policji Bezpieczeństwa”.

Zerwanie z polityką „dogonić i przegonić świat kapitalistyczny” przez przyspieszone tempo akumulacji i gwałtowne rozbudowywanie przemysłu, chociażby za cenę nędzy robotników i chłopów, odbyło się równie radykalnie. Tito dobrze trafił w ton prostego człowieka, proklamując, że „nikt z nas nie zaprzysięgał, że mamy zbudować socjalizm w ciągu naszego życia”.

Przypomniało mi to głos czytelnika, cytowany ongiś przez „Trybunę Ludu” jako wyraz „braku wiary w nasze siły”. Brzmiał on w przybliżeniu tak:

— Dlaczego my mamy poświęcać wszystko dla przyszłych pokoleń? Niechaj i nasze dzieci popracują trochę dla realizacji socjalizmu.

Idea zwolnienia tempa industrializacji i zwrócenia się ku zaspakajaniu bieżących potrzeb ludności musiała znaleźć żywy oddźwięk w masach ludności Jugosławii. Zerwanie z Sowietami

stało się datą nie tylko zakończenia terroru, lecz i otworzenia drogi do polepszenia warunków materialnego bytu. „Gdyby to nasz rząd zastosował dzisiejszą politykę od początku — jakże inaczej wyglądałoby nasze położenie dzisiaj” — mówił mi ze szczerym westchnieniem żalu pewien młody komunista jugosłowiański.

Siedzieliśmy w kawiarni na chodniku rozstłonecznionego bulwaru, gwarząc i przyglądając się tłumowi wesołej młodzieży i spacerujących pogodnie starszych ludzi. Mimowoli przyszła mi nieco złośliwa myśl: gdyby ci ludzie nie przeszli złego okresu, czy mieliby dziś takie rozpromienione oblicza? Stara anegdota o kozie i teściowej jest pełna mądrości — zabrano z domu kozę i teściową, jakże inaczej świat wygląda nawet w mieszkaniu ciasnym i ubogim.

Zniesienie terroru przyniosło przywrócenie swobody osobistej. Zniknęła kontrola policyjna w zakresie spraw prywatnych. Każdemu wolno myśleć co mu się podoba; może krytykować, wygadywać, plotkować, ile się zmieści. Z rzadka tylko widmo przeszłości sprzed sześciu lat nakazuje przyciszyć głos, lub nie domówić myśli, zastępując słowa znaczącym spojrzeniem czy gestem. Ale... wszelka organizacja poza uznaną przez reżym jest zakazana; prasa zmonopolizowana; zgromadzenia polityczne, niekontrolowane przez reżym, niemożliwe. Dyktatura trwa, obca i wroga wszelkim swobodom politycznym.

Obserwator zewnętrznych przejawów życia Jugosławii mógłby jej nie zauważyć. Dyktatura Związku Komunistów Jugosławii potrafi działać dyskretnie. Gdyby nie dwukrotnie napotkany jarzący się nocą napis „Tito” można by przejechać — nie znając języka i nie czytając prasy — cały kraj wzduż i wpoprzek bez zauważenia, że rządzi tu „wódz” i monopartia. Owszem, ciągle napotykanne wojsko przemawia do turysty obrazem silnego militarysty, ale nie państwa policyjnego. Ta dyskrekcja w prezentacji zewnętrznej nie zmienia faktu, że dyktatura trwa.

Siłą rzeczy starałem się zrozumieć jak społeczeństwo reaguje na istniejący system. Ludzie prosić, bez politycznego wyrobienia, gdy czyniłem próby sprowadzenia rozmowy na temat wolności politycznej, odpowiadali zwykle stwierdzeniem, że dziś nie boją się mówić, że nie ma terroru... — Swoboda osobista nie rozróżniana od politycznej. — Inni wyrażali obawy czy stan dzisiejszy będzie trwały. Niepewność osiągniętej swobody osobistej. Dwukrotnie tylko udało mi się pogłębić w rozmowie temat i wydobyć opinie, które, być może, odsłaniają stosunek dużej części ludzi myślących wobec istniejącego stanu rzeczy.

Pewien bardzo kulturalny robotnik, specjalista, działacz robotniczy sprzed wojny, zapytany o stosunek do reżymu Tito, odpowiedział:

— Nie jestem komunistą, ale popieram reżym z dwóch względów: chcę brać i biorę udział (jest przewodniczącym Rady Robotniczej) w budowaniu nowych lepszych form życia mas pracujących. Po drugie załamanie się reżymu dzisiejszego musiałoby

(1) Obróty handlowe Jugosławii ze Związkiem Sowieckim i krajami satelickimi wynosiły w chwili zerwania z Kominformem 51% całości handlu zagranicznego. W 1950 roku obroty te spadły do zera. Wywóz z Jugosławii spadł jednocześnie o 30%. Deficyt handlu zagranicznego wynoszący w 1948 roku 600 milionów dinarów wzrósł w 1950 do 5 miliardów 900 milionów dinarów. Umowy na dostawy inwestycyjne dla przemysłu jugosłowiańskiego z ZSSR i krajów podsowieckich opiewały w chwili zerwania stosunków na kwotę 18 miliardów 700 milionów dinarów. Zostały one wykonane zaledwie w 6%, to jest na sumę 1.184.000.000 dinarów.

by doprowadzić do rozpętania walk narodowościowych i religijnych oraz wypłynięcia wszystkich koterii, które rozkładały życie naszego kraju.

Wybierając się do Jugosławii przysposabiałem się nieco do zanurzenia w obcy żywioł. W jednej z książek przeczytałem taką ocenę zamachu stanu króla Aleksandra w r. 1929: „Im bliżej badamy problem jugosłowiański, tym bardziej przekonujemy się, że nie jest to *jeden* problem, lecz tyle problemów, ile rejonów... Radykałowie, Demokraci, Chorwaci, Radiczowcy, Niezależni demokraci, Agrariusze, Bośniacy, Klerykali — wszystkie te ugrupowania, jak wykazały dzieje pierwszych dziesięciu lat, nie miały środków i możliwości, by któreś z nich opanowało sytuację i objęło władzę... Dyktatura Aleksandra przysłała jako zbawienie państwa przed ostatecznym rozkładem (2)”.

Z podejrzliwością przyjmowałem tę tezę. Teraz znalazłem jej echo w słowach mego rozmówcy:

— Mimo że jestem socjalistą, tolerowałem dyktaturę Aleksandra w jej dążeniu do utrzymania państwa jugosłowiańskiego. Dlaczego miałbym dzisiaj nie współpracować z dyktaturą Tito?

Zdaje się, że tu leży najgłębszy podkład trwałości reżymu. Troska o utrzymanie państwa i przezwyciężenie tendencji odśrodkowych, władzą rozumowaniem i uczuciami wielu zapewne ludzi, jest największym atutem dyktatury komunistycznej w Jugosławii.

Jugosławia jako państwo wyrosła z potrzeby wydobywania Bałkanów z przysłowiowego zanarchizowania, wiecznych krwawych tarć pomiędzy różnymi narodami, plemionami, wyznaniem (3). Pojęcie narodu jugosłowiańskiego dopiero się kształtuje od czasów pierwszej wojny światowej. Dzisiaj znajduje wyraz w utworzonej obecnie federacji, która była zawsze wymarzoną formą organizacji tej części Europy. Plastyczny przykład współczesnego stosunku obywatela do dzisiejszej Jugosłowiańskiej Ludowej Republiki Federacyjnej dał mi pewien Chorwat.

— Jesteście, jak wiem, Chorwatem. Jak godzicie to z patriotyzmem jugosłowiańskim? — zapytałem mego rozmówcę.

— Jestem Chorwatem w domu, tutaj — w Chorwacji, Jugosłowianinem zaś wobec świata zewnętrznego.

Coś w rodzaju: gente Rutenus, natione Polonus. Taki związek pojęć narodowości i narodu państwowego rozpadł się w biegu dziejów na terenie Polski. Rodzi się, nabiera krwi i cia-

(2) E. Lemonon: *La nouvelle Europe Centrale* — 1919-1930, str. 147.

(3) Ludowa Republika Federacyjna Jugosławii liczy 16.927.275 mieszkańców (marzec 1953 rok); w tym Ludowa Republika Serbska 6.983.544, L.R. Chorwacka 3.913.753, L.R. Słoweńska 1.462.961, L.R. Bośni i Hercegowiny 2.843.486, L.R. Macedońska 1.303.906, L.R. Czarnogórska 419.625 mieszkańców. Pod względem wyznaniowym ludność Jugosławii dzieli się (według spisu ludności 1948 roku) na: prawosławnych 49,53%, katolików 36,70%, muzułmanów 12,52%, innych chrześcijan 1,14%, różnych 0,07%, izraelitów 0,04%.

ła nad Adriatykiem. Czy wytrzyma próbę czasu? Dla tych, którzy chcą przejść zwycięsko przez tę próbę, zdobycie czasu dla jej utrwalenia jest niewątpliwie rzeczą ogromnej wagi.

II

Przeglądałem się wystawom księgarskim. Znalazłem wiele tłumaczeń z literatury polskiej: „Ogniem i Mieczem” w pięknym wydaniu z ilustracjami Brandta, „Faraon” Prusa, mickiewiczowskie „Dziady”... Nie to jednak uderzyło mnie najbardziej. Oto w dziale literatury społecznej obok dzieł Marksa i Lenina zobaczyłem świeżo wydane wszystkie prawie klasyczne dzieła literatury socjalistycznej: Kautsky, Mehring, Cool, S.B. Webb, R. Luxemburg, R. Hilferding... Rzecz niesłychana w kraju, rządzonym przez komunistów! Drzwi zostały więc otwarte również w dziedzinie kształtowania ideologii. A może słuszniej: zniesienie kurtyny, oddzielającej od Zachodu, nie dało się pogodzić z utrzymaniem metod tresury ideologicznej na bazie nie-naruszalnych kanonów myślenia.

Spostrzeżenie to pogłębiło się, gdy z pomocą słownika i gramatyki udało mi się wejść w lekturę miejscowych wydawnictw publicystycznych. Uderzyła mnie od razu różnica pomiędzy nimi a pokrewnymi wydawnictwami sowieckimi czy naszymi krajowymi. Oto nie ma powoływania się na autorytety. Biorę zeszyt (nr 164) czasopisma „Ekonomika politika”. Znajdują się w nim artykuły polemiczne na tematy tak zasadnicze, jak o istocie dochodu narodowego i o metodach planowania gospodarczego. Czy można sobie wyobrazić, by w którymś z państw socjalistycznych napisano na takie tematy rozprawy bez oparcia się na jakiejś cytacie z Marksa czy Lenina i bez przygwożdżenia oponenta cytata z pism Stalina lub lokalnego „wodza”. Tutaj zaś mamy przeprowadzone zwykłe rozumowanie z powołaniem się jedynie na logikę.

Daleka droga dzieli ten jugosłowiański racjonalizm od sowieckiego dogmatyzmu. W konsekwencji dla słów i pojęć, stanowiących rację bytu partii, która chce wyrażać dążenia proletariatu, trzeba było szukać konkretnych ujęć i plastycznego wyrazu. Zniesienie przywilejów klasowych, przekształcenie najemnika w proletariusza, we współgospodarza społecznych procesów produkcji — wszystko to nie mogło pozostać tylko dekoracją, przykrywającą sprzeczną ze słowami praktykę. Trzeba było szukać dróg rzeczywistej realizacji głoszonych haseł. Mniejsza — ile działał tu przymus sytuacji, a ile świadomy wybór tej „jugosłowiańskiej drogi do socjalizmu”. Ważne, że wkroczone na drogę oryginalnych rozstrzygnięć, zasługujących na jak największą uwagę.

Kamieniem milowym na tej drodze jest wprowadzenie samorządu robotniczego w fabrykach i przedsiębiorstwach, stanowiących jednostki gospodarcze, które są własnością narodu (bardzo

się obrażano, gdy mówiłem o własności państwowej), lecz obdarzone daleką idącą autonomią.

Przyzwyczajony do komunistycznej fikcji robotniczego samorządu stawiałem mym rozmówcom wstępne pytania: ilu komunistów jest w Radzie robotniczej, czy jej przewodniczącym jest komunista, jak odbywają się wybory do rady? Odpowiedź z reguły była jednaka, niezależnie od tego, czy chodziło o fabrykę chemiczną, zakład mechaniczny, czy przedsiębiorstwo transportowe: wybory odbywają się na zebraniu ogólnym pracowników i robotników, komuniści są w mniejszości, przewodniczącego wybiera się bez zwracania uwagi czy jest lub nie jest członkiem partii, wybór zależy od kwalifikacji kandydata.

Przy bliższym badaniu okazuje się, że komórki komunistyczne mają dużo większy wpływ na dobór Rad robotniczych, będących organem samorządu robotniczego, niż wynikałoby to z liczebności komunistów, stanowią oni bowiem jedyną siłę zorganizowaną i przychodzą na zebrania z opracowanymi propozycjami, dotyczącymi kandydatów na różne stanowiska, bądź też załatwienia spraw, stojących na porządku dziennym. Przywilej to o ogromnym znaczeniu praktycznym, ale wykonywany, jak można sądzić, w warunkach pełnej swobody krytyki i ostatecznego wyboru ludzi.

Podobna sytuacja kształtuje się w związkach zawodowych. I tu wybory są swobodne. W organach związkowych członkowie partii komunistycznej są przeważnie w mniejszości, stanowią jednak jedyną grupę politycznie zorganizowaną, a więc decydującą. Chyba, że są zbyt nieliczni, lub w ogóle nieobecni w danej grupie, co też się nieraz zdarza.

Wydział Rady Robotniczej jest organem wykonawczym samorządu robotniczego w przedsiębiorstwie, zorganizowanym na modłę spółdzielczą. Wybiera on, angażuje lub odwołuje dyrektora, zobowiązanego do działania w ścisłym porozumieniu z wydziałem Rady Robotniczej. Wydział łącznie z dyrekcją opracowuje plan działalności przedsiębiorstwa i przeprowadza podział dochodu, ograniczony przepisami podatkowymi i inwestycyjnymi (określone odsetki dochodu brutto). Dokonywane on również podziału dochodu na dodatkowe wynagrodzenia ludzi zatrudnionych w danym przedsiębiorstwie (5% zysku brutto i nie więcej niż dwumiesięczna pensja rocznie) oraz na fundusz społeczny, z którego buduje się mieszkania lub urządzenia zdrowotne dla pracowników. W ten sposób Rada Robotnicza jest faktycznym gospodarzem przedsiębiorstwa.

Jak ten system działa w praktyce? Niewątpliwie są zgrzyty i niedociągnięcia, wynikające przede wszystkim z niedostatecznego przygotowania robotników. Członkowie Rad Robotniczych, z którymi rozmawiałem na ten temat, nie kryli, że wielu robotników mało sobie ceni osiągnięte uprawnienia, że istnieją tendencje rozdrapania przedsiębiorstwa, że powstają nadużycia, którym Rady nie potrafią zapobiec, a nawet zdarza się, że jej członkowie uczestniczą w okradaniu przedsiębiorstwa.

— Cóż — mamy dopiero pięć lat prawdziwego samorządu. Połowa naszych robotników to młodzi przybysze ze wsi. Z trudem uczy się człowiek chodzić samodzielnie, ale nasza klasa robotnicza robi szybkie postępy w samodzielnym chodzeniu.

Tak uogólniał swe wywody jeden z robotników. Chcę w to wierzyć, chociaż metoda ukrytego paternalizmu monopolistycznej partii nie może sprzyjać szybkości procesu dojrzewania samodzielnosci robotników. Ale przejdźmy do innej sfery zjawisk.

Przedsiębiorstwo przemysłowe, transportowe czy handlowe stanowi autonomiczną jednostkę, mogącą konkurować z podobnym przedsiębiorstwem. Nie mieści się w głowie jak można pogodzić taki stan rzeczy z zasadą planowania i potrzebą ekonomicznej wysiłku. Przeprowadziłem wśród wielu innych rozmów na ten temat dyskusję z jednym z profesorów uniwersytetu w Zagrzebiu. Swoją punkt widzenia ująłem w takich mniej więcej słowach:

— Dlaczego odrzucacie dorobek organizacyjny kapitalizmu, wyrażający się w kartelu, który reguluje ceny sprzedaży produktu według przeciętnej kosztów produkcji różnych przedsiębiorstw? W walce konkurencyjnej waszych zakładów przemysłowych zakłady gorzej postawione pod względem technicznym, komunikacyjnym czy surowcowym, muszą, chcąc wytrzymać konkurencję, obcinać zarobki. W rezultacie płaci za konkurencję robotnik. Poza tym wszelki plan wisi w powietrzu, bo wysokość produkcji zależy od wyników konkurencji, a nie od potrzeb kraju.

Mój rozmówca, przyznający się z uśmiechem, że nie jest członkiem partii ani nawet marksistą, dał mi wyjaśnienie, które można ująć w następującym skrócie:

— Nie chcemy dopuścić do powstania karteli, które musiałyby mieć tendencję narzucania swej woli społeczeństwu, stąd wpływa nasza polityka decentralizacji gospodarczej. Ujemnym wpływem konkurencji na poziom płac przeciwdziałają taryfy płac, określające minimum zarobku dla robotników danej gałęzi wytwórczości. Mniej rentowne przedsiębiorstwo może nie wypłacić dodatkowych pensji, przypadających z podziału zysków, ale musi wypłacić zarobki podstawowe. Nie ma też obawy, by nawet przedsiębiorstwo, pracujące z przyczyn obiektywnych drożej niż inne, nie sprzedało swego produktu, bo mamy i będziemy mieli jeszcze długo głód towarowy. Zgodnie z zasadą decentralizacji w przeciwieństwie do systemu sowieckiego planujemy gospodarkę od dołu. Bazę wyjściową stanowią plany, przedstawione przez poszczególne przedsiębiorstwa. Obejmują one plan produkcji, zbytu i inwestycji. Te plany gromadzi się w urzędach planowania poszczególnych republik i scala w plan krajowy. Plan krajowy przechodzi do urzędu planowania federalnego i przekształca się w plan federalny. Korektę planów, ich scharmonizowanie z potrzebami społecznymi i gospodarczymi całego państwa przeprowadzamy przede wszystkim za pomocą polityki kredytowo-inwestycyjnej. Tu następuje kategori-

na ingerencja państwa. Resztę pozostawiamy swobodnej grze praw ekonomicznych.

Uwagę o pozostawieniu pola „grze praw ekonomicznych” wypowiedział profesor ze specjalnym naciskiem. Pogodzenie planowania z konkurencją poszczególnych przedsiębiorstw i ze swobodą działania praw ekonomii — to niemały temat do rozmyślań.

Widać tu, jak w wielu innych przejawach polityki gospodarczej, wyraźną wolę wyciągnięcia wniosków z ujemnych doświadczeń sowieckich i niedopuszczenia do wszechwładzy biurokracji prowadzącej do utworzenia nowej klasy rządzącej i uprzywilejowanej. Innym, bijącym w oczy, przejawem tej troski jest ustanowienie w taryfach płac obok minimum zarobku również maksimum wynagrodzenia w granicach stosunku 1:4. Pensja dyrektora czterokrotnie tylko wyższa od zarobku niewykwalifikowanego robotnika! Sowiecka walka z „urawniówką” nie znalazła uznania w oczach jugosłowiańskich komunistów. Egalitaryzm, przejawiający się w zasadzie minimum i maksimum wynagrodzenia, może stanowić potężny czynnik kształtowania się przyszłych stosunków społecznych w tym kraju.

III

Pytałem przewodniczącego Rady Robotniczej jednej niewielkiej fabryki czy robotnicy są zadowoleni ze stosunków w zakładzie.

— Na pewno nie. Trudno o zadowolenie, gdy zarobki są niskie. Pewne polepszenie zarobków w stosunku do czasów przedwojennych nie daje jeszcze satysfakcji. Podniesienie ich przez rozszerzenie świadczeń socjalnych nie wszyscy dostrzegają. To zaś, że rządzą w fabryce, wydaje się im już czymś naturalnym. Zresztą byłoby źle, gdyby byli zadowoleni — dorzucił mój rozmówca z uśmiechem. — Zarabiają tyle, na ile nas dziś stać. Niezadowolenie popycha ku podniesieniu produkcji, a przez to do podniesienia standardu życiowego.

Jeśli niezadowolenie jest bodźcem postępu, to źródeł niezadowolenia z płac nie brakuje. W zasięgu moich spotkań i rozmów ustalałem, że minimalna płaca waha się około 7 tysięcy dinarów miesięcznie. Ale przy zarobku 7 tysięcy dinarów w Jugosławii może się robotnik z rodziną wyżywić i mieszkać. Ale inne potrzeby, jak obuwie, ubranie są nie do zaspokojenia. A jednak ludzie są ubrani i obuci. Obserwując rozgadany wesoło tłum mieszkańców miasta, a wśród niego strojne i zgrabne dziewczyny wiejskie, nie potrafiłem odpowiedzieć na pytanie, jak się to dzieje, że ludzie nie chodzą w łachmanach.

Mówiono mi o wielkiej pomocy ze strony krewnych, mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Czyżby ta pomoc mogła być tak powszechna, że wyraża się w wyglądzie zewnętrznym

całego społeczeństwa? Zostawiam zagadkę bez rozwiązania. Może zarobek drugiej osoby w rodzinie równoważy już budżet...

Na zakończenie parę uwag o systemie wynagradzania. Wspomniałem o dwóch głównych elementach: minimum i maksimum zarobku są określone w cenniku płac, który stanowi podstawę umów zbiorowych. Poza tym — dodatek z podziału zysków przedsiębiorstwa. Pozostaje problem kształtowania poszczególnych stawek według stopnia kwalifikacji, rodzaju pracy i jej wydajności.

Oderwanie się od sowieckich wzorców i otworzenie drzwi na Zachód przyniosło dostosowanie się w organizacji pracy i metodach wynagradzania do postulatów zasadniczych wolnego ruchu robotniczego. Normy pracy zostały wprowadzone do roli, określającej zadanie, jakie może wykonać przeciętnie uzdolniony robotnik. Premiowanie wydajności indywidualnej czy zespołowej odbywa się na zasadach zwykłego systemu akordowego z tym, że minimum zarobku dla każdego rodzaju pracy zawiera obowiązująca taryfa.

— A jak ze współzawodnictwem? Z wyścigami pracy? Z zadaniami okolicznościowymi?

— Te głupstwa zostawiliśmy razem z protektorem sowieckim — brzmiała zdecydowana odpowiedź wykwalifikowanego mechanika, z którym mogłem się zbliżyć dzięki wspólnym znajomym.

— Ale przekraczacie wyznaczone normy i jest to dobrze widziane przez dyrekcję?

— Zapewne. Chodzi nam o podnoszenie wydajności osobistej i grupowej; ale nikt z nas nie potrafi przekroczyć normy więcej niż o 15-20 %. Przecież różnice indywidualne w zdolności do pracy nie mogą obejmować wyższej skali.

— A jeśli ktoś nie potrafi wykonać normy — pytam — przychodzi redukcja zarobku?

— Gdy nie wykonuje normy w ciągu dłuższego czasu otrzymuje tylko stawkę cennikową, jako minimum związane z danym rodzajem pracy i — jeśli nadal nie daje sobie rady, zostaje przeniesiony do innego zajęcia.

— Kto o tym decyduje?

— Dyrekcja w porozumieniu ze związkiem zawodowym.

— Przeniesienie wiąże się z redukcją płacy?

— Nie zawsze. Może być przeniesiony nawet do kategorii lepiej płatnej, jeśli to odpowiada jego zdolnościom i upodobaniom. Zły robotnik przy jednej robocie, może się okazać doskonałym przy innej.

Porzucenie totalnego planowania i centralnego zarządzania gospodarką doprowadziło Jugosławię do nawrotu ku koncepcji trzysektorowej gospodarki, jak to planowano w Polsce w latach 1945-1946. Sektor państwowy, spółdzielczy i prywatny. Wyrzeczono się więc wpychania chłopów przemocą do spółdzielni produkcyjnych. Rzemiosło przemysłowe i usługowe dostało swobodę życia i rozwoju. Drobny handel i handel targowy stał

się domeną prywatnej inicjatywy. Cały natomiast przemysł i transport masowy, hotelarstwo, żegluga, duża część przemysłu rybackiego i część rolnictwa zostały objęte przez państwo lub spółdzielnie.

Trudno mi wypowiedzieć się ostatecznie jak ten system funkcjonuje i jakie wyłania problemy. Okazało się na przykład, że niektóre restauracje, sklepy i kawiarnie zostały oddane pod zarząd prywatny nieraz dawnym właścicielom na warunkach ryczałtowej opłaty. Obserwator postronny widzi jednak wystawy „postolarzy”, pełne ładnego i dobrego obuwia, magazyny krawieckie, obficie zaopatrzone w dobrze uszyte ubrania. Wątpię bardzo, by zdarzyło się, żeby nie można było znaleźć odpowiedniego numeru obuwia, albo by rękawy czy nogawice ubrania nie pasowały do siebie rozmiarem, jak to często bywa w krajach podsowieckich.



Na krótko przed wyjazdem z Jugosławii spacerowałem po wybrzeżu morskim z młodym członkiem Związku Komunistów Jugosłowiańskich. Gwarzyliśmy o marksizmie, leninizmie i stalinowskich dziwolągach. Powiązały już nas poprzednio nici sympatii i rozmowa wykraczała poza ramy wszelkiego skrupowania wypowiedzi myśli.

Postawiłem pytanie, dość drażliwe dla członka partii:

— Co myślicie o Dżilasie i jego wystąpieniu za dalszym demokratyzowaniem życia wewnętrznego i dopuszczeniem istnienia partii socjalno-demokratycznej?

— My wszyscy zgadzamy się z Dżilasem — brzmiała natychmiastowa odpowiedź, — tylko że wystąpił on o pięć lat za wcześniej.

Nie sądzę, by „my wszyscy” oznaczało cały Związek Komunistów Jugosławii. Raczej koło ludzi, w którym obraca się mój rozmówca. Być może takich kół jest dużo. Najważniejsze jednak i prawdziwe w tym wyznaniu wydaje mi się coś innego: poczucie, że stosunki wewnętrzne w Jugosławii są w toku rozwoju, będą się zmieniać w kierunku coraz większych swobód, aż do swobody politycznej włącznie. Ta nadzieja żyje nawet w szeregach partii komunistycznej, i, zdaje się, nikt nie odbiera nadziei.

— Wszystko pójdzie znów na moskiewskie podwórko — usłyszałem w innym gronie i lęk przed takim obrotem rzeczy napotykałem nieraz.

Miedzy nadzieją na rozwój w kierunku rozszerzania wolności i obawą przed nawrotem do wzorców sowieckich układa się życie w dzisiejszej Jugosławii. Życie przy drzwiach otwartych na świat ze swymi prawami pokonywania lęku i realizowania nadziei.

Zygmunt ZAREMBA

Które z przemian w Polsce są odwracalne? (II)

ANKIETA POD REDAKCJĄ ST. ZARZEWSKIEGO

Rozdział III

PRZEMYSŁ

Sedno strukturalno-gospodarczych przemian Polski leży w dziedzinie przemysłu: liczne, jeżeli nie wszystkie pozostałe przemiany, w większej lub mniejszej mierze, są pochodnymi zmian, przeprowadzonych na terenie przemysłu, są korelatywami danego potencjału przemysłowego Polski. Musimy jasno zdać sobie sprawę z rodzaju i ogromu tych przemian, z tych faktów dokonanych, gdyż tylko istniejący stan faktyczny może być punktem wyjścia dla takiego czy innego rozumowania polityczno-gospodarczego na przyszłość. Poniżej przedstawiam poglądy

(*) Rozdziały I i 2 były drukowane w poprzednim numerze „Kultury”. Tamże podaliśmy personalia części autorów. Oto dalsze personalia: 1) Karol Aberstein, urzędnik; 2) Henryk Barecki, brak danych; 3) inż. Bolesław Bednarz; 4) Dr Józef Chrzyszczewski, nauczyciel; 5) Stanisław Ciągłowski, nauczyciel; 6) Józef Dolecki, urzędnik; 7) Franciszek Juszkiewicz, technik; 8) Wacław Kobart, urzędnik; 9) Inż. Janusz Kowalski, 10) inż. Witold Krotkiewski; 11) Józef Leśniewski, uczeń szkoły technicznej; 12) inż. Witold Lewicki; 13) Franciszek Matusiak, mechanik; 14) Stanisław Nowakowski, brak danych; 15) Stanisław Pawłowicz, mgr. ekonomii; 16) Alojzy Pietrusiński, pracownik przemysłu; 17) Kazimierz Piwowar, technik; 18) Kazimierz Płaszczynski, samouk; 19) Bernard Rusikiewicz, robotnik; 20) Wiktor Rutland, biuralista; 21) Marek Segal, aptekarz; 22) inż. Stanisław Wiktor Szczepanowski; 23) Antoni Szeriga, urzędnik w biurze przemysłowym; 24) Józef Tymocki, robotnik; 25) inż. Ryszard Wolpert; 26) dr Edward Zabielski; 27) Bolesław Zajkowski, pracownik przemysłu.

uczestników ankiety odnośnie pięciu podstawowych przemian, które w ostatnim dziesięcioleciu nastąpiły na terenie przemysłu polskiego. Są to: 1) upaństwowienie przemysłu, 2) ogromny wzrost potencjału przemysłowego, 3) prymat ciężkiego przemysłu, 4) nowe gałęzie przemysłu, 5) zmiany w strukturze i organizacji przemysłu.

UPAŃSTWOWIENIE PRZEMYSŁU

Jaki jest zakres upaństwowienia? Według *p. Poniatowskiego*: „Poza bezpośrednią dyspozycją administracji znajduje się dziś niewielka tylko ilość drobnych warsztatów rzemieślniczych i trochę przemysłu domowego”. Według *p. Goreckiego*: „Fabryki i zakłady przemysłowe, stanowiące własność publiczną, wytwarzają dziś około 99 procent globalnej produkcji przemysłowej; własność prywatna narzędzi produkcji ogranicza się do małych zakładów przemysłu środków spożycia, obsługiwanych w większości wypadków przez właściciela i członków jego rodziny”. Według *p. Pawłowicza*: „Cały przemysł został już upaństwowiony, skoncentrowany, i jego organizacja jest zbudowana według jednego schematu”. Według *dr. Chruszczewskiego*: „Polska przemysłu prywatnego żyje tylko we wspomnieniach emigrantów i to tylko tych, którzy mają ponad trzydzieści lat; w rzeczywistości przemysł prywatny nie istnieje, po prostu nie ma go, i nikt w Polsce za nim nie tęskni, co bynajmniej nie oznacza, że Polacy się zbolszewizowali”. Powyższe konstatacje można streścić w ten sposób, że, praktycznie biorąc, cały przemysł polski został upaństwowiony.

Z kolei nasuwa się pytanie, jak uczestnicy ankiety zapatrują się na sprawę ewentualnej reprivatyzacji przemysłu. Czy jest możliwa? A jeżeli tak, to czy jest wskazana? Ankieta nie daje pod tym względem odpowiedzi ani w formie ogólnego „za” ani w formie ogólnego „przeciw”. Odpowiedzi wypadają różnie w zależności od tego, o jaką dziedzinę przemysłu chodzi: o przemysł ciężki czy lekki, o wielki, średni czy mały, o produkcję środków wytwórczości czy dóbr konsumpcyjnych, o przemysł zagrożony monopolem prywatnym czy nie zagrożony itd. Jedyne dwa mocno zarysowane wyjątki stanowią opinie *pp. Heimana-Jareckiego* i *dr. Chruszczewskiego*. Z odpowiedzi pierwszego wynika, że jest on zwolennikiem kompletnej reprivatyzacji przemysłu choć uznaje, że sam proces reprivatyzacji musi się różnie przedstawiać w różnych działach przemysłu, że np. w przemyśle wielkim „musiałby zabrać dużo czasu”. *Dr. Chruszczewski* natomiast pisze: „O reprivatyzacji w ogóle nie może być mowy, gdyż byłaby ona nonsensem historycznym; cały przemysł musi być własnością całego społeczeństwa”.

W kierunku reprivatyzacji przemysłu idzie *p. Poniatowski*, ale przedstawia program raczej umiarkowany. Píše on między innymi:

Upaństwowienie przemysłu jest przemianą oczywiście odwracalną, która też w dużym stopniu musi być odwrócona, objęła bowiem dziedziny, których upaństwowienia nie domagają się nawet partie socjalistyczne w krajach demokratycznych. Jestem zwolennikiem polityki wielkiego umiarkowania w ambicjach gospodarczych państwa, ale uważam monopole czy oligopole prywatne, o ile mają zapewnioną skuteczność, za bardziej szkodliwe od państwowych. Dlatego sądzę, że należałoby, prowadząc politykę antykartelową i ułatwiając stwarzanie outsiderskich konkurencji, upaństwić te gałęzie, w których nie byłoby nadziei na osłabienie skuteczności kartelizacji. W szczególności dotyczyłoby to zapewne węgla, hutnictwa żelaza i tej części przemysłu zbrojeniowego, w której państwo, z przyczyn pozagospodarczych, nie może dopuścić normalnej konkurencji. Niewątpliwie państwo musi być centralnym dysponentem ogólnokrajowego systemu elektryfikacji, jak i systemu rurociągów gazowych, co nie koniecznie wymaga państwowej własności wszystkich źródeł energii, a raczej systemu dystrybucji. Pozostałoby również w rękach państwa monopole fiskalne, chociaż wydaje mi się, że warto rozważyć wyłączenie z ich liczby monopolu solnego. Za powrotem wielkiej części przemysłu w ręce prywatne przemawia głównie argument sprawności gospodarczej. Upaństwowienie oznacza monopolizację, wyłącza więc działanie tego potężnego czynnika postępu, którym jest współzawodnictwo. W żadnym z państw komunistycznych, nie wyłączając ZSSR, nie udało się osiągnąć wysokiej jakości produkcji, a jak się zdaje, także jej taniości. Nie można mieć zastrzeżeń przeciwko istnieniu przedsiębiorstw spółdzielczych lub innych społecznych bez uprawnień monopolowych, które mogą przysługiwać tylko przedsiębiorstwom użyteczności publicznej, stanowiącym własność samorządów.

P. Sokołowski również ma obawy w związku z ewentualną groźbą monopoli prywatnych w zreprivatyzowanym przemyśle. Píše on:

Własność państwowa (przemysłu) względnie kierownictwo państwowe albo co najmniej nadzór państwa będą potrzebne tam, gdzie istnieją naturalne podstawy do monopolizacji ze wszystkimi jej niebezpieczeństwami dla ogółu i gdzie trudno się spodziewać korzyści gospodarczych po wprowadzeniu zasady wolnego współzawodnictwa. Reszta, czyli przeważająca część przemysłu, winna zostać uprywatniona. Będzie to jednak chodziło nie o powrót do stanu poprzedniego, lecz o stworzenie warunków dla jak najszybszego i najpomyślniejszego dalszego rozwoju narodowego. W zakresie produkcji przemysłowej jest możliwe natychmiastowe zniesienie ograniczeń i zakazów, które zatałowały i prawie już zniszczyły przedsiębiorczość prywatną. Takie zniesienie ograniczeń i zakazów nie przesądza o losie istniejących placówek państwowych i stanowi absolutnie, zdaniem moim, konieczną część polityki antytalitarnej. Kaftan bezpieczeństwa, naciągnięty przemocą na żywy organizm polskiego gospodarstwa narodowego, powinien zniknąć. Będzie to w zgodzie z naczelnym zadaniem wyzwolenia kraju i jego sił twórczych, nie utrudniając ewentualnego rozwoju, w późniejszym okresie, rzetelnego demokratycznego socjalizmu, o ile kraj obierze sobie tę właśnie formę swego przyszłego ustroju (czego osobiście nie jestem zwolennikiem). Emancypacja chłopów polskiego winna znaleźć odpowiednik w uwłaszczeniu przedsiębiorcy.

Nastawienie antymonopolistyczne zarysowuje się wyraźnie w wywodach *p. Szczepanowskiego*, który mówi: „Uchylenie doktryn o zbawienności monopolistycznej struktury przemysłu oraz centralnego i arbitralnego kierowania nim, nie może się ograniczyć do komunistycznej wersji tych doktryn. Nie po to bowiem uchylimy komunizm, by zawracać ku praktykom np. Lewiatana w przedwojennej Polsce”.

Pod kątem pytania: „Własność prywatna czy publiczna” *p. Pawłowicz* dzieli przemysł na cztery wielkie grupy. Do *pierwszej* zalicza przedsiębiorstwa, mające charakter „naturalnych monopolii” (przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, wodociągi, gazownie, elektrownie, komunikacja miejska), które powinny być własnością publiczną, przy możliwie najdalej idącej decentralizacji z tym, że własność państwowa jest konieczna tylko w gospodarowaniu liniami wysokiego napięcia. *Druga* — to ciężki przemysł: metalurgia, „ciężki przemysł chemiczny” np. nawozy sztuczne. W tej grupie, zdaniem autora, „jest rzeczą konieczną pozbawienie istniejących centralnych zarządów demoralizującego stanowiska monopolistycznego i rozbić ich na szereg autonomicznych jednostek, przy czym jest pożądane, aby przynajmniej niewielka część produkcji w każdej dziedzinie znalazła się w rękach prywatnych, a to dla uzyskania możliwości porównywania osiągniętych wyników. *Trzecia* grupa obejmuje przemysł metalowo-przetwórczy i przemysły lekkie. Tutaj rozmiary poszczególnych zakładów są mniejsze, a wielka różnorodność ich produkcji jest jeszcze bardziej niż w innych przemysłach zagrożona przez biurokratyzację, toteż fabryki te winny stać się terenem uprzywilejowania na większą skalę. *Czwarta* grupa obejmuje przedsiębiorstwa przemysłu rolnego. Cukrownie, gorzelnie, bekoniarne, fabryki konserw mogą być również organizowane na zasadach spółdzielczych. Autor ma tutaj na myśli zrzeszenia dostawców surowca, buraków, kartofli itp. *P. Pawłowicz* dopuszcza również możliwość posiadania przedsiębiorstw przemysłowych przez spółdzielczość: przez związki spóżywców, i przypuszcza, że tego rodzaju przedsiębiorstwa prosperowałyby lepiej w rękach „Społem” niż w rękach państwa.

Dr Paszkowski uważa reprivatyzację przedsiębiorstw upaństwowionych za wskazaną z wyjątkiem przemysłów zbrojeniowego, komunikacyjnego i łączności. Ale, dodaje, „gdyby się nawet znalazły możliwości prowadzenia przedsiębiorstw w rękach prywatnych, to państwo musiałoby zabezpieczyć sobie prawo koncesjonowania ich względnie nawet przejścia do typu przedsiębiorstw mieszanych”. *P. Szczepanowski* jest za pozostawieniem w rękach państwa kopalń i przemysłu ciężkiego „przynajmniej na dłuższy jeszcze okres czasu, co nie wyklucza dopuszczenia prywatnej inicjatywy w stosunku do nowych obiektów”.

P. Gorecki, rozważając sprawę reprivatyzacji przemysłu, daje różne w zasadzie formuły dla dziedziny produkcji środków

wytwórczych i dziedziny produkcji środków spożycia choć ostatecznie dochodzi w obu wypadkach do praktycznie... tych samych niemal wniosków. O ile chodzi o przemysł środków wytwórczych, to stanowczym zdaniem autora „powrotu do prywatnej własności narzędzi produkcji praktycznie nie ma”. Tezę tę autor uzasadnia w sposób następujący:

Olbrzymia większość obecnego potencjału gospodarczego w przemyśle środków produkcji nie posiada dziś innego właściciela niż społeczeństwo polskie. Akumulacja kapitału dokonywała się bowiem kosztem przeznaczenia ponad 1/4 dochodu społecznego na inwestycje przemysłowe, a więc kosztem poważnego ograniczenia spożycia społeczeństwa jako całości. Przymusowe oszczędności całego społeczeństwa były więc jedynym źródłem kapitału dla obecnego potencjału przemysłowego w omawianej dziedzinie. Nawet tam, gdzie rozbudowa obiektów przemysłowych odbywała się w oparciu o przedwojenne fabryki i huty, będące własnością prywatną, obecny obiekt niewiele ma wspólnego, poza położeniem geograficznym, z przedwojennym obiektem. I jak tu w tych warunkach można mówić o przywróceniu tytułu własności. Istnieje oczywiście teoretyczna możliwość wykupienia gotowych obiektów przemysłowych przez kapitał prywatny. Ale polskie-ko kapitału prywatnego w chwili wyzwolenia nie będzie, a nie wydaje mi się, aby praktycznie ktoś próbował bronić rozwiązania, polegającego na oddaniu własności całego społeczeństwa kapitałowi zagranicznemu.

Autor przytacza jeszcze jeden argument przeciwko reprivatyzacji przemysłu środków wytwórczych. Uważa, że zachowanie go w rękach państwa jest warunkiem koniecznej, jego zdaniem, gospodarki planowej, zmierzającej do 1) wyrównania zwichniętej równowagi między produkcją środków wytwórczości a produkcją dóbr spożycia, i 2) zabezpieczenia jak najszybszego rozwoju niezbędnych obiektów przemysłu środków spożycia.

O ile chodzi o drugą wielką dziedzinę przemysłu, o wytwarzanie dóbr spożycia, to *p. Gorecki* uważa reprivatyzację jej za bardziej złożoną, niż dziedziny poprzednio omówionej, a to ze względu na konieczność bardziej elastycznej jego produkcji, która musi być dostosowywana do częstych zmian w popycie. Niemniej jednak, odnośnie „wszystkich wielkich obiektów, wybudowanych, całkowicie odbudowanych lub zasadniczo przebudowanych w ostatnim dziesięcioleciu”, autor zaleca stosowanie również zasady, że własność publiczna tych zakładów jest obiektywnie nieodwracalna.

Prof. Marczewski ujmuje sprawę pod kątem podziału przemysłu na wielki, średni i mały. O ile chodzi o przemysł wielki, to powrót jego do rąk prywatnych uważa za niewskazany, a nawet za niemożliwy, zaznacza jednak, że utrzymanie tego przemysłu w rękach państwa powinno iść w parze z decentralizacją dyspozycji gospodarczej, z większym zainteresowaniem pracowników zarządzaniem przedsiębiorstwami, ze zwiększeniem pola działania praw gospodarczych w dziedzinie kształtowania cen,

asortymentu, zakupu materiałów i zbytu towarów. Autor domaga się też od przemysłu państwowego bardziej racjonalnego ustalania kierunków inwestycyjnych na szczeblu ogólnonarodowym — przy zastosowaniu metod naukowych, oraz zerwania z arbitralnością decyzji, pomijającej potrzeby i upodobania ludności. W dziedzinie przemysłu średniego i małego stopniowy powrót do własności prywatnej i do dobrowolnej kooperacji wydaje się autorowi pożądanym ze względu na: 1) łatwiejszą mobilizację kapitałów prywatnych w tym wypadku, 2) większą w zasadzie elastyczność i ruchliwość zarządu, lepsze dostosowanie się do rynku, 3) notoryczne niepowodzenie centralnego planowania produkcji w średnich i małych przedsiębiorstwach, o czym uczy doświadczenie krajów komunistycznych. Wreszcie 4) w prywatnej własności przedsiębiorstw niewielkich autor nie dopatruje się — przy ingerencji państwa w życie gospodarcze — tych niebezpieczeństw, które widzi w wielkiej własności prywatnej o charakterze mniej lub więcej monopolistycznym. W opinii *prof. Marczewskiego* powrót do prywatnej własności małego i średniego przemysłu nie wyłącza prób zachowania przedsiębiorstw miejskich i komunalnych.

P. Szczepanowski — „jakkolwiek entuzjasta prywatnej inicjatywy” — zwraca uwagę na pożyteczność, a nawet konieczność objęcia przez państwo pewnych organizmów gospodarczych, a następnie „jedynie stopniowego i planowanego parcelowania, uprywatniania lub likwidowania ich”. Zdaniem autora powinna zostać od razu otwarta szeroka możliwość zakładania przedsiębiorstw prywatnych, jednakże „mowy nawet być nie może o symplicystycznym oddawaniu przedsiębiorstw dawnym ich właścicielom”.

P. Heydenkorn zwraca uwagę na powiązanie sprawy własności środków produkcji ze sprawą demokratyczności społeczeństwa. Zdaniem autora nie można utrzymać obecnego stanu rzeczy, w którym cały przemysł jest państwowy, co koliduje z zasadą demokracji. „Nie ma najmniejszej potrzeby, by przemysł przetwórczy, tekstylny, odzieżowy czy luksusowy znajdował się w zasięgu własności czy kontroli państwowej, ale kluczowe gałęzie produkcji powinny pozostać pod kontrolą państwa”.

Przedstawiłem powyżej jedynie poglądy najpełniej w odpowiedziach zarysowane. Zaznaczam, że:

a) za realnością i pożytecznością *kompletnej reprivatyzacji* przemysłu wypowiedzieli się ponadto *pp. Kowalski, Pietrusiński, Segal i dr Żabielski*;

b) za koniecznością *socjalizacji całego przemysłu* wypowiedzieli się ponadto *pp. Bednarz, Bolecki, inż. Krotkiewski, Matysiak, Tymocki i Wolpert*;

c) za realnością i koniecznością *częściowego uchylenia socjalizacji przemysłu* wypowiedzieli się ponadto *pp. Aberstein, Ciąglewski, Juszkiewicz, Kobart, Leśniewski, Lewicki, Nowicki, Nowakowski, Piwowar, Plaszczyński, Rusikiewicz, Rutland*.

OGROMNY WZROST POTENCJAŁU PRZEMYSŁOWEGO

Tablica statystyczna, opracowana przez *p. Goreckiego* na podstawie danych działu gospodarczego Radia Wolnej Europy (Sekcja Polska) w Monachium, wymownie ilustruje powyższą przemianę. Biorę z tej tablicy dane, dotyczące lat 1938 i 1954; przy czym zaokrąglam liczby do milionów ton (wyprodukowanych w przedsiębiorstwach, wytwarzających środki produkcji).

Dobro	1938	1954
Węgiel	38.1	91.3
Koks	2.3	8.5
Ruda żelazna	0.9	1.7
Surówka	0.9	2.4
Stal	1.4	4.0

Jak widać z powyższego, wzrost potencjału przemysłowego Polski jest istotnie bardzo wielki. *P. Poniatowski* sądzi, że przemiana ta nie jest jednak tak radykalna, jakby to wynikało z propagandy reżymowej, która posługuje się w przedstawianiu obecnego stanu rzeczy środkami statystycznymi, do pewnego stopnia zaciemniającymi obraz rzeczywistości. Ale nawet po „odliczeniu” pewnego procentu na propagandę reżymową autor uważa, że Polska jest już silnym państwem przemysłowym.

P. Pawłowicz wypowiada ze swej strony zastrzeżenia pod adresem statystyki urzędowej w związku z tak ważną, dla oceny omawianej przemiany, sprawą rozmiaru zainwestowanych w przemysły kapitałów:

Mam duże zastrzeżenia co do wiarygodności cyfr statystycznych, które są czasem w Polsce podawane i osobiście nie wierzę, aby procent dochodu narodowego, używany na inwestycje, przekraczał dwadzieścia. Zonglowanie cenami „niezmiennymi”, „porównywalnymi” i po prostu cenami bieżącymi tak zaciemnia sytuację, że trudno sobie wyrobić jakiś pogląd. Nie ulega wątpliwości, że państwo zatrzymuje w swoich rękach ogromną część dochodu narodowego, zostawiając bardzo niewiele na potrzeby konsumpcji i akumulacji indywidualnej. Nie ulega też wątpliwości, że ogromną część środków państwo wydaje na zbrojenia, na utrzymanie sił zbrojnych, na utrzymanie licznej biurokracji państwowej, partyjnej itp. oraz na pilnowanie wszystkich i wszędzie i na pilnowanie tych, którzy pilnują. Nie ulega wreszcie wątpliwości, że dążność do uzyskania efektów propagandowych prowadzi do budowania wciąż nowych fabryk, nowych kopalń itd. kosz-

tem konserwacji i remontu urządzeń istniejących. Nowy sprzęt jest zwykle od początku niskiej jakości, jest często niewłaściwie używany, i z reguły na konserwację jego brak czasu, materiałów i części zapasowych. Trzeba liczyć się z tym, że możemy zastać w Polsce dużo maszyn, nadających się na złom i w ogóle dużo rzeczy w złym stanie. Zapewne ogromną część wysiłku inwestycyjnego w pierwszym okresie po wyzwoleniu zabierze ratowanie od zniszczenia inwestycji istniejących.

Jakkolwiek w szczegółach przedstawia się stan uprzemysłowienia dzisiejszej Polski, faktem jest, że mamy przed sobą *kompletnie zmieniony obraz gospodarstwa społecznego: jest to gospodarstwo przemysłowo-rolnicze z bardzo silnym elementem przemysłowym*. Czy ten stan rzeczy jest obiektywnie odwracalny i czy powinien być odwrócony? P. Poniatowski, mówiąc o „ogromnym rozwoju przemysłu i wzroście jego znaczenia w gospodarstwie”, stwierdza, że przemiana ta jest nieodwracalna. P. Szczepanowski pisze: „Musimy pozbyć się wszelkich złudzeń i marzeń lub obaw, aby możliwe było w sprawach gospodarczych w ogóle, a w sprawach techniczno-przemysłowych w szczególności, przyjęcie tezy i programu restytucji status quo”. P. Zajkowski pisze: „Budowa gospodarki komunistycznej jest pod wieloma względami przeciwna naturze ludzkiej, na ogół jednak uprzemysłowienie jest dla Polski rzeczą zbawienną i gospodarczo zdrową. I dlatego ta przemiana gospodarcza jest nieodwracalna”. W podobnym sensie wypowiada się bodaj 99% uczestników ankiety, a wielu spośród nich formułuje swe poglądy w tych samych niemal słowach: „Co się stało, to się nie odstanie”. Powrót do koncepcji Polski rolniczej jest ich zdaniem wyłączony; poglądy, w ogólnym tego słowa znaczeniu, pro-przemysłowe występują bardzo silnie. Ale to bynajmniej nie oznacza, że uczestnicy ankiety aprobują *kierunek* uprzemysłowienia, nadany Polsce przez jej obecnych rządców.

PRYMAT CIĘŻKIEGO PRZEMYSŁU

Na terenie tej właśnie przemiany jest centralny i zarazem najbardziej kontrowersyjny problem strukturalno-przemysłowy, a pośrednio — i ogólny problem polskiej struktury gospodarczej. Zagadnienie to sprowadza się do następującego pytania: jaki powinien być wzajemny stosunek potencjału przemysłowego w dziedzinie produkcji środków wytwórczości do potencjału przemysłowego w dziedzinie produkcji środków spożycia. Pod tym względem nastąpiło jak wiadomo, bardzo duże zwicnięcie równowagi w strukturze przemysłowej Polski: na rzecz przemysłu, wytwarzającego środki produkcji. Niewłaściwy kierunek uprzemysłowienia jest przedmiotem silnej krytyki p. Pawłowicza, który pisze:

Jest on niewłaściwy z kilku punktów widzenia. Rozbudowa przemysłu polskiego, wzorowana na podobnej akcji w Rosji, idzie w kie-

rynku zbytniego nacisku na przemysł ciężki, co można wytłumaczyć jedynie potrzebami przemysłu wojennego. Dalej, rozbudowa ta jest nastawiona na potrzeby Rosji czy też innych krajów, w których Rosja jest politycznie zainteresowana np. Chin. Po trzecie, plany rozbudowy, również pod wpływem rosyjskim, idą w kierunku budowy wciąż nowych zakładów bez należytego uwzględnienia technicznego usprawnienia zakładów istniejących oraz zaopatrzenia ich w drogi dojazdowe, sprzęt, mieszkania dla pracowników itd.

Autor uważa, że „na bazie obecnej produkcji stali w Polsce można by zbudować znacznie większy przemysł metalowo-przetwórczy”.

Czy zmiana we wzajemnym stosunku potencjału przemysłu środków wytwórczości do potencjału przemysłu środków spożycia jest odwracalna? Na to pytanie p. Gorecki — najbardziej zdecydowany wśród uczestników ankiety zwolennik przemiany w kierunku przemysłowo-rolniczym — odpowiada: „Oczywiście — jak najbardziej. Mało tego! Przywrócenie równowagi struktury przemysłowej jest gospodarczą koniecznością”.

Znakomita większość uczestników ankiety wypowiada się w powyższym sensie, uważając obecny kierunek uprzemysłowienia Polski za jednostronny i szkodliwy w swym nadmiernym natężeniu. Zalecają oni przy tym najrozmaitsze metody polityczno-gospodarcze, prowadzące do odwrócenia kierunku uprzemysłowienia. Niestety, z powodu braku miejsca nie mogą tu przytoczyć tych wywodów — bardzo interesujących, a nieraz głęboko przemysłanych. Warto jednak zaznaczyć, że wielu uczestników ankiety wyobraża sobie, iż przeznaczenie 15% dochodu narodowego na całokształt inwestycji przemysłowych byłoby cyfrą wystarczającą i wskazaną.

Duża ilość autorów usiłowała — z dotychczasowego rozwoju rzeczy — wyprowadzić pewne horoskopy co do dalszego kierunku polityki przemysłowej dzisiejszego rządu warszawskiego. Jest to zagadnienie tak ważne i fascynujące dla polskiego polityka i ekonomisty, że sprzeniewierzając się przyjętej przeze mnie „zasadzie nieprorokowania”, zacytuję tu choćby jeden głos na ten temat. Dr Zauberman pisze: „Jakkolwiek mogą być jeszcze zygzyki taktyczne, przewidywać należy, iż w dalszym ciągu akcent pozostanie na rozbudowie przemysłu dóbr wytwórczych. Można przyjąć za rzecz prawie pewną, że nim przyjdzie zmiana polityczna — oblicze przemysłowe Polski będzie już ostatecznie uformowane, a dyskusja czy i w jakim kierunku należało Polskę uprzemysławiać będzie w ogóle bezprzedmiotowa”.

NOWE GAŁĘZIE PRZEMYSŁU

Tę sprawę omówił wyczerpująco — rzecz szczególna — tylko jeden z uczestników ankiety, p. Gorecki. Inni autorzy poprzestali na wzmiankach choć niewątpliwie przemiana ta należy do kategorii podstawowych. Tak więc przedstawiam tu wywoły

tylko *p. Goreckiego*, przy czym, z powodu braku miejsca, silnie je streszczam.

Przez „nowe gałęzie przemysłu” autor rozumie te, które wytworzą towary nieprodukowane w kraju przed wojną, ale równolegle mówi też o niektórych przemysłach „powiększonych” w stosunku do okresu przedwojennego. Będąc zwolennikiem dążenia do wszechstronnego rozwoju produkcji przemysłowej i specjalizacji w dziedzinach najbardziej opłacalnych, ale *nie* dążeń autarkicznych — autor wysuwa trzy kryteria, warunkujące zasadność zachowania nowych przemysłów. Oto te kryteria: 1) posiadanie bazy surowcowej na terenie kraju, 2) *koszta* w produkcji krajowej niższe niż w imporcie, 3) istnienie dużego krajowego rynku zbytu dla danych produktów. Wychodząc z tych założeń autor wypowiada szereg uwag o poszczególnych przemysłach, dla przykładu wybranych:

Przemysł hutniczy: brak dostatecznej bazy surowcowej; przyszła Polska będzie musiała uważać ten problem za jeden z najważniejszych problemów gospodarczych, wymagających rozstrzygnięcia; w każdym razie „eksploatacja rudy żelaznej z piaszków żelazistych, do której ucieka się obecny reżym komunistyczny, jest nonsensem”.

Przemysł samochodowy: ze względu na dużą chłonność rynku na kilka podstawowych typów samochodów ciężarowych produkcja ich może być uzasadniona gospodarczo; stosunkowo wysoki koszt produkcji wozów osobowych przy małym na nie zapotrzebowaniu wskazuje raczej na opłacalność importu.

Przemysł chemiczny: cały szereg nowych jego działów opiera się całkowicie na surowcach krajowych, zupełnie uzasadniony jest więc np. szybki rozwój produkcji koksowniczej, produkcji kwasu siarkowego itd. Przemysł chemiczny posiada wszystkie trzy cechy niezbędne dla stwierdzenia nieodwracalności zaszłych przemian: wykorzystuje on surowce krajowe niemal we wszystkich działach swej produkcji, konkuruje skutecznie z wyrobami zagranicznymi na rynkach zachodnich (barwniki i garbniki syntetyczne) i wreszcie ma oparcie w szerokim popycie na rynku wewnętrznym (nawozy sztuczne, koks, włókna sztuczne).

Inne przemysły skutecznie konkurujące na rynkach światowych. Np. wagony kolejowe i lokomotywy, wyprodukowane w Polsce, zostały zakupione przez Burmę i Indie; cement polski skutecznie konkuruje z wyrobami zagranicznymi na rynkach Turcji i Argentyny; niektóre typy polskich obrabiarek są lepsze od niemieckich, szwajcarskich czy angielskich, mówi autor, i znajdują zbyt w Argentynie, Finlandii, nawet w Austrii. Takie przemysły należy utrzymywać.

Produkcja traktorów i innych maszyn rolniczych: może liczyć na duży zbyt krajowy, powinna być utrzymana i rozwijana.

Autor kończy swe wywody następującym wnioskiem: „Po wyzwoleniu ewolucja powinna iść w kierunku ograniczania produkcji artykułów nieopłacalnych, o wyższych kosztach porównywalnych względnie w kierunku przekształcenia produkcji tego typu zakładów. Natomiast wysiłek inwestycyjny powinien głównie być koncentrowany na rozwoju tych działów produkcji, gdzie porównywalne koszty względne są niższe od kosztów importu oraz tych, które wykorzystują najracjonalniej surowce krajowe i mają zapewnioną bazę szerokiego rynku zbytu w kraju”.

NOWA ORGANIZACJA PRZEMYSŁU I OBIEKTÓW PRZEMYSŁOWYCH

Fakt upaństwowienia całego przemysłu nieuchronnie pociągnął za sobą kompletną jego reorganizację. Powstał jeden gigantyczny podmiot gospodarczy, którego organizacja wciąż jeszcze ulega przeobrażeniom. Zasadniczą, a zarazem programową niejako, cechą tego nowego aparatu przemysłowego jest najdalej posunięta centralizacja; nieuniknioną pochodną centralizacji jest biurokratyzacja. Obie te cechy ilustruje *p. Pawłowicz* na następującym przykładzie:

W przedwojennym Bielsku było około 150 przedsiębiorstw tekstylnych. Podczas okupacji niemieckiej ilość ich uległa zmniejszeniu. Po wojnie nastąpiła dalsza koncentracja, i około roku 1950 było ich już tylko 38, połączonych w jedno Zjednoczenie. Wszystkie Zjednoczenia zakładów Przemysłu Welnianego wchodzi w skład Centralnego Zarządu Przemysłu Welnianego, które z kolei podlega Ministerstwu Przemysłu Lekkiego. Nad Ministerstwem stoi Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów, któremu przewodniczy wicepremier do spraw gospodarczych, będący jednocześnie prezesem Państwowej Komisji Planowania. Nad nimi jest jeszcze Rada Ministrów i tzw. Prezydium Rządu, niewymienione w konstytucji, ale wydające dekrety z mocą ustawy. Został więc stworzony tutaj bardzo długi łańcuch administracyjny, pełen wad i niebezpieczeństw. Długość tego łańcucha jest jeszcze większa niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Jeżeli bowiem w Bielskim Zjednoczeniu jest 38 oddzielnych zakładów przemysłowych, to jego kierownik musi mieć liczny sztab pomocników, z którymi dopiero bezpośrednio mają do czynienia kierownicy fabryk. Minister Przemysłu Lekkiego, któremu podlega dwadzieścia kilka Centralnych Zarządów, musi się wyręczać dyrektorami departamentów, naczelnikami wydziałów itd. Istnienie kilkunastu ministerstw gospodarczych nie pozwala również premierowi czy wicepremierowi obejść się bez sztabu, który reprezentuje dalsze pośrednie ogniwa. Cała organizacja — która obejmuje nie tylko przemysł, ale całe życie gospodarcze, łącząc je jakby w jedno ogromne przedsiębiorstwo — jest silnie scentralizowana. Dość powiedzieć, że cen wyrobów nie określają ani zakład przemysłowy, ani zjednoczenie, ani centralny zarząd, a dopiero ministerstwo, przy czym ceny artykułów podstawowych są zatwierdzane przez Radę Ministrów.

Bardzo liczni uczestnicy ankiety podkreślają, że ta centralizacja i biurokratyzacja przemysłu są źródłem daleko idącej jego

niesprawności i marnotrawstwa materiałów. Nawet zwolennicy publicznej formy własności przemysłu uważają — słowami *p. Sæ-rigi* — że „tak być nie może, to koniecznie trzeba zmienić przez radykalną decentralizację systemu zarządzania przemysłem”, a *p. Barecki* wprost mówi, że „monstrualny przerost biurokracji w prowadzeniu przemysłu podkopuje przyszłość samej idei socjalizmu, który jest jedyną nadzieją ludzkości”. Toteż nie dziw, że o ile chodzi o tendencje decentralizacyjne, jednomyślność uczestników ankiety jest niemal kompletna. Różnią się oni w poglądach tylko co do tego, jakie metody należy zastosować dla przebudowania aparatu przemysłowego w kierunku większej elastyczności organizacyjnej przy zachowaniu zasadniczych podstaw własności publicznej. Podobnie różne poglądy zostały wypowiedziane przez zwolenników reprivatyzacji przemysłu odnośnie metody jej przeprowadzenia.

Dotychczas była mowa o najogólniejszych sprawach organizacji upaństwowionego przemysłu. Teraz chciałbym zwrócić uwagę na sprawę natury bardziej szczegółowej, ale nader ważną. Chodzi tu o zmiany w strukturze i organizacji poszczególnych obiektów przemysłowych, spowodowane tendencją do zamykania poszczególnych stadiów produkcji danego artykułu w ramach kombinatów. Na ten temat *p. Gorecki* pisze:

W wypadku Polski jest to bezwątpienia zjawisko nowe, poważna zmiana w stosunku do organizacji obiektów przemysłowych przed wojną. Przemiana ta niewątpliwie jest obiektywnie nieodwracalna i, co więcej, jest zjawiskiem korzystnym oraz gospodarczo całkowicie uzasadnionym. Jedynym zarzutem, jaki można by tu postawić, jest stwarzanie przez niektóre kombinaty lokalnej jednostronności popytu na pracę. Ale wada ta da się łatwo usunąć przez dodatkową budowę obiektów przemysłowych, uzupełniających popyt na siłę roboczą. Ewolucja kombinatów przemysłowych po wyzwoleniu powinna iść w kierunku uzupełnienia ich zakładami przemysłowymi, stwarzającymi popyt na ten typ siły roboczej, którego kombinat zasadniczo nie zatrudnia. Z drugiej strony fakt istnienia kombinatów przemysłowych niewątpliwie ułatwi przejście zakładów przemysłowych przez zarządy publiczne, kierujące daną gałęzią przemysłu. Kombinaty przemysłowe jest także naturalnym niższym stopniem decentralizacji, tak organizacji przemysłowej, jak i planowania.

Rozdział IV

ROLNICTWO

Przemiany na terenie rolnictwa można by z gruba podzielić na następujące grupy główne:

- Grupa A. — Przemiany wynikłe z przyczyn całkowicie albo częściowo niezależnych od polityki reżymu;
- Grupa B. — Przemiany w dziedzinie ustroju rolnego;
- Grupa C. — Przemiany wynikłe z polityki gospodarczej wobec rolnictwa.

W licznych i skomplikowanych przemianach, które wchodziły tu konkretnie w rachubę, trudno jest ściśle oddzielić pochodne od pierwotnych gdyż zależność pomiędzy dwiema przemianami często jest wzajemna, a ponad to istnieją w niektórych wypadkach wzajemne związki funkcjonalne pomiędzy więcej niż dwiema przemianami.

ZANIK OSTREGO PRZELUDNIENIA WSI

Przeludnienie rolnicze przed wojną szacowano na 8-10 milionów ludzi. Powojenny stan rzeczy w rolnictwie, z punktu widzenia ludnościowego, *p. Poniatowski* charakteryzuje w sposób następujący: „W wyniku tragicznych strat w ludziach i powrotu Ziemi Odzyskanych prawie bezludnych, ilość ziemi, użytkowanej rolniczo, przypadająca przeciętnie na głowę ludności rolniczej, wzrosła o połowę. Rozwój zaś zajęć pozarolniczych pozwala zabierać ze wsi przyrost, zapobiegając ponownemu powstaniu nadmiaru. Jest to przeobrażenie rewolucyjne, chociaż nie ma wiele wspólnego z rewolucją komunistyczną. Zmienia ono radykalnie warunki rozwoju gospodarczego całego kraju. Pozwala na stworzenie zupełnie zdrowego ustroju agrarnego, co w warunkach przeludnienia było niemożliwe, oraz pozwala na poważną kapitalizację w samym rolnictwie i poza nim”.

LIKWIDACJA WIELKIEJ PRYWATNEJ WŁASNOŚCI ZIEMSKIEJ

P. Gorecki podaje, że przed wojną duże folwarki i majątki ziemskie stanowiły 3,3% gospodarstw rolnych, zajmując 54,3% całego obszaru rolnego Polski. Dekretem z 6 września 1944 zarządzone przymusową parcelację wielkich majątków rolnych. Parcelacja została przeprowadzona, choć tylko częściowo. *P. Brodziński* podaje, że zlikwidowane zostały prywatne gospodarstwa o powierzchni ponad 50 ha, a jednocześnie zwiększyła się ogólna ilość gospodarstw z 3,2 miliona przed wojną do 3,3 miliona po wojnie, przy czym ilość gospodarstw karłowatych (poniżej 2 ha) wzrosła z 747 tysięcy do 960 tysięcy.

Czy przemiana ta jest obiektywnie odwracalna? Jeżeli tak, czy powinna być uchylona w przyszłej Polsce? Jeżeli tak, czy należy dać odszkodowanie przedwojennym właścicielom? Rzeczą charakterystyczną, że w sprawie przywrócenia wielkiej prywatnej własności ziemskiej panuje między uczestnikami ankiety daleko idąca jednomyślność: niemal wszyscy są temu przeciwni, aczkolwiek poszczególne odpowiedzi negatywne różnią się od siebie w sile, cieniowaniu myśli i uwagach, dotyczących sprawy odszkodowania. *P. Heydenkorn* — choć uważa, że „obecny ustroj rolny winien być zniesiony i to natychmiast po upadku rządu bolszewickiego” — pisze, iż reprivatyzacja wielkich gospo-

darstw rolnych „nie wydaje się ani możliwa ani celowa”. *P. Jarrecki* pisze: „Dokonanej faktycznie parcelacji obszarów prywatnych i państwowych, jeśli tego rodzaju parcelacja miała miejsce, oczywiście cofać nie można, a należy ją zalegalizować, ustanawiając kompensatę dla dawnych właścicieli”. *Ks. Prusinowski*, zwolennik odszkodowania, widzi jednak trudności w repywatyzacji ziemi; podobnie *p. J. T.*, który wskazuje na zatarcie się granic dawnych posiadłości oraz na poważne zniszczenie katastru gruntowego.

Radykalnie ujmuje sprawę *prof. Marczewski*:

Wszelkie próby „odwrócenia” reformy rolnej należy uznać za niebezpieczne szaleństwo. Odbieranie ziemi jej obecnym posiadaczom jest nie do pomyslenia. Co najwyżej można by wydzielić z niektórych gospodarstw państwowych działki, nieprzekraczające 50 lub 100 ha, na rzecz zawodowych rolników, wyzutyk z ziemi przez reformę rolną, pod warunkiem osobistego kierowania stworzonym w ten sposób gospodarstwem.

Dr Chrzęszczewski jeszcze ostrzej wypowiada się na ten temat: „Tylko ludzie niespełna rozumu mogą proponować przekreślenie parcelacji”.

P. Poniatowski zalicza likwidację wielkiej prywatnej własności ziemskiej do przemian obiektywnie nieodwracalnych, ale pisze:

Wartość gospodarza tej przemiany — stanowiącej zresztą dalszy ciąg przedwojennej ewolucji — jest dziś, wskutek zelzenia głodu ziemi, daleko mniejsza, niż byłaby w warunkach ostrego przeludnienia. Teoretycznie, w wypadku bardzo znacznego dalszego rozrzedzenia ludności rolniczej, mogłyby się pojawić warunki, uzasadniające gospodarczo dopuszczenie gospodarki folwarcznej. Jeżeli mimo to zaliczam daną przemianę do nieodwracalnych, to dlatego że: 1) daleko jeszcze do takiego odpływu ludności ze wsi, by gospodarka wielkoobszarowa miała uzyskać gospodarczą przewagę, i 2) dlatego, że nie- zbyt jeszcze odległa pamięć pańszczyzny i późniejszych kontrastów społecznych wytworzą klimat antyobszarniczy. Wreszcie 3) zachodziłaby obawa, by zezwolenia na posiadanie majątków nie stworzyły podstawy dla żądań rewindykacji własności przedwojennej.

Dr Paszkowski pisze: „Reforma rolna po wojnie była wywłaszczeniem i rozdziałem ziemi na dziko z tym, że rolnik sam musiał się pobudować. Lecz nawet w ten sposób przeprowadzona reforma rolna nie jest moim zdaniem odwracalna, gdyż prowadziłaby do procesów dekapitalizacyjnych, nie mówiąc już o całym zagadnieniu społecznym, jakie wywołałoby przywrócenie stanu posiadania na roli sprzed wojny. Ten sam punkt widzenia przemawia za zastosowaniem systemu wykupu”.

P. Pawłowicz stwierdza nieodwracalny charakter omawianej przemiany, która już przed wojną była przesądzona przez naszą politykę agrarną. „Wracać do niej nie ma powodu”, mó-

wi autor, i kontynuuje: „Uważając własność prywatną za czynnik niezbędny w produkcji, jestem zwolennikiem największego jej upowszechnienia. Za upowszechnieniem własności rolnej przemawiają poza tym względy społeczne i narodowe. Jeżeli chodzi o własność drobną, to zasadnicza reforma, korygująca błędy reformy 1944 roku, musiałaby być szybko przeprowadzona. Upowszechnienie własności musi mieć granicę w rozmiarach gospodarstw samowystarczalnych i sprawnych; zdaje się, że ta granica będzie znacznie wyżej 5 ha. Duży zapas ziemi w rękach państwa powinien być użyty na usunięcie przeludnienia takich okręgów jak np. krakowski lub rzeszowski”.

P. Gorecki powołuje się na doświadczenia historyczne, które uczą, że „parcelacja majątków ziemskich jest zjawiskiem nieodwracalnym. Politycznie, próba odebrania ziemi tym chłopom, którzy ją otrzymali w wyniku reformy rolnej — jest nie do pomyslenia. Gospodarczo, wielkie majątki są takim samym anachronizmem, jak karłowate lub niepełnorolne gospodarstwa chłopskie”. Zdaniem autora „przemiany te nie tylko nie są odwracalne, ale reforma nie poszła jeszcze dostatecznie daleko, czego dowodem jest fakt, że ponad 54% gospodarstw istniejących dziś w Polsce stanowią gospodarstwa karłowate i półkarłowate”. Poza tym, przeciwko repywatyzacji rozparcelowanej ziemi, zdaniem autora, przemawia fakt że — skoro akumulacja kapitału w rolnictwie nastąpiła drogą ograniczenia spożycia całego społeczeństwa — to olbrzymia część maszyn rolniczych i traktorów stanowi własność społeczną, a więc niedopuszczalne jest „aby jakaś jednostka korzystała z kapitału publicznego dla zabezpieczenia sobie większego udziału w dochodzie społecznym tylko z racji przedawnionych tytułów własności ziemi”.

Rzecz charakterystyczna, że przeciwko przywróceniu wielkiej własności ziemskiej wypowiedzieli się nawet ci autorzy, którzy w sprawie przemysłu ujawnili nastawienie zdecydowanie repywatyzacyjne; różnica poglądów na terenie rolniczym sprowadza się jedynie do tego, że część autorów domaga się odszkodowania dla przedwojennych właścicieli zaś pozostali uważają to odszkodowanie za niewskazane i nierealne.

CZĘŚCIOWE „USPOŁECZNIE NIE” ZIEMI

Narzędziem „uspołecznienia” ziemi są tzw. spółdzielnie produkcyjne. Ich twórcy są purystami języka polskiego i dlatego widać nie używają wyrazu *kolchoz* choć spółdzielnia z *kolchozu* się poczęła i jest *kolchozem*. Pójdę w ich ślady i nie będę używał tego wyrazu. Sprawa, o którą chodzi, obraca się dookoła następujących pytań: jaki jest zakres faktyczny w dziedzinie tej nowej struktury rolnej? czy jest ona obiektywnie odwracalna? czy powinna być uchylona? W związku z pierwszym pytaniem *p. Pawłowicz* daje następujący opis: „Według ostatnich infor-

macji w połowie 1953 było około 8.500 spółdzielni produkcyjnych, przy czym należało do nich około 200 tysięcy rodzin chłopskich i około 9 procent ziemi prywatnej. W owym czasie spółdzielnie znajdowały się w 18,5% gromad wiejskich, ale obejmowały zaledwie 5,2% gospodarstw, tak że przeciętnie do każdej spółdzielni należała tylko 1/3 miejscowych gospodarstw. Za tymi cyframi przeciętnymi kryją się jednak duże różnice między poszczególnymi częściami kraju".

O ile chodzi o odwracalność tej przemiany, to co najmniej 20 uczestników ankiety uważa, że sprawa w ogóle nie wymaga rozważań teoretycznych, gdyż w kilku państwach komunistycznych były już wypadki likwidacji istniejących spółdzielni w okresie zmiany kursu polityki gospodarczej. Co więcej: w samej Polsce rozwiązano pewną ilość spółdzielni, i na ogół wszystko to odbyło się bez komplikacji i trudności. P. Pawłowicz przypomina fakt, że na terenie całej Europy wielkie majątki były dzielone w ciągu ostatnich 50 lat oraz że w Polsce pomiędzy dwiema wojnami rozparcelowaliśmy przeszło 3 miliony ha. To też opinia, że spółdzielnie w obecnej postaci można zlikwidować, wyraża pogląd niemal wszystkich autorów, którzy zabrali głos w tej sprawie; odosobnionych zdań przeciwnych nie cytuję dlatego, że wyrażają raczej ogólne obawy („Czy jednak byłoby słuszne zlikwidować?”) niż pozytywne twierdzenia, że należy utrzymać. Niemal wszyscy uczestnicy ankiety uważają, że likwidacja obecnych spółdzielni produkcyjnych jest nie tylko rzeczą możliwą ale i wskazaną. I nie tylko wskazaną, ale także łatwą; jedynie pp. Dolecki, Tymocki i Wolpert przewidują trudności, gdyż „spółdzielnie produkcyjne bądź co bądź już weszły w polską rzeczywistość gospodarczą bez względu na to, czy je uważamy za dobrą czy też złą instytucję”. W tych warunkach można śmiało powiedzieć, że p. Pawłowicz — który napisał: „Polskie kolchozy w ogóle nie stanowią problemu gdyż wystarczy przestać sztucznie je podtrzymywać, a zlikwidują się same”, — jest rzecznikiem ogółu uczestników ankiety. Autor mówi, że „te kolchozy są karykaturą spółdzielni”.

Na rzecz uchylecia spółdzielni w ich dzisiejszej postaci przytoczono cztery argumenty:

1) Pierwszy jest „strukturalny”, jeżeli można się tak wyrazić. Reprezentantem jego jest p. Poniatowski, który pisze: „Kolektywizacja gospodarstw wiejskich nie znajduje w polskich warunkach uzasadnienia gospodarczego, ani społeczno-politycznego. Stanowi ona przejście do gospodarki wielko-obszarowej, a więc mniej intensywnej, niweczy korzyści płynące ze symbiozy gospodarza z przyrodą i z odpowiedzialnością za własny warsztat. Jest potrzebna okupantowi dla ułatwienia drenowania wsi z ludzi i z produktów, a także dla sproletaryzowania i poddania własnej dyspozycji grupy ludności, dotąd najbardziej samodzielnej. Jest sprzeczna z niemal jedynym wyrażanym wolań wólcian w kierunku własnego gospodarstwa”. (Autor zaleca zastąpienie kolektywizacji przez ustrój rolny, oparty na samowy-

starczalnych — w sensie organizacji pracy — gospodarstwach rodzinnych).

2) Drugi argument jest natury historycznej. Przytoczono w odpowiedziach dużo materiału na poparcie tezy, że spółdzielnie wytwórcze nigdy i nigdzie dotychczas się nie udały na terenie rolniczym. (Można mówić o powodzeniu spółdzielczości tylko w dziedzinie handlowo-rolniczej).

3) Następny argument nawiązuje do faktu, że spółdzielnie produkcyjne w Polsce są notorycznie niesprawne w sensie gospodarczym. Analizując produkcję czterech zbóż w okresie 1949-1954, a więc w pierwszym sześcioleciu kolektywizacji i zreorganizowanych państwowych gospodarstw rolnych, p. Gorecki wykazuje, że krajowa wytwórczość w tej dziedzinie spadła z 11,9 miliona ton w roku 1949 do 11,2 miliona w roku 1954. Nie tylko nie wzrosła, ale zmalała. Ponadto, stwierdza autor, „w spółdzielniach porównywalne koszty produkcji, po wliczeniu amortyzacji maszyn rolniczych, są wyższe niż w gospodarce chłopskiej; dalej, kolektywizacja nie dała spodziewanych oszczędności w materiale ludzkim na jednostkę produkcji rolnej”. Wreszcie — i hodowla wykazała słabsze niż w gospodarstwach chłopskich wyniki.

4) Ale najdobitniej zarysował się w odpowiedziach argument wymierzony przeciwko przymusowi należenia do spółdzielni produkcyjnych i przeciwko przymusowym dostawom, którymi są one obciążone na rzecz państwa. Wszyscy autorzy są przeciwnikami tej przymusowości ale w żadnym wypadku nie wpadają w ton zwalczania samej idei spółdzielczości, która — słowami p. Szerigi — „niech kwitnie, o ile pewna ilość rolników zechce we wspólnym interesie złączyć swe wysiłki na podstawie rzeczywiste dobrowolnego zrzeszenia się”. Ze wszystkich opinii, zwalczających przymusowość spółdzielni, najmocniej sformułowana jest opinia p. Sokołowskiego: „wszelki nacisk stosowany obecnie przez reżym totalitarny wobec chłopów powinien być od razu i doszczętnie wypleniony, z pozostawieniem samym bezpośrednio zainteresowanym decyzji pozostania w kolchozie lub wystąpienia z niego”.

P. Brodziński ma zastrzeżenia co do zakresu pożądanego zniesienia kolektywizacji, uważając, że wprawdzie wymaga ona uchylecia, ale jednak „nie zupełnego”. Motywy autora są następujące: „Uchylene nie może być zupełne, bo już sam fakt zmniejszenia się ilości koni i zastąpienia ich traktorami wymaga przyjęcia jakiejś formy spółdzielczości. Będzie to jednocześnie w zgodzie z wymogami większej produktywności rolnictwa. Natomiast element przymusu, działającego dla celów poza ekonomicznych, musi być wyrugowany zupełnie”.

W sprawie zniesienia obecnego przymusowego skolektywi-

zowania wsi istnieje więc wśród uczestników ankiety jednomyślność w rzeczach podstawowych. Różnice zarysowują się tylko na terenie taktyki dekoloktywizacji, ale to już sprawa szczegółów.

Należy tu jeszcze wspomnieć o dwóch ważnych sprawach: 1) o zaniechaniu scalania szachownic i 2) o zahamowaniu akcji upelnorolnienia. W okresie niepodległości, przypomina *p. Poniatowski*, Polska osiągnęła wysoce dodatnie wyniki na polu komasacji, scalając w przybliżeniu połowę gruntów, dla których zabieg ten miał istotne znaczenie. Dziś administracja warszawska, praktycznie rzecz biorąc, zaniechała scalania szachownic, gdyż „oczywiście scalone zdrowe gospodarstwa mogą się dłużej opierać naciskom”; zaniechanie to stało się jednym z elementów polityki kolektywizacji. Podobnym elementem jest zahamowanie akcji upelnorolnienia.

CZĘŚCIOWE UPANSTWOWIENIE ZIEMI

Narzędziem upaństwowienia ziemi są Państwowe Gospodarstwa Rolne, w istocie swej rosyjskie *Sowchozy*. PGRy obejmują dziś 12% obszaru rolnego; według przypuszczenia *p. Poniatowskiego* w rękach państwa znajduje się ponadto rezerwa, z której gruntu są przydzielane spółdzielniom produkcyjnym.

Sprawa PGR'ów nie wzbudziła wśród uczestników ankiety ani takiego zainteresowania, ani też tej jednomyślności, które można było zauważyć w odniesieniu do spółdzielni produkcyjnych. Podczas gdy niemal wszyscy uczestnicy stanowczo potępiili i dyskwalifikowali spółdzielnie w ich obecnej przymusowej formie i wypowiadali się zdecydowanie za ich usunięciem, to sądy o PGR'ach wypadły na ogół nieco łagodniej, choć i one uznane zostały przeważnie za twór poroniony, w znacznej mierze nadjający się do usunięcia.

Ogólną charakterystykę PGR'ów daje *p. Poniatowski* w słowach następujących:

Gospodarstwa państwowe w dzisiejszej skali nie mają uzasadnienia gospodarczego z tych samych przyczyn, co i kolektyw. Są one narzędziem poddania części rolnictwa jeszcze większej „dyspozycyjności” niż to ma miejsce w kolektywach; miały stać się (co się dotąd nie udało) wzorem zachęcającym chłopów do gospodarki na wielkich obszarach. W małej tylko części służą celom specjalnym, jak hodowli nasion, hodowli zwierząt zarodowych itd. Część tych zadań specjalnych może być z powodzeniem przekazana drobnym gospodarstwom, ta zaś część, która rzeczywiście wymaga gospodarstw większych, powinna obejmować ułamek procentu użytkowników rolnych, nie zaś, jak dziś, aż ponad 12%, i to z tendencją wzrostu. Nie przywiązuję większej wagi do tego, czy te gospodarstwa nasienne, doświadczalne lub szkolne będą stanowiły własność państwa czy instytucji społecznych. Likwidacja przerostów gospodarstw państwowych powinna nastąpić w drodze parcelacji pomiędzy robotników tychże gospodarstw oraz osadników z obszarów dziś jeszcze przeludnionych.

W sprawie oceny sprawności gospodarczej PGR'ów tylko kilku autorów szerzej motywuje swe opinie, inni poprzestają na lakonicznym zaznaczeniu swego stanowiska. *P. Gorecki* stwierdza, że PGR'y nie zdały egzaminu, o ile chodzi o osiągnięte rezultaty, ani w zakresie produkcji zbóż, ani w zakresie hodowli, ponadto gospodarka ich okazała się notorycznie deficytowa. *P. Pawłowicz* również mówi o deficytowości i przytacza oświadczenia Bieruta, wiceministra Kamińskiej (odpowiedzialnej za PGR'y) oraz Zenona Nowaka, przynajmniej, że odnośna gospodarka jest bardzo zła; ten ostatni mówił o nadmiernych kosztach, o biurokratyzmie, złej organizacji pracy, słabej dyscyplinie, braku fachowców i piętnował „fakty marnotrawstwa, a nie raz i wręcz bezzcelnego rozkradania mienia państwowego”.

Dr Zauberman pisze:

Eksperyment z wielką własnością rolną państwa (pomijam lasy) okazał się wysoce nieudany. Przekazano tej własności warsztaty o najwyższej kulturze, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych, wyposażono ją hojnie w środki mechaniczne i inne środki wytwórcze. Wydajność jej — mierzona czy to produkcją, czy też „towarowością” to jest częścią produkcji oddawaną na żywienie miast, eksport, rezerwy itd. — jest zdumiewająco niska, nieproporcjonalnie niska w stosunku do nakładu. Zmiana polityczna w Polsce postawiłaby chyba na porządek dzienny likwidację dużej części własności państwa w rolnictwie.

Dr Paszkowski pisze, że poprzez PGR'y chciano za jednym zamachem osiągnąć dwa cele: wypłenić umysłowość kapitalistyczną wśród ludności wiejskiej, a to przez przejście jej do stanu robotników rolnych, oraz osiągnąć optymalną wytwórczość rolną; w praktyce okazało się jednak, że biurokracja i bezwład gospodarczy przekreśliły wszelkie nadzieje na lepsze wyniki wytwórcze PGR'ów. Autor sądzi, że ponieważ system PGR'ów koliduje z zasadą kapitalizacji w rolnictwie, „przemiana ta powinna ulec całkowitej likwidacji w drodze zwykłej reformy rolnej”.

Prof. Marczewski, uważając eksperyment PGR'ów za „na ogół nieudany”, wskazuje na to, że gospodarstwa te „posiadają wszystkie ujemne właściwości wielkich gospodarstw prywatnych (praca najemna, brak zainteresowania pracowników, trudności kontroli), do których dochodzą specyficzne braki: biurokracja i sztywność dyspozycji”. *Prof. Marczewski* widzi w PGR'ach i pewne cechy dodatnie: „stosowanie na szeroką skalę mechanizacji i naukowej organizacji pracy”. W konkluzji autor zaznacza jednak, że jego negatywny stosunek do PGR'ów:

...nie oznacza, aby należało wszystkie je rozwiązać niezależnie od osiąganych wyników. Wszelkie doktrynalne, apriorystyczne podejście do rzeczywistości gospodarczej jest niebezpieczne, bez względu na jego pochodzenie i kierunek.

Pogląd ten znajduje również swój wyraz w wywodach *p. Brodzińskiego*, który uważa, że 100-procentowe odpaństwo-
wienie ziemi nie jest wskazane, gdyż

musimy zdać sobie sprawę z faktu, że obecnie rolnictwo prywatne jest rolnictwem chłopskim, produkującym na małym terenie szereg wytworów metodami drobnoskalowymi, natomiast nowoczesna organizacja produkcji może wymagać, także w rolnictwie, zwiększonej specjalizacji i stosowania metod wielko-skalowych. Dla tych celów konieczne być może zachowanie wielkich jednostek rolnych, jako stacje badawcze, ośrodki rozplodowe dla różnych gatunków zwierząt itd. Przy sprowadzeniu całości rolnictwa do poziomu chłopskiego nie widzę możliwości utrzymania takich jednostek w formie innej niż własność publiczna, i na te cele musiałaby być zarezerwowana pewna część obecnej własności państwowej.

W tym samym duchu wypowiadają się *pp. Juskiewicz, Nowakowski, Rutland i Szczepanowski*.

Wyrażnie za utrzymaniem całej państwowej gospodarki rolnej wypowiedział się tylko jeden uczestnik ankiety, *p. Krotkiewski*. Oto jego motywy:

Zdaję sobie sprawę z tego, że problem agrarny jest dla gospodarki socjalistycznej najtrudniejszy do rozwiązania. Nie widzę pożytku w przymusowych spółdzielniach produkcyjnych, bo przymus nie zrobi z chłopca sumiennego wytwórcy w sytuacji, w której dana ziemia jest jego na niby, w sytuacji, która polega na fałszu. Ale wyraźna państwowa własność ziemi, to zupełnie co innego. Tutaj rolnik jest po prostu funkcjonariuszem państwowym, i nie ma żadnego obiektywnego powodu, aby pracował gorzej, niż inny funkcjonariusz, zatrudniony np. w upaństwowionym przemyśle. Punkt ciężkości sprawy zawsze polega na tym, aby funkcjonariusz państwa był o tyle dobrym fachowcem, żeby mógł należycie wywiązać się ze swego zadania, i aby o tyle dobrze był wynagradzany, żeby mógł żyć po ludzku. Dlatego można być dobrym inżynierem z ramienia państwa, a nie można być dobrym rolnikiem z ramienia tegoż państwa — to już tajemnica entuzjastów prywatnej inicjatywy. Co się tyczy licznych błędów, istotnie popełnianych przez PGR'y, to sądzę, że w miarę akumulacji doświadczeń praca ich będzie się doskonaliła.

UPOŚLEDZENIE INWESTYCYJNE WSI

P. Poniatowski pisze:

Charakter inwestycji został radykalnie wypaczony, i to wypaczenie musi być wyprostowane. Upośledzenie całego rolnictwa w inwestycjach publicznych jest wielce zastrzone przez podział nakładów w samym rolnictwie. Plan 6-letni przewidywał, że 81% sum inwestowanych w rolnictwie pójdzie na rzecz PGR'ów i „spółdzielni produkcyjnych”, pozostawiając tylko 19% na rolnictwo chłopskie wraz z ogólnymi potrzebami całego rolnictwa. Skoro suma nakładów publicznych stanowiła np. w roku 1953 zaledwie 8,6% całości nakła-

dów, nie trudno obliczyć że na chłopskie gospodarstwa indywidualne zatrudniające jeszcze ponad 40% ludności kraju, przypada poniżej 2% inwestycji. Wprawdzie ogólny udział rolnictwa obiecano powiększyć do 16,3% w roku 1955, ale i to dałoby zaledwie nieco ponad 3% dla samodzielnych gospodarstw, jeżeli uprzywilejowanie gospodarki „socjalistycznej” nie ulegnie zmianie. Zmiana tej metody podziału wynika logicznie z przyszłego oparcia ustroju o gospodarstwa chłopskie nie zaś wieloobszarowe. Jest to również koniecznością gospodarczą. Zmiana dokonałaby się sama przez się po zniknięciu gospodarstw państwowych i kolektywów. Chodzi o to, by równocześnie udział rolnictwa w inwestycjach publicznych wzrósł a nie zmalał. Ponadto ważne jest stworzenie warunków, dziś prawie nieistniejących, które by sprzyjały akumulacji kapitału w samych gospodarstwach.

Na rzecz konieczności usunięcia upośledzenia inwestycyjnego wsi wypowiadają się niemal wszyscy inni autorzy: przekonanie o szkodliwości dzisiejszego prymatu ciężkiego przemysłu dla harmonijnego rozwoju gospodarstwa społecznego Polski jest, z jednym wyjątkiem, powszechne. Większość tych autorów daje teoretyczne rozważania na temat związków funkcjonalnych pomiędzy losami rolnictwa a sprawą pośpiesznego budowania potencjału przemysłowego; liczni ilustrują to materiałami statystycznymi, zaczerpniętymi z doświadczeń ZSSR. oraz innych państw komunistycznych. Wspomniane zdanie odrębnie wypowiedział *p. Bednarski* w słowach następujących: „Ciężki przemysł stanowi punkt wyjścia rozwoju całego przemysłu w ogóle, a więc i przemysłu, decydującego o stopniu mechanizacji i produktywności rolnictwa. Zapewne, że w okresie szybkiego budowania ciężkiego przemysłu, co jest koniecznością, nie może być mowy o tzw. harmonii rozwoju wszystkich elementów gospodarstwa społecznego, ale mimo to prymat rozwoju najważniejszego elementu uważam za rzecz dodatnią, gdyż jest ona uzasadniona względami polityki długofalowej”.

SILNY WZROST MECHANIZACJI ROLNICTWA

P. Brodziński podaje, że ilość koni w rolnictwie spadała z 4 milionów w roku 1939 do 2 i pół po wojnie; równocześnie ilość traktorów wzrosła do 60 tysięcy. Stosunek wszystkich niemal uczestników ankiety do mechanizacji jest pozytywny, zwłaszcza jeśli chodzi o te dziedziny pracy rolniczej, które wymagają dużego nakładu siły roboczej, i nie ma oczywiście ani jednego głosu, który by szedł w kierunku propagowania powrotu do „epoki konia”.

Zupełnie inaczej kształtuje się jednak pogląd autorów na sprawę Państwowych Ośrodków Maszynowych (POM). Te formy organizacyjne spotykają się z krytyką. Zdaniem *p. Poniatowskiego*

Państwowe Ośrodki Maszynowe są przede wszystkim narzędziem kolektywizacji, nie będą więc potrzebne w tym charakterze. Obsługę

maszynową gospodarstw drobnych mogą pełnić spółdzielnie i spółki maszynowe, a także prywatni przedsiębiorcy, jak to ma miejsce w wielu krajach Zachodu.

Z trzydziestu innych autorów, którzy pisali o tej sprawie, 28 wypowiedziało się w tym sensie, że organizację POM'ów należałoby całkowicie zlikwidować. Tylko *prof. Marczewski* sądzi, że „POM'y mogą w pewnych wypadkach stanowić słuszne rozwiązanie zagadnienia mechanizacji”, ale i on dodaje, że monopol posiadania ciągników nie ma uzasadnienia gospodarczego.

WZROST UDZIAŁU UPRAW TECHNICZNYCH

P. Poniatowski pisze: „Przemiana ta jest odwracalna, ale nie ma potrzeby odwracania jej w całości. Zasada komunistyczna prymatu produkcji nad spożyciem wyraziła się w przesadnym nacisku na zastępowanie upraw, służących spożyciu, przez produkcję surowców dla przemysłu. Prowadziło to w wielu wypadkach, zwłaszcza w PGR'ach, do gwałtownego rozszerzania niewypróbowanych upraw na nieodpowiednich dla nich glebach i w niesprzyjających warunkach. Wynikiem były niskie plony i straty wielu gospodarstw. Jednakże sama tendencja zwiększania udziału tych roślin technicznych, które znajdują odpowiednie warunki, jest zdrowa i stanowi kontynuację tendencji przedwojennej polityki gospodarczej. Dotyczy to w szczególności buraka cukrowego, ziemniaków dla przemysłu, jęczmienia browarnianego, rzepaku, lnu, konopi i tytoniu, z tym, że możliwości zbytu np. cukru i przetworów ziemniaczanych nie zawsze będą nieograniczone”.

WZROST ROLI KOBIEŃ W ROLNICTWIE

„Jest to naturalny skutek rozszerzonej możliwości podziału pracy. Może nawet doznać pogłębienia w razie zaniechania dzisiejszej praktyki zatrudniania kobiet przy pracach, zagrażających ich zdrowiu. Stosunkowo ograniczona rola kobiet w rolnictwie przed wojną wynikała z pozostawiania na wsi nadmiaru mężczyzn” (*Poniatowski*).

NOWA ORGANIZACJA ZBYTU PRODUKTÓW ROLNYCH

P. Gorecki pisze:

Przed wojną nie było w Polsce zorganizowanych form zbytu produktów rolnych. (W teorii zbytu ten odbywał się na wolnym rynku). Podstawową cechą systemu dostaw przymusowych i kontraktacji jest skup podstawowych produktów rolnych przez państwowe Urzędy Skupu. Dostawy przymusowe są obowiązkiem nałożonym ustawowo przez

państwo, podczas gdy kontraktacja oparta jest na umowie w zasadzie dobrowolnej. System skupu państwowego daje chłopu gwarancję zbytu produktów rolnych po cenach dyktowanych przez państwo, rozmyślnie kalkulowanych bardzo nisko. Istotnym celem jest tu podważenie opłacalności gospodarki chłopskiej i przyspieszenie procesu kolektywizacji.

Powyższą przemianę (to jest oparcie zbytu na podstawie doświadczeń przymusowych) autor uważa za „oczywiście obiektywnie odwracalną; gospodarczo metoda ta ma dużo więcej elementów szkodliwych niż pozytywnych”. Autor sądzi, że elementy pozytywne (gwarantowany zbytu i udział chłopów, jako warstwy społecznej, w akumulacji kapitału) dadzą się łatwo osiągnąć przy innej organizacji zbytu, jednakże przestrzega przed powrotem do stosunków przedwojennych. Motywem autora jest fakt, że „niezorganizowany chłop jest równie bezbronny wobec państwowego monopolu skupu, jak wobec quasi-monopolu prywatnych kupców zbożowych; ten ostatni nie daje zresztą gwarancji zbytu, chyba po cenach dyktowanych przez handlarzy monopolistów”. Następnie autor szkicuje pozytywny plan organizacji zbytu produktów rolnych w przyszłej Polsce.

Zaznaczam, że ogólne wnioski dotyczące przemysłu i rolnictwa będą podane w końcowym rozdziale niniejszego sprawozdania.

(d.c.n.)

Stanisław ZARZEWSKI

U w a g a !

U w a g a !

FILATELIŚCI

Poczta francuska wydaje stale nowe serie pięknych znaczków. Kierując zamówienia na pisma, książki czy też płyty do naszej księgarni, powiększysz przy tej okazji swoją kolekcję.

Na życzenie frankujemy przesyłki znaczkami z najnowszych serii. Za pośrednictwem „Libelli” otrzymać możesz każde pismo, każdą książkę, każdą płytę jakie gdziekolwiek ukazały się w języku polskim lub francuskim.

Za tę samą cenę zadawaliśmy bibliofila i filatelistę.

“ **LIBELLA** ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ
12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4°

Telefon: DANton 51-09.

Metro : Sully-Morland.

Autobusy Nr: 86 i 67.

Pociąg nie miał spóźnienia

2

Coś mi się nie zgadza, myśli Andreas, że Lwowa nie możemy jechać całą dobę do miejsca gdzie TO się stanie? Więc nie możemy jutro rano wyjeżdżać już ze Lwowa. Doskonały jest ten chleb... Smaruje grubo świeżym masłem, odcina wielkie plastry soczystej kielbasy, je ze smakiem i dalej rozmyśla: zabawne — pewno zjadam już masło należne mi dopiero w poniedziałek; jeżeli zginę jutro, a przedtem zjem cały trzydniowy przydział, to jak będzie?... Może mnie postawią pod sąd wojenny?... Położą moje zwłoki na ławie oskarżonych i powiedzą: zjadł chleb, masło i kielbasę przeznaczone na poniedziałek, okradł bohaterską armię niemiecką; wiedział że zginie w niedzielę a jadł poniedziałkowy przydział i wypalił poniedziałkowe papierosy. Gdzie i jak to teraz zaksięgować? Nie jesteśmy poganami, którzy obdarzają zmarłych żywnością. Jesteśmy pozytywni chrześcijanie, a ten okradł pozytywnie chrześcijańską, wielko-niemiecką, bohaterską armię. Musimy go skazać...

— We Lwowie — śmiał się serdecznie Willi — zdobędę stemple. Tam wszystko zdobyć można. Ja już wiem gdzie i jak!

Gdyby Andreas jednym słówkiem zagadnął, dowiedziałby się dokładnie co jak i gdzie można dostać we Lwowie. Willi najwyraźniej chciał ten temat rozwinąć. Lecz Andreas nie interesuje się tym wszystkim, myśli teraz o cywilnym pociągu. To będzie bardzo przyjemne. Nareszcie jechać bez towarzystwa żołnierzy, okropnie nudnych, gadatliwych i brudnych. Tam będą kobiety... Polki... Rumunki... Niemki... agentki, dyplomatki. To bardzo piękne, że będę jechał w towarzystwie kobiet do miejsca, w którym mam zginąć. Ale jak to będzie? Partyzanci? No tak, partyzanci są tu wszędzie, ale dlaczego mają napadać na cywilny

pociąg? Dostyc mają wojskowych transportów, przepełnionych wszystkim czego potrzebują, bronią, żywnością, odzieżą, pieczędźmi, amunicją, na co im cywilny pociąg?

Willi jest zaskoczony że Andreas nie pyta go gdzie i jak dostaje się takie stemple. Taką ma ochotę opowiadać o Lwowie. — Lwów! — woła i śmieje się głośno. Gdy zatopiony w swych myślach Andreas w dalszym ciągu o nic nie pyta, Willi po prostu wyznaje: — We Lwowie, rozumiesz, opylaliśmy zawsze autą!

— Zawsze? — słucha Andreas. — Zawsze opylaliście?

— Rozumiesz, jeżeli mieliśmy coś do opchnięcia. Rozumiesz, mamy warsztaty reparacyjne, zawsze znajdzie się tam jakiś grat, który wcale nie jest tak kiepski, lecz można powiedzieć że to złom, i dobra! Nadintendent musi przymknąć oko, bo on wciąż jeszcze kombinuje ze swą Żydóweczką z Czerniowiec. No i z takich dwóch lub trzech gratów robi się doskonałą maszynę, rozumiesz. Tutejsi majsterkowie kapitalnie to robią. A we Lwowie dostaje się za to czterdzieści kawałków gotówki! Podzielone na czterech, masz dziesięć tysięcy w kieszeni. Oczywiście to grozi śmiercią, lub kalectwem, ale coś trzeba ryzykować. — Westchnął ciężko. — Dwa tygodnie pocisz się krwawo ze strachu. Nigdy nie wiadomo czy kupujący nie jest agentem Gestapo. Jeżeli jednak w ciągu dwóch tygodni nikogo nie przymkną i nie nadejdą jakieś meldunki — wszystko w porządku. Czterdzieści kawałków! — Pociąga piwo ze smakiem i mówi dalej. — Jak myślę ile materiału topi się teraz pod Nikopolem, diabli mnie biorą. Miliony, mówię ci miliony, i żeby choć jakaś świnią coś z tego miała, ale tylko Rosjanie... — zaciąga się kilka razy z widoczną przyjemnością. — Wiesz, można czasem i coś drobniejszego, mniej ryzykownego opylić. Jakąś część zamienną, zdarza się i cały motor, czasem opona, a zwłaszcza odzież. Nie masz pojęcia jak oni lecą na mundury. Za dobry płaszcz dostaniesz blisko tysiąc marek. Wiesz, wybudowałem u siebie wcale miły domek z warsztatem... aby.. aby... Co?! — woła nagle. Ale Andreas nic nie mówi, tylko patrzy uważnie i widzi jak Willi gwałtownie kończy piwo, jak w jego oczach znów odbija się jakiś lęk, dawna twarz, choć gładko wygolona, znów powraca...

Słońce wciąż jeszcze złoci wieże starego Przemyśla nad Sanem. Blondyn teraz dopiero podnosi się. Ziewa, przeciąga się, trze oczy i starannie pozoruje jakoby dopiero co się obudził. Najwidoczniej chce ukryć, że płakał jak dziecko, lecz nie wie, że na jego brudnych policzkach łzy wyłobily żałośnie jasne rowki, jak u małej dziewczynki, której na szkolnym podwórku ktoś rozdeptał bułkę. A może już w ogóle nie pamięta że płakał.

Oczy ma zaczerwienione, wygląda okropnie i rzeczywiście można sądzić, że dręczy go jakaś choroba weneryczna....

— Ooo — woła ziewając — to świetnie że jest coś do żarcia. — Jego piwo jest już letnie, lecz pije je łakomie i prędko bierze się do jedzenia. Dwaj pozostali palą leniwie i sączą powoli krystalicznie bezbarwną doskonałą wódkę, którą Willi wyciągnął.

— Tak, tak! — uśmiecha się Willi, lecz znów nagle milknie, patrzy w ziemię i ciągnie ogromny haust wódki.

— Coś chciał powiedzieć? — pyta Andreas z cicha. Po chwili, też bardzo cicho, Willi odpowiada: — Chciałem powiedzieć, że teraz przepiję naszą hipotekę, dosłownie, naszą hipotekę. Na dom, który wniosła mi żona w posagu, ciąży niewielka suma hipoteczna, cztery tysiące. Miałem ją teraz spłacić... lecz furda... pijmy! Cykl!

Blondyn też nie ma ochoty pójść do miasta czy baraków i szukać fryzjera. Obaj biorą mydła i ręczniki i kierują się do pobliskiego kranu zasilającego parowozy, gdzie oprócz piaszczystej kafuży można zawsze znaleźć strumyk ciekącej wody.

— Chłopaki! Buty sobie wypucujcie jak należało! — woła za nimi Willi, którego buty lśnią teraz nieskazitelnie.

Myć się w czystej wodzie, to bardzo przyjemne zajęcie, zwłaszcza, jeżeli mydło pieni się odpowiednio. Dlatego też Andreas bierze mydło do golenia. Już mi nie będzie potrzebne, myśli, „zafasowałem” je przed czterema tygodniami, a ma starczyć na trzy miesiące. To co zostanie, będzie dla partyzantów. Oni też potrzebują mydła, Polacy golą się tak chętnie. Golić się i czyścić buty — to ich specjalność.

Zabierają się obaj do golenia, gdy Willi gwałtownymi okrzykami i podnieconymi gestami woła wzywając ich do pośpiechu. Biegna, wycierają się po drodze. — Chłopaki! — krzyczy Willi. — Mamy jakiś spóźniony pociąg urlopowy, zaraz odchodzi przez Lwów do Kowla. Za cztery godziny będziemy we Lwowie, tam się ogolicie.. — Wkładają mundury, płaszcze, czapki, zbierają w pośpiechu swój dobytek, po chwili już są na peronie. W Przemysłu wysiada niewielu urlopowanych, jednak Willi wypatrzył grupkę wyskakujących młodych pancerniaków, w nowych mundurach, jeszcze przesiąkniętych odorem magazynów. Cały korytarz jest wolny, więc szybko zajmują miejsca, nim ci którzy pozostali w wagonie zdążą się rozprzestrzenić.

— Cztery godziny — triumfuje Willi — więc najpóźniej o dziesiątej będziemy we Lwowie. Doskonale! Bardziej w porę nie mógł się spóźnić ten wspaniały pociąg. Zyskujemy całą noc — cała noc dla nas!

Andreas wyciera mokre jeszcze uszy i porządkuje swój pośpiesznie upchany plecak. Ma w nim teraz brudną koszulę, brudne kalessony, czyste skarpetki, resztki kielbasy, masła i innych zapasów. Kielbasa — na poniedziałek, masło — na pół poniedziałku za ledwie, dropsy — na niedzielę i poniedziałek, papierosy — jeszcze mu nawet należne, chleb — chyba na niedzielne popołudnie. Ma także książeczkę do nabożeństwa. Wozi ją ze sobą przez całą wojnę, choć nigdy jej nie używa. Umie modlić się i bez książeczki, lecz nie umiałby ruszyć się bez niej. To niebywałe! To wszystko jest tak niebywałe, myśli wyciągając należnego mu papierosa, takiego z piątkowego jeszcze przydziału...

Pociąg rusza. Andreas i Willi milcząc ćmą papierosy. Blondyn gra teraz naprawdę. Fantazjuje na swej harmonijce jakieś nieznane melodie, niezwykle łagodne i wzruszające, wywołujące pozbawione form obrazy i kierujące myśli na równiny bagienne.

Tak. Błota Siwaszu, myśli Andreas. Co mogliby teraz robić ci tam przy armacie? Wzdryga się. Może wystrzelali się wzajemnie, może uziemili wachmistrza, może ich złuzowano? Miejmy nadzieję, że ich złuzowano. Tej nocy będę się modlił za nich i za tego, który padł tam za Wielkie Niemcy, padł bo nie chciał... To jest prawdziwie bohaterska śmierć. Jego kości leżą teraz gdzieś w bagnach na Krymie, nikt ich nigdy nie znajdzie, nikt go nie pochowa na wojennym cmentarzu, nikt nie pomyśli, że kiedyś z Błot Siwaszu zmartwychwstanie ojciec dwojga dzieci, którego żona mieszka w Niemczech i której miejscowy bonza ze strasznie smutną miną kiedyś doręczał list; w Bremie lub w Kolonii, albo w Leverkusen, — tak, może jego żona mieszka właśnie w Leverkusen. Zmartwychwstanie, het tam z Błot Siwaszu, w dniu, w którym nie ważne będzie, że padł za Wielkie Niemcy, że buntował się i zagrażał wachmistrzowi. Istotne będzie to, że nie chciał zostać takim... To chyba najgorsze, takie obrzydliwe i obłąkanie wstrętne. Znów wstrząsnął nim dreszcz.

Blondyn gra wciąż. Andreas i Willi są zachwyceni i upojeni rzewną i miłą melodią, oplatając ich jak zwiewny woal. Nagle przeraża ich raptowne urwanie tonów, subtelna pajęczyna marzeń znika, słyszą podniecony głos blondyna. — O, tam! wskazuje żołnierza stojącego w oknie i pykającego fajkę — takie właśnie fabrykowaliśmy. Śmieszne, jak mało ich się widzi, a robiliśmy tego tysięcy! — Obaj nic nie rozumieją. Blondyn podniecony i zaczerwieniony tłumaczy trochę gniewnie: — ...robiliśmy odznaki krymskie, robiliśmy je masami. Teraz robi się odznaki kubańskie, ale z tymi to już kłapa; robimy także odznaczenia za ustrzelony czołg, a kiedyś, jeszcze w trzydziestym ósmym, krzyże sudeckie z miniaturowym wizerunkiem Hradczyna. — Obaj

patrzą dalej pytając na blondyna, jakby mówił po hebrajsku. Blondyn czerwienieje coraz bardziej.

— Chłopie — woła gniewnie — przecież mówiłem, że mamy fabrykę u nas w domu.

— Ach tak!

— No tak, fabrykę flag narodowych.

— Flag narodowych? — pyta Willi.

— No tak, tak to nazywają; robiliśmy oczywiście i zwykłe flagi, całymi wagonami, mówię wam, wtedy... no... chyba jeszcze w trzydziestym trzecim. Jasne, to musiało być wtedy. Ale głównie robimy order, plakiety i odznaki dla związków, wiecie, a także plakiety z napisami w rodzaju: „Zwycięzcy Klubowemu w roku takim to a takim”, no i odznaki sportowe, szpilki ze swastyką, małe flagi blaszane do przypinania, niebiesko-biało-czerwone, albo francuskie poprzeczne też niebiesko-biało-czerwone. Dużo eksportowaliśmy, ale od wybuchu wojny wyrabiamy tylko na wewnętrzny użytek. Także odznaki dla rannych, masowo, czarne, srebrne, złote. Ale czarne to wagonami. Zarobiliśmy dużo forsy. Robimy też stare odznaczenia z pierwszej wojny światowej, odznaki kombatanckie, także masowo. No i baretki i miniatury do noszenia na cywilnym ubraniu. Tak, tak... — wzdycha i, równie nagle jak zaczął swą opowieść przerywa ją, zerka jeszcze gniewnie na niewzruszenie pykającego swą faję żołnierza z krymską plakietką na ramieniu, i rozpoczyna na nowo grę na harmonijce.

Wolniutko, wolniutko zaczyna się ściemniać... później zmrok zapada dość nagle, robi się coraz ciemniej, wieczór szybko przechodzi w chłodem wiejącą noc. Blondyn wygrywa swe bagienne melodie, którymi przesiał jak narkotykiem... Siwasz, myśli Andreas, nim usnę muszę się pomodlić za tych przy armacie, w błotach Siwaszu. Czuje jak ogarnia go senność, jak zasypia w tę swoją przedostatnią noc. Modli się... modli... lecz słowa płaczą się, wszystko staje się płynne... Willi i jego żona w czerwonej piżamie... Oczywiście... francuski farmer... blondyn i ten który mówił: „Wojnę właściwie już wygraliśmy...”

Tym razem zbudził go zbyt długi postój pociągu. Na stacjach drzemie się inaczej, ziewa się szeroko, wyczuwa się zniecierpliwienie zatrzymanych kół i czeka się dalszego turkotu i ruchu. Ale teraz pociąg stoi tak długo, że koła wydają się jakby zamrożone. Pociąg stoi, ale nie jest to ani stacja, ani jakiś boczny tor. Andreas podnosi się i spostrzega, że wszyscy cisną się przy oknach. Czuje się osamotniony i opuszczony, gdyż nie widzi obu przyjaciół; widocznie stoją przy którymś dalszym oknie. Na zewnątrz jest ciemno i zimno. Wyczuwa pierwszą, lub drugą po północy. Na sąsiednim torze dudni teraz transport wojskowy. Słychać jak żołnierze śpiewają swoje pieśni... stare,

głupie, tępe w sensie, pieśni, które tak głęboko zapadły im w trzewia, że działają jak płyta gramofonowa: gdy tylko otworzą usta rozbrzmiewa *Heidemarie i Wildbretschütz*...

Andreas też, chcąc nie chcąc, śpiewał je nie raz, pograżając się w nich dla zagłuszenia swych myśli. Te krzykliwe śpiewy wlewają się w ciemny, smutny mrok polskiej nocy i Andreas ma wrażenie jakby z głębokich ciemności, z odległego niewidzialnego horyzontu, wracało drwiące, ostre echo... *Wildbretschütz*... *Wildbretschütz*... *Heidemarie*...

Bardzo długi pociąg oddała się. Turkot i śpiewy rozplywają się i nikną, wszyscy wracają od okien na swoje miejsca, Willi i blondyn również.

— Wojska SS — mówi Willi — rzucają ich na Czerkasy. Tam znów jest jakiś kocioł, czy coś takiego. Zapchajdziury!

— Już ci dadzą im tam radę — twierdzi jakiś optymista...

Willi siada obok, Andreas słyszy jego głos: — Już druga, psia krewa, jeśli zaraz nie ruszymy, nie złapiemy we Lwowie naszego pociągu. Będziemy musieli dopiero w niedzielę rano...

— Ale zaraz ruszamy — mówi blondyn, który znów stoi przy oknie.

— Możliwe — mruczy Willi, — ale nie będziemy mieli czasu we Lwowie. Pół godziny, guzik znaczy na Lwów. Lwów! — Śmieje się.

— Ja?! — słyszą nagle okrzyk blondyna.

— Tak, wy! — wrzaskliwy głos z zewnątrz. — Przygotować się i na służbę! — Blondyn cofa się, mrucząc gniewnie; na stopniu starego wagonu widać jakąś postać; w oknie ukazują się ciężka, koścista twarz służbiście patrząca spod stalowego hełmu; blondyn świeci zapalką, szuka swego pasa i hełmu.

— Jest tu jaki podoficer?! — drze się głos spod hełmu, głos który potrafi tylko wrzeszczeć. Nikt się nie odzywa. — Czy jest tu wewnątrz jakaś szarża?! — Cisza, tylko Willi drwiąc kuksa łokciem sąsiada.

— Nie zmuszajcie mnie do szukania. Jeśli sam znajdę — kiepski jego los! — Znów kilka sekund ciszy, choć Andreas zauważył, że w wagonie roi się od podoficerów, wreszcie obok niego ktoś się odzywa:

— Jestem!

— Spaliście, co? — drze się głos spod hełma.

— Tak jest. — Andreas poznaje żołnierza z krymską plakietką. W wagonie kilka śmiechów.

— Nazwisko? — wciąż jednakowy wrzask.

— Sierżant Schneider.

— Na czas postoju tutaj jesteście dowódcą tego wagonu. Zrozumiano?

— Tak jest.

— Dobrze. Ten żołnierz... — wskazuje na blondyna. — Jak wasze nazwisko?

— Strzelec Siebental.

— A więc strzelec Siebental stanie na warcie przed wagonem do czwartej. Jeżeli będziemy stać tu dłużej — zmienić go. Po drugiej stronie wagonu też wystawić posterunek, też złuzować, jeśli będzie po czwartej. Możliwy napad partyzantów.

— Tak jest.

Hełm za oknem powtarza mruklawie: „Sierżant Schneider” i znika.

Andreas drży. Tylko nie dostać się na wartę, myśli, siedzę tuż obok niego, zaraz mnie za rękaw pociągnie i wygoni na zewnątrz. Ale sierżant Schneider zaświecił latarkę i rozgląda się po korytarzu, patrząc najpierw na kołnierze, wreszcie mówi do któregoś: „Weź swoją grzechotkę i na dwór! Nic na to nie poradzę”.

Wezwany klnie i szkuje się do wyjścia.

Żeby mnie tylko nie nakryli, że nie mam karabinu, w ogóle nie mam żadnej broni! Karabin stoi sobie u Paula; co też on z nim robi? Karabin u księdza! To dopiero gratka dla Gestapo. Nie może zameldować, bo nie zechce podać mojego nazwiska, że też musiałem właśnie Paulowi sprawić taki kłopot...

— Człowieku, przecież to będzie trwało tylko do ruszenia pociągu! — tłumaczy sierżant klnącemu i szamoczącemu się z drzwiami żołnierzowi.

To osobliwe że pociąg nie rusza; minął już kwadrans, nikt nie śpi; może naprawdę partyzanci są w pobliżu, to paskudna historia być w napadniętym w pociągu. Może jutrzejszej nocy będzie podobnie... niebawem. Może między Lwowem a... nie, do Kołomyi już nie dojadę. Jeszcze dwadzieścia cztery, najwyżej dwadzieścia sześć godzin, tak, już jest sobota. Jestem zwariowanie lekkomyślny... od środy wiem... i nic nie uczyniłem, wiem z całą pewnością i nie modliłem się nawet więcej niż zwykle. Grałem w karty, piłem wódkę, jadłem z najlepszym apetytem i spałem. Zbyt wiele spałem, i czas uciekał i nadal ucieka, a ja, na dobę przed tym, siedzę beczynn timer. Nic nie zrobiłem: skoro wie się o swej śmierci, ma się wiele do uregulowania, do odżałowania, do wymodlenia, a ja nie modliłem się więcej niż zwykle. Wiem przecież z całą pewnością, wiem najdokładniej: w niedzielę! W niedzielę rano. Dosłownie jeszcze jeden dzień. Muszę się modlić, modlić...

— Dajcie mi jeden łyk, cholernie zimno. — Blondyn pakuje

w okno swoją głowę zdegenerowanego charta, wyglądającą strasznie pod hełmem. Willi trzyma długo butelkę przy twarzy blondyna, później podsuwa ją drugiemu przyjacielowi.

— Niel — odmawia Andreas.

— Znów jakiś pociąg nadjeżdża — słysząc za oknem głos blondyna. Wszyscy cisną się do okien. Zaledwie pół godziny minęło, i znów transport wojskowy, znów śpiewy, znów Wildbretschütz... Wildbretschütz i Heidemarie... w tej ciemnej smutnej polskiej nocy... Wildbretschütz. Długo trwało nim minął ich ten pociąg z taborami, kuchniami, żołnierzami i nieodzowną Wildbretschütz i Do nas dziś Niemcy należą, a jutro cały świat... cały świat... cały świat...

— Znów wojska SS — mówi Willi — i wszystko na Czerkasy. Musi tam być wielki smród. — Mówi szeptem, gdyż tuż obok gorliwie i optymistycznie odpierają i zwyciężają wroga. Coraz ciszej rozbrzmiewa Wildbretschütz z oddalającego się w ciemności nocy pociągu, jeszcze przez kilka chwil od strony Lwowa dolatuje żalosne kwilenie i wszystkie dźwięki rozplywają się w ciemnościach smutnej polskiej nocy.

— Żeby tylko nie miało nas siedemnaście takich transportów — mruczy Willi. Znów proponuje butelkę, Andreas odmawia. Najwyższy czas zacząć pacierze, myśli, przedostatniej nocy mego życia nie chcę przespać, przebałwanić, zalewać wódką i stracić na marne. Teraz muszę się modlić i żałować wszystkich występków. Wiele ma się powodów do skruchy, nawet w tak nieszczęsnym życiu jak moje, tyle rzeczy trzeba żałować! Wtedy we Francji: przy trzydziestu pięciu stopniach w cieniu wychlałem całą butelkę Cherry Brandy, jak bydlę, i jak bydlę padłem, o mało ducha nie wyzionąłem. Całą butelkę, na drodze bez śladu jakiegoś cienia, w takim upale, tylko dlatego że byłem spragniony i nic innego nie było do picia. To było wstrętne, a potem przez osiem dni nie mogłem pozbyć się bólu głowy. Z Paulem wszczynałem kłótnie, przyzywałem go klekając, zawsze wymyślałem na klekchów. To okropne, gdy ma się umierać, myśleć o tym, że się wszystkim wymyślało. A jeszcze w szkole znieważałem innych smarkaczy i na białym Cicerona napisałem „Gówniarz”; to była głupota. Byłem młody, ale wiedziałem, że robię głupio i źle, jednak robiłem to, bo chciałem żeby inni śmieli się i podziwiali mój dowcip, tylko dlatego, z próżności. Wcale nie dlatego żebym myślał, że Cicero to gówniarz. Gdybym tak myślał, mój napis nie byłby specjalnym występkiem, ale ja to napisałem tylko dla wątpliwego dowcipu. Nie wolno nic robić dla kpin. Naigrywałem się też z porucznika Schreckmüllera, choć temu małemu, blademu i smutnemu młodzieńcowi oficerskie epolety tak bardzo ciążyły, choć widoczne było, że śmierć już go sobie upatrzyła. Wyszy-

dzałem, bo robiło mi przyjemność uchodzenie za dowcipnego i za starego, ciętego żołdaka, drwiącego sobie ze wszystkich i wszystkiego. To było chyba najgorsze i nie wiem czy Bóg może mi to przebaczyć. Drwiłem z niego, z jego stylu Hitler-Jungen, choć widziałem na jego twarzy piętno śmierci; zginął w Karpatach zaraz w pierwszych walkach, trafiło go na stromym stoku; jego ciało rolowało w dół, oblepiając się błotem; wyglądało to strasznie i śmiesznie zarazem, trup wałkował się coraz prędzej, coraz prędzej, aż roztrzaskał się na dnie wąwozu...

Kiedys w Paryżu późną nocą zwymyślałem jakąś ulicznicę; to była podłóżka z mojej strony. Było bardzo zimno, przyczepiła się do mnie... po prostu napadła na mnie; po jej palcach i nosie poznałem jak przeraźliwie była zmarznięta; pewnie nie tylko z zimna ale i z głodu. Gdy powiedziała: „Chodź!” ogarnęło mnie obrzydzenie, odepchnąłem ją mimo że była tak zziębnięta i tak samotna wśród szerokiego bulwaru — i tak brzydka, mimo, że byłaby z pewnością bardzo szczęśliwa, gdybym chociaż ją ogrzał trochę leżąc w jej nędznym łóżku. A ja odepchnąłem ją brutalnie do rynsztoka i obrzuciłem ją drwinami. Żeby wiedział co się z nią wtedy stało? Może poszła do Sekwany? była tak brzydka, że nikt jej z pewnością nie wziął tej nocy, a najgorsze jest to, że nie byłbym tak bezwzględny, gdyby była ładna... Gdyby była ładna, pewno by mi jej zawód nie wydał się tak nikczemny, pewno nie odepchnąłbym jej, na odwrót sam pewno chętnie bym się u niej rozgrzewał, i to inne też. Bóg wie co by było, gdyby była ładna! To bardzo podłe potraktować źle człowieka, dlatego, że komuś wydał się brzydkim. Nie ma brzydkich ludzi. Biedne stworzenie. Boże wybacź! Boże przebacź! Boże daruj mi! na dobę przed moją śmiercią, że odepchnąłem tę brzydką, zziębniętą ulicznicę, wówczas nocą na szerokim, pustym, paryskim bulwarze, gdy nikt inny, jak tylko ja jeden, mógł się o nią zatroszczyć. Boże przebacź mi wszystko, nie odstanie się to co się stało, nie odstanie się nigdy co się stało i wiecznie ciężać będzie nade mną i oskarżać żaloszny lament tej nieszczejnej paryskiej dziewczyny i biedny, jak u bezradnego psa, wzrok porucznika Schreckmüllera, któremu oficerskie epolety tak okropnie ciążyły na chłopcących ramionach...

Żeby ja mógł płakać. Za nic nie umiem płakać. Jest mi boleśnie, ciężko, straszliwie, ale płakać nie mogę z tego powodu. Wszyscy mogą płakać, nawet blondyn, tylko ja nie mogę... Boże! pozwól żebym i ja mógł płakać...

Wielu, bardzo jeszcze wielu spraw nie przypominam sobie; mnóstwo jeszcze brakuje, by wszystko wypomnieć. Tyloma gadyłem, tylu nienawidziłem i w duchu przeklinałem! Choćby ten co „właściwie już wojnę wygrał”, jakże go znienawidziłem, ale

zmusiłem się do modlitwy za niego, jest przecież tylko taki głupi. Muszę też pomodlić się za tego, który „już im tam dawał radę” i za tych wszystkich, którzy z zachwytem śpiewali *Wildbretschütz*.

Znienawidziłem także tych wszystkich, którzy nas przed chwilą mijali śpiewając *Wildbretschütz* i *Heidemarie...* i *Jak pięknie być żołnierzem...* i *Dziś do nas Niemcy należą, a jutro cały świat*. Wszystkich, wszystkich nienawidziłem: tych którzy tak nieźnośnie blisko leżeli obok mnie w wagonie, i tych w koszarach. Ach, w koszarach...

— Odwołane — woła jakiś głos za oknem. — Wszyscy wsiadać. — Blondyn wraca, ten z drugiej strony wagonu także, pociąg gwizdże i rusza. „Chwała Bogu” mówi Willi. Ale już jest późno. Jest pół do czwartej mają jeszcze co najmniej dwie godziny drogi do Lwowa, kurier Warszawa-Bukareszt odchodzi o piątej.

— To dobrze — mówi Willi — będziemy mieli cały dzień we Lwowie. Znów się śmieje. Taką ma ochotę opowiadać o Lwowie, można to wyczuć z jego głosu, a tu nikogo Lwów nie ciekawi, nikt o nic nie pyta. Wszyscy są zmęczeni, jest pół do czwartej, nad nimi wisi ciemna polska noc, a te dwa bataliony — może pułki — które ich mijają i które będą rzucone do kotła pod Czerkasami, zmuszają do zastanowienia się. Nikt nic nie mówi, choć nikt nie śpi. Po mału jednak turkot pociągu tak łagodnie usypia i rozprasza myśli, wysysa z głów rozważania; to regularne rak-tak-tak-bums, rak-tak-tak-bums, usypia ich wszystkich. Wszyscy oni to tylko biedne, szare, uwiedzione i oszukane dzieci, ich kołyską są pociągi zwykłe i urlopowe, a usypiającą śpiwką turkot rak-tak-tak-bums...

Wyglądało, że blondyn śpi naprawdę. Zmarł na warcie a opary wagonu musiały go trochę rozgrzać i uśpić. Tylko Willi nie śpi, Willi, który niedawno był Nieogolonym. Słuchać chwilami jak butelka bulgocze przy jego wargach, jak klnie cicho od czasu do czasu, jak zapala zapałkę i papierosa, spoglądając przy tym na twarz kolegi, który też czuwa. Ale nic nie mówi i to jest zastanawiające, że Willi nie odzywa się...

Andreas chce się modlić, koniecznie chce się modlić, najpierw odmówić wszystkie codzienne pacierze, później kilka dodatkowych, później wyliczyć tych wszystkich, za których winien się modlić, ale myśli że to nonsens wyliczać wszystkich. Właściwie trzeba by cały świat wyliczyć. Dwa miliardy trzeba by wyliczyć... czterdzieści milionów... nie, trzeba wyliczyć dwa miliardy. Należałoby po prostu powiedzieć: Wszyscy. Ale to za mało, wie że to zbyt mało. „Wszyscy” to zbyt mało mówi, więc trzeba zacząć wyliczać tych, za których musi się modlić. Najpierw tych których

obraził, lub znieważył, którym coś dobrego należy uczynić. Zaczyna od szkoły, później towarzysze pracy, później koszary i wojna, i mnóstwo tych którzy w międzyczasie przyszli mu na myśl. Jego wuj, którego też znienawidził, bo marzył o wojsku jako o najpiękniejszym czasie swego życia. Myślał o rodzicach, których nie znał, myślał o Paulu... Paul już niedługo wstanie i odprawi mszę. To będzie trzecia po moim wyjeździe. Może Paul uwierzył, gdy mu napisałem że umrę wkrótce... Może Paul uwierzył i w niedzielę rano odprawi mszę na moją intencję, godzinę przed, lub po mojej śmierci. Może Paul myśli i o innych, o żołnierzach takich jak blondyn i o takich jak Willi i o takich którzy „właściwie już wojnę wygrali”, i o takich którzy dzień i noc śpiewają *Wildbretschütz* i *Heidemarie*, *Jak pięknie jest żołnierzem być* lub *Słońce Meksyku*. O Oczach wcale nie pomyślał w ciągu tego chłodnego, beznadziejnego poranka, pod ciemnym i smutnym niebem galicyjskim. Teraz jesteśmy z pewnością w Galicji, Lwów już tak blisko, a Lwów to przecież stolica Galicji. Teraz znajduję się już w środku sieci, która ma mnie uchwycić. Galicja to tylko mała prowincja, a ja jestem w środku Galicji. Już nigdy w życiu nic więcej nie zobaczę poza Galicją. Jak bardzo zwęziło się już to „Wkrótce”: do jednej doby i do kilkudziesięciu kilometrów. Niewiele kilometrów jest do Lwowa — może ze sześćdziesiąt, a za Lwowem też najwyższe sześćdziesiąt. Do stu dwudziestu kilometrów skurczyło się już moje życie w Galicji, w Galicji... jak nóż na niewidocznych węzowych łapkach, nóż który wędruje, cicho wędruje, jak cicho wędrujący nóż. Galicja. Jak to się stanie — myśli. Zastrzelony będę czy zasztylowany... może po prostu zgnieciony w strzaskanym wagonie. Tyle jest odmian śmierci! Można być zastrzelonym przez wachmistrza, bo nie chciało się zostać takim jak blondyn. Można umrzeć jak się chce, lecz treść zawiadomienia zawsze będzie jednakowa: Padł za Wielkie Niemcy. Muszę jeszcze koniecznie pomodlić się za obsługę tej armaty w bagnach Siwaszu... koniecznie... rak-tak-tak-bums — koniecznie za obsługę armaty... w bagnach Siwaszu... rak-tak-tak-bums...

To straszne, że jednak zasnął. I oto są już we Lwowie. Wielki dworzec, czarne żelazne belkowanie, brudno-białe szyldy i czarny na białym napis między peronami: LWÓW. Tu jest odskocznia. Trudno zrozumieć jak szybko znad Renu można się znaleźć we Lwowie. Lwów, widać czarno na białym, nieodwołalnie Lwów. Stolica Galicji. Znowu o sześćdziesiąt kilometrów bliżej. Sieć jest już zupełnie mała. Sześćdziesiąt kilometrów, może mniej, może tylko dziesięć. Za Lwowem, między Lwowem a Czerńowcami, to może być też jeden kilometr za Lwowem. To jest

tak rozciągliwe pojęcie jak samo Wkrótce, które znowu wydaje się węższe...

— Ale ty możesz spać, młodzieńcze, ależ ty śpisz — mówi Willi bardzo rzeźki, zbierając swoje manatki. — Dwa razy jeszcze staliśmy. O mało cię na wartę nie wypchnięto, ledwie sierżantowi wytłumaczył żeś chory, więc jakoś dał ci spokój. No, ale wstawaj! — Wagon jest już prawie pusty, blondyn czeka już na peronie ze swym kuferkiem i lotniczym plecakiem.

To niezwykle, tak sobie maszerować wzdłuż peronów dworca głównego we Lwowie...

Jest jedenasta, prawie południe i Andreas jest dokuczliwie głodny. Ale z obrzydzeniem myśli o kiełbasie. Chleb, masło i coś gorącego! Tak dawno nic ciepłego nie jadłem, chciałbym zjeść coś lepszego. Niezwykle, myśli krocząc za Willi i blondynem, moim pierwszym odruchem we Lwowie jest zjeść coś gorącego. Czternaście, może piętnaście, godzin przed śmiercią chciałbym zjeść coś gorącego. Śmieje się tak głośno, że obaj towarzysze oglądają się i patrzą pytająco. Andreas unika ich spojrzeń, lecz musi się zaczerwienić. Kontrola. Posterunek w stalowym hełmie, jak na wszystkich dworcach Europy, mówi, gdy Andreas mija go jako ostatni: „Poczekalnia na lewo, również i dla szeregowych”.

Ledwie przeszli kontrolę Willi stał się zaciepły. Zatrzymuje się na środku hali dworcowej, zapala papierosa i maľpuje głośno: „Poczekalnia także dla szeregowych... na lewo... Chcieliby nas do tego chlewa zapędzić... dla nas właśnie przygotowanego...” Patrzy na niego przerażeni, lecz on śmieje się w głos. — No teraz ja działam, chłopcy! Lwów to moje podwórko. Poczekalnia dla szeregowych, wybrał się! Tu są knajpy, tu są restauracje — mlaska językiem — „europejska klasa” — powtarza z ironicznym naciskiem: „europejska klasa”. Jego twarz znowu jest nieznacznie zarośnięta szybko odrastającą brodą, znowu ma dawny, smutny i zrezygnowany wyraz.

Idzie głucho naprzód, prowadzi bez słowa przez rozległy plac, rojący się ludzkim mrowiem, po chwili wszyscy trzej znajdują się w wąskiej poprzecznej uliczce, gdzie na rogu oczekują sfatygowane taksówki. Wszystko dzieje się jak we śnie. Willi zna kierowcę, woła go po imieniu „Stani”. Zaspany, brudny, stary Polak wylazi z samochodu i szczerząc zęby wita Willego jak dobrego znajomka. Po chwili siedzą już w samochodzie. Willi wymienia jakieś polskie nazwy i jadą przez miasto. Jak w każdym większym mieście na świecie, są tu szerokie i eleganckie aleje, opuszczone ulice i smutne zaułki z pożółkłymi fasadami, wyglądające jak wymarłe. No i ludzie, ludzie... i Stani jedzie bardzo prędko... Wszystko dzieje się jak we śnie, a cały Lwów

jakby należał do Willego. Wjeżdżają w bardzo szeroką aleję, taką samą aleję jak w każdym większym mieście na całym świecie, jednak w polską aleję. Stani zatrzymuje auto, dostaje od Willi banknot — pięćdziesiąt marek, widzi Andreas — wciąż uśmiechając się układa ich bagaże na chodniku, wszystko dzieje się bardzo prędko. Również prędko mijają zapuszczony ogródek i wchodzi do długiego głuchego korytarza, w domu o zniszczonej fasadzie. Jeszcze cesarsko-królewski dom, zauważa Andreas i dodaje że kiedyś, kiedy jeszcze tańczono walca, musiał tu mieszkać jakiś wysoki oficer, lub inny dostojnik rządowy. Jest to niewątpliwie stary austriacki dom, jakich wiele stoi jeszcze na Bałkanach, na Węgrzech, no i rzecz prosta w Galicji, myśli Andreas w ciągu kilku lotnych sekund przed dotarciem do wnętrza nieco zatęchłego korytarza.

Lecz teraz Willi, uśmiechając się z zadowoleniem, otwiera brudno-białe, bardzo wysokie i szerokie drzwi i ukazuje się sala restauracyjna, z klubowymi fotelami, ładnie nakrytymi stołami i kwiatami. Jesienne kwiaty, myśli Andreas, jakie składa się na grobach; to będzie moja pożegnalna uczta. Willi prowadzi ich do niszy za kotarą, którą można zaciągnąć; tu także są fotele i pięknie nakryty stół. Wszystko jak sen, ale przecież na jawie czytałem szyld z napisem: Lwów, rozmyśla Andreas.

Kelner! Elegancki polski kelner, w błyszczącym obuwu, fantastycznie ogolony, uśmiechnięty, jedynie frak nieco zniszczony. Wszyscy uśmiechają się tutaj, myśli Andreas. Frak kelnera jest nieco zniszczony, lecz to nic nie szkodzi, obuwie ma jak u wielkiego księcia, ogolony jak bóstwo... lśniące, czarne półbuty...

— Słuchaj Jerzy — mówi do kelnera Willi — ci panowie chcieliby umyć się i ogolić. — Brzmi to trochę jak rozkaz i jest wykonane jak rozkaz, choć Andreas musi się wciąż uśmiechać, krocząc za stale szczerzącym zębem kelnerem i czując się jak na wizycie u srogiej babki, lub u groźnego wujaszka, który właśnie oświadcza: nieogoleni i nieumyte dzieci nie mogą sięść do stołu...

Umywalnia jest okazała i czysta. Jerzy przynosi ciepłą wodę. — Gdyby panowie życzyli sobie mydła toaletowego, najlepszy gatunek piętnaście marek. — To proszę mi dać — mówi Andreas, uśmiechając się. — Papić za wszystko płaci.

Jerzy przynosi po chwili mydło i znów uśmiechając się podwiera: — Papa już zapłacił. — Blondyn też się myje. Rozebrał do pasa, z uciechą mydła, płuczą, później trą do sucha swą żółtawo-białą, niewietrzoną, żołnierską skórę. Szczęście, że mam świeże skarpetki, myśli Andreas, więc nogi też wymyję i włożę czyste skarpetki. Tu skarpetki muszą być bardzo drogie i po coś mam je nosić w torbie. Partyzanci z pewnością mają ich dosyć.

Myje sobie nogi i śmieje się z blondyna, który ma wciąż zdziwioną minę. Blondyn rzeczywiście śni.

To bardzo pięknie tak gładko być wygolonym, tak gładko, jak jaki Polak, a tylko szkoda że jutro znów będę obrośnięty, myśli Andreas. Blondyn ma zaledwie meszek nad wargami i nie potrzebuje się golić. Kładzie czystą, ładną koszulę, kiedyś granatową, teraz już błękitną, z prawdziwym cywilnym kołnierzem i dlatego może nie wiązać idiotycznego wojskowego szalika. Andreas patrzy na ubierającego się zastanawiając się nad jego wiekiem, a blondyn wkłada mundur, bardzo obcisły i ze znaczkami dla ranionych. Może ten znaczek pochodzi z jego własnej fabryki, myśli Andreas, lecz natychmiast wraca do sprawy wieku blondyna: brody nie ma; ale Paul też nie ma, a skończył dwadzieścia sześć lat. Blondyn może mieć siedemnaście równie dobrze jak czterdzieści, ma niezwykłą twarz — z pewnością ma dwadzieścia. Miał dziewiętnaście jak go zmobilizowano, jest freitrem, więc ma rok, najwyżej dwa służby; musi mieć dwadzieścia jeden, ocenia Andreas. Ale dosyć tego, mówi sobie kładąc i zapinając mundur, być czystym, to naprawdę wspaniałe uczucie!

Siadają sami w niszy. Na sali siedzi kilku oficerów, trzeba by wciąż salutować, a to okropna udręka, dużo milej zaszyć się w tej niszy.

— O! tak, teraz podobacie mi się, chłopcy — mówi Willi, siedząc już za stołem, przy winie i z cygarem. Stół nakryty mnóstwem sztućców i zastawy. Jerzy obsługuje bezszelestnie. Podaje najpierw bulion. Andreas modli się cicho i długo, pozostali już jedzą i zadziwiająco: nic nie mówią.

Po bulionie podają coś w rodzaju sałatki z kartofli — tylko odrobinę — i aperitif — jak we Francji. Później kilka dań mięsnych: najpierw kotlet siekany... później coś bardzo intrygującego. — Co to jest? — pyta Willi wyniośle, lecz uśmiecha się przy tym.

— To? — śmieje się Jerzy. — To serce wieprzowe... doskonałe serce wieprzowe... Później podano dobry soczysty befszytk. Prawdziwie pożegnalna uczta, myśli Andreas i jest zdziwiony że mu to wszystko smakuje. To hańba, myśli, muszę się modlić i modlić, cały dzień gdziekolwiek klęczeć, a ja tu siedzę i zjadam wieprzowe serce... to hańba.

Podano pierwszą jarzynę, groszek. Później coś w rodzaju gulaszu i znów jarzyny, sałata. Nareszcie coś zielonego. A wino stale i do wszystkiego. Willi dysponuje i ugaszcza hojnie, z pańską i z uśmiechem woła:

— Cała hipoteka będzie dziś zapłacona, niech żyje polska hipoteka! — Trącają się i piją za polską hipotekę...

Teraz cała seria deserów. Zupełnie jak we Francji, myśli

Andreas. Najpierw prawdziwy pudding z jajkiem, później filigranowe ciasteczko z waniliowym sosem, do tego wino, bardzo słodkie wino. Następnie coś maleńkiego, wyglądającego mikroskopijnie na białym talerzu, delikatne płatki wypełnione kremem i oblane czekoladą. Szkoda że takie małe, myśli Andreas. Jedzą w milczeniu, a blondyn wyraźnie wciąż śni. Jest coś odrażającego w jego twarzy, ma stale otwarte usta, jednak żuje, je i pije.

Na zakończenie podano sery. Do licha! zupełnie jak we Francji — sery, tosty i koniec. Ser zamyka żołądek, myśli Andreas i pije białe wino, białe francuskie wino... Sauterne...

Mój Boże, czyż nie pił Sauterne'a w Le Treport na nadmorskim tarasie, pysznego jak ogień i miód z mlekiem. Sauterne w Le Treport, letniego wieczoru na tarasie nadmorskim. Czyż wówczas nie były przy nim ukochane Oczy niemal tak blisko jak pod Amiens! Sauterne w Le Treport. Teraz pije to samo wino. Podniebienie ma dobrą pamięć. Sauterne w Le Treport, i ona była przy nim: jej usta, włosy i oczy; czego wino nie potrafi zdziałać! Jak dobry jest chleb i ser z białym winem.

— Smakowało wam, chłopcy? — pyta z uśmiechem Willi. Tak, bardzo im smakowało i czują się doskonale.. Nie są przejeżeni — przy jedzeniu należy pić wino, to tak dobrze robił Andreas modli się... trzeba się modlić po jedzeniu, więc modli się bardzo długo. Dwaj pozostali, wygodnie rozparci, siedzą i palą. Andreas wsparł ramiona na stole i modli się...

Życie jest piękne, myśli, właściwie było piękne. Dwanaście godzin przed śmiercią dostrzegam, jak jest piękne, lecz to już za późno.. Jestem niewdzięczny, przeczyłem że istnieje ludzka radość, a życie jest piękne. Czerwieni się z zakłopotania, lęku i żalu. Rzeczywiście przeczyłem, że ludzka radość istnieje a życie było piękne. Miałem bardzo nieszczęśliwy żywot... Zmarnowane życie, jak to się mówi, każda sekunda spędzona w tym obrzydliwym mundurze była dla mnie cierpieniem, w wojsku ogłupiano mnie na śmierć i wykrwawiono — trzy razy jestem ranny na tak zwanych polach chwały — pod Amiens, później pod Tyraspołem i ostatnio pod Nikopolem. Widziałem tylko brud, krew, smród i gówno; znałem tylko smak brudu, nędzy i plugastwa; tylko przez ułamek sekundy doznałem prawdziwej ludzkiej miłości, mężczyzny do kobiety, która jednak musi być piękna... tylko ułamek sekundy. Dopiero na dwanaście czy jedenaście godzin przed śmiercią mogę stwierdzić, że jednak życie było piękne.

Pilem Sauterne'a... na nadmorskim tarasie w Le Treport, a i w Cayeux także. W Cayeux też piłem Sauterne'a, też w letni wieczór, i ukochana była ze mną... I w Paryżu spędziłem całe godziny na tarasach bulwarów i wchłaniałem do syta wspaniałe,

złociste wino. Ona i tu była przy mnie, i nie musiałem przeszukiwać czterdziestu milionów aby być szczęśliwym.. Myślałem że nie zapomnę, zapominałem jednak, wszystko... wszystko... a ta uczta też była piękna... serce wieprzowe, ser, wino, nauczyły mnie, że życie było cudowne.. jeszcze dwanaście czy jedenaście godzin...

Wreszcie myśli jeszcze raz o Żydach z Czerniowiec, Lwowa, Stanisławowa i Kołomyi, przypomina mu się działo w bagnach Siwaszu, no i ten pepanc 3.7... i brzydka, zziębnięta ulicznica w Paryżu, którą tak odepchnął pośród nocy...

— Pij jeszcze, kolego — mówi szorstko Willi. Andreas podnosi głowę i pije. Jest jeszcze wino, butelka stoi w lodzie. Wypija szklankę i pozwala ją znów napełnić.

To wszystko co ja tu robię we Lwowie, dzieje się w starym, na wpół zniszczonym cesarsko-królewskim domu, w wielkiej sali, w której z pewnością urządzano wspaniałe festyny i tańczono walca — liczy po cichu — dwadzieścia osiem lat temu... nie, dwadzieścia dziewięć, wojna się jeszcze wtedy nie zaczęła. Przed dwudziestu dziewięciu laty była tu Austria, potem Polska, później Rosja... i teraz są tu Wielkie Niemcy. Odbływały się tu wtedy z pewnością wielkie bale... tańczono walca, cudownego walca... a w parku, który na pewno jest za tym domem, całowano się, porucznicy z pannami... majorowie może z damami... panem domu musiał być pułkownik, albo generał, który udawał że nic nie widzi... może tu mieszkał cesarsko-królewski namiestnik albo ktoś taki...

— Pij jeszcze, kolego!

Jasne, będzie pił jeszcze... Czas ucieka — myśli — która to może być godzina? O jedenastej, nie kwadrans po jedenastej wyszliśmy z dworca, musi być druga, albo już trzecia... jeszcze dwanaście godzin, nie, trochę więcej — pociąg odchodzi przecież o piątej, więc piąta i jeszcze jakiś czas nim... Wkrótce. W tej chwili Wkrótce jest rozwiane i niewyraźne. Więc sześćdziesiąt kilometrów za Lwowem; na to potrzebne jest półtorej godziny, czyli o pół do siódmej — już będzie widno. Nagle, gdy już dotykał szkła wargami odczuł z całą pewnością że dla niego dzień nigdy już nie wzejdzie. Czterdzieści kilometrów... godzina albo trzy kwadransy, o brzasku pewno. Nie, będzie jeszcze zupełnie ciemno! Teraz to widzę! Najdokładniej kwadrans przed szóstą jutro rano! Jutro już niedziela i Paul rozpoczyna nowy tydzień, w którym będzie odprawiał mszę o szóstej. Będzie umierał, gdy Paul będzie się zbliżał do ołtarza. Z całą pewnością, wtedy gdy Paul będzie odmawiać Graduał, bez ministranta — mówił mi jak brakuje teraz chłopców do mszy.

Podczas gdy Paul będzie odmawiać Graduał, między Lwowem i... Andreas musi zobaczyć jaka miejscowość znajduje się czterdzieści kilometrów za Lwowem, musi obejrzeć mapę, ale blondyn schował ją do kieszeni, a teraz drzemie w miękkim fotelu, tak, jest zmęczony; stał przecież na warcie. Willi jest rzeźki, trochę pijany, prawie uszczęśliwiony, uśmiecha się. Jest jeszcze dużo czasu, myśli Andreas, więcej niż pół doby, piętnaście godzin... w czasie tych piętnastu godzin muszę wiele rzeczy zrobić. Modlić się, modlić, nie zasypiać... w żadnym wypadku nie mogę zasypiać... jak to dobrze, że wiem teraz tak dokładnie... Willi też wie, że umrze, a blondyn też chce umrzeć, jego życie również dobiega kresu, jego klepsydra jest pełna po brzegi, śmierć musi ją tylko lekko, bardzo leciutko, poruszyć.

— No, chłopcy! — mówi Willi. — Przykro mi, lecz muszę przerwać. Pięknie tu było! Nieprawda? — Trąca blondyna. Blondyn budzi się, lecz śni dalej, widać to po jego twarzy, oczy są teraz mniej odrażające, mają coś dziecinnego; może dlatego że śnił o czymś miłym i naprawdę był szczęśliwy. Bo radość, tak samo jak cierpienie, wiele potrafi zmyć. — Teraz — mówi Willi — musimy iść do biura „stemplowego”, ale nie zdradzę wam jeszcze nic więcej.

Jest po prostu zmartwiony, że nikt go nie pyta o szczegóły. Woła Jerzego, płaci ponad czterysta marek rachunku, daje magnacki napiwek. Zapinają pasy, kładą czapki, zbierają bagaże i wychodzą mijając w dużej sali oficerów, cywilów i brunatne mundury. Oczy oficerów i tych w brunatnych mundurach wyrażają wiele zdziwienia. Poza tym dzieje się tak jak we wszystkich lokalach Europy, w knajpach francuskich, węgierskich, rumuńskich, jugosłowiańskich i czeskich, w holenderskich i belgijskich, norweskich, włoskich czy luxemburskich: zaciśnięte pasy, nałożone czapki, przed wyjściem ogólny salut, jak przy opuszczeniu świątyni, zamieszkałej przez niebezpieczne bóstwa.

Opuszczają cesarsko-królewski dom i dziedziniec. Andreas przed dojściem do taksówki spogląda jeszcze raz na poszczerbioną fasadę — cesarsko-królewska fasada z epoki walca.... Skończono.

(c. d. n.)

Heinrich BÖLL

(Autoryzowany przekład S.W. KOZŁOWSKIEGO)

Kilka pieśni trubadurów

Alfred Jeanroy, prowansalista, przyrównuje poezję liryczną trubadurów do kwiatu, co rozkwitł niespodzianie, obywatel się bez korzeni i łodygi. Istotnie, pierwszy z nich, Guillaume de Poitiers, stoi na wysuniętym cyplu średniowiecza samotnie, a pieśni jego, doskonałe w formie, nie znają procedensu w żadnym języku nowożytnym. Do dziś specjaliści trudzą się, by sfabrykować rodowód tym poetom — jedni wywodzą ich z łacińskiej poezji postklasycznej, z ludowych kantyczek i legend rymowanych i sylabicznych, a nie skandowanych. Drudzy dogrzebują się substratowych tradycji etnicznych, przytaczają pieśni na cześć maja i wiosennej ponowy życia. Inni widzą przyczynę wyklucia się tak pięknego kwiatu w wyjątkowych warunkach klimatycznych, w pięknie ziemi Południa, we wczesnym złagodzeniu i wyrafinowaniu się życia na feudalnych dworach, nie nękanych wojnami, gdy tymczasem Rolandy z Północy szczerbiły miecze i uderzały w pierwsze tony rycerskiej epopei. Jeszcze inni chcą widzieć w niej dzieło jednego człowieka: owego Guillaume'a de Poitiers, który pasowany byłby w ten sposób na najpotężniejszego prekursora w historii literatury, co nader z jego birbanckim i rubasznym obliczem, znanym z historii, się kłóci. Najbardziej w modzie obecnie jest ostatnia hipoteza, arabska, która wiąże najstarszą strofę trubadurów z popularną pieśnią arabskiej Andaluzji. Tak więc Ibn Guzman z Kordoby byłby dziadem Jaufre Rudela, a sylabiczny i rytmiczny *Zajal* prototypem prowansalskiej *canzo*.

Jakby nie było kwiat ten, aż po Odrodzenie, napęłnił wonią całą Europę. Dwory Francji, Anglii, Akwitanii, Aragonu i Kastylii, niemieckich elektorów, włoskich książąt Montferrat, Malaspina, d'Este, trony obojga Sycylii, rozbrzmiewały długo dźwiękiem prowansalskiej mowy, która jedyna godną zdawała się poezji. Pierwsze pokolenie trubadurów włoskich rymuje po prowansalsku. Z nich Guido Guinicelli, z nich Dante, Petrarca i cały *dolce stil nuovo*, a potem Boccaccio i Tasso, Du Bellay i Ronsard, Cervantes, opowieści wieku XVI i chociażby poprzez

Wielkiego Cyrusa Mlle Scudéry — rozkwit Felibrige z Mistralem na czele.

Wykarmiona na pieśni trubadurów Europa zapominała o nich doszczętnie. Tyle, że w Boskiej Komedii Dantego błakają się smętne cienie, rozplasowane po Piekło lub Raju według uznania znakomitego ucznia. A przecież nie zapierali się ich wpływu naśladowcy. Pietro Bembo wyraźnie wskazuje, że poezja tokańska wywodzi się prosto od nich. Laura Petrarki jest Prowansalką, krajanką Mireille. Po Anakreoncie, Wergiliuszu, Owidiuszu wymienienia on nazwiska czternastu trubadurów z Arnaut Danielem na czele, jako swoich mistrzów i pisze:

*E molti altri ne vidi, a cui la lingua
Lancia e spada fu sempre, e targia ed elmo.*

Olbrzym tokański, Dante, pisze o Bertranie de Born, o Sordelu, a w Czyśćcu ustami Guida Guinicelli mianuje Arnaut Daniela księciem poetów mówiąc:

En miglior fabre del parlor materno.

Po czym na konto owego Arnaut Daniela sam składa dosyć liche wiersze po prowansalsku.

Tym niemniej trzeba było właściwie dopiero filologów dzieśnastego wieku, aby dla języka, a nie dla poezji spod dzieśniastych warstw pergaminów wydobyli na jaw kości tych wielkich mamutów liryki. Jak nagle rozkwitł liryczny kwiat Prowancji, tak nagle przepadł, ścięty może dłonią inkwizycji przeciw albigensom, która na jeden stos rzuciła w gorliwości pieśni miłosne i pisma kacerzy, a może dłonią barona z Północy, w żelaznej rękawicy, który zgniótł i rozproszył beztróskie dwory prowansalskie, gościnne dla wędrownych poetów. W każdym razie została po nich legenda i bałamutne opowieści Nostradamusa, którym i sam Mistral, choć erudyta, przez czas dłuższy dawał wiarę. Cóż dziwić się, skoro pierwsze krytyczne wydania tekstów wyszły prawie równocześnie z pierwszymi rocznikami *Armana Prouvençau*.

Być może drogę do potomności zagroziła trubadurom zbyt nia doskonałość i przerafinowanie formy. Można z nich czerpać natchnienie, naśladować ich, przełożyć prawie niepodobna. Któremu tłumaczowi nie zbrakłoby odwagi na widok *cobla unisonans* Arnaut Daniel'a, złożonej z siedmiu kupletów o siedmiu powracających rymach zewnętrznych, przełożonych siedmiu powracającymi rymami wewnętrznymi, z dodatkowym rymem środkowym w piątym wierszu dla większej komplikacji? Oddany prozą, wyjęty z kunsztownej muszli rymów, wiersz ten rozlewa się i ginie. Narzecze, w którym pisali, a raczej śpiewali swoje utwory, ów rodzaj prowansalsko-gaskońsko-limuzyńskiego *koine* uprzywilejowany był dźwiękowo, obfitujący w rytmy i rymy. Trubadurzy wykorzystali w pełni te bogactwa naturalne

mowy ojczystej. Nie ma formy, której by nie wypróbowali i nie zapoczątkowali, od nich wywodzi się sonet i sekstyna i każda właściwie nowoczesna strofa. Czym później, tym większa wirtuozeria i zonglerstwo, aż po *trobar ric* i *trobar clos*, gdzie treść zepchnięta jest na galerię najbardziej konwencjonalnego banału, a sama forma, „czysta”, jeśli tak można powiedzieć daje pokaz iście cyrkowej zręczności.

To im ustaliło opinię zimnych rymopisów, dobrych na przekłady dla podręczników metryki. Ale przecież tak nie jest. Przerzucając karty coraz liczniejszych obecnie antologii i opracowań krytycznych, dumamy nad niewdzięcznością pokoleń i nad kapryśnymi wyrokami damy Renomy, do której próżno kierowali inwokacje i postania.

Zofia ROMANOWICZOWA

Guillaume de Poitiers (1071-1127), wielki pan, którego włości rozległe były od włości króla Francji. Jest pierwszym znanym poetą piszącym w języku narodowym. Nie ma mistrza ani poprzednika, lecz pieśni jego to nie chropowata próba, zdumiewają nagle doskonałością formy. Pośród rubasznych i niezbyt cenzuralnych strof przechowała się delikatna pieśń miłosna, zapowiedź całej liryki prowansalskiej, jak i pożegnalna i pokutna pieśń, napisana prawdopodobnie nie przed wyprawą krzyżową, lecz około 1117, z okazji pielgrzymki do Compostelle.

POŻEGNANIE ŚWIATA

*A że mnie naszła chęć do pienia,
Ułożę pieśń na me strapienia:
Służyć nie będę już miłości
W poateweńskiej włości.*

*W wielkiej żałobie, w wielkiej trwodze
Dziś na tułaczęj staję drodze,
A w wojnie syn mój, młody dziedzic,
Ukrzywdzą go sąsiedzi.*

*Ciężko zostawiać w niepewności
Dwór w Poitou i wszystkie włości,
Hrabi d'Angieus polecam męstwu
Krewniaka oraz księstwo.*

*Jeśli go d'Angieus nie wesprze mieczem
Ni król, co lenno zdał w mą pieczę,
Wnet zaczną obcy szarpać mienie,
Gaskonie, Andegawenie.*

*Jeżeli duch w nim czczy i miękki,
Ledwo ojcowskiej zbraknie ręki,
Runą ze wszystkich stron zdradziecko,
Stabe w nim widząc dziecko.*

*Litości, towarzysze godni,
Któregom skrzywdził — daruj zbrodni!*

Też prośbę Jezu wnoszę'ć ninie
 Po romańsku i po łacinie.
 Miłowałem-ci ja rozkosze,
 Dziś od nich w światy się wynoszę,
 Tam, kiedy grzesznik zatwardziały
 Znajduje pokój trwały.
 Miłowałem-ci śmiech, kompanię,
 Dziś Pan mnie w srogie śle wygnanie,
 Uginam się pod brzemieniem krzyża
 Koniec mój już się zbliża.
 Opuszczam, co mi było bliskie,
 Rycerstwo, dwór, uciechy wszystkie
 I skoro takie rzędy Boże
 Zdaję się nań i korzę.
 Was zaś, druhowie proszę mili
 Byście pochówkiem mnie uczcili,
 Bom sprzyjał wszelkiej wspaniałości
 Daleko, blisko, w mej włości.
 Dziś żegnam zbytek, śmiech i dołę
 I popielice i sobole.....

Marcabrun, zgorzkniały i gwałtowny, pierwszy satyryk w szeregu wielkich trubadurów Prowancji (pierwsza połowa wieku XII). Poeta o natchnieniu biblijnym, ponurym, jest również autorem pierwszej znanej sielanki i delikatnych pieśni miłosnych.

ŚLYSZYCIE !

Bez zwłoki i bez mitęgi
 Wierszem złemu zadam cięgi
 Rymów zaciskam popręgi
 Słyszycie !
 Między złych policzon w księgi
 Kto waha się żyć należycie.
 Młodość się gnije i wykrusza
 Amor zaś na wszystkich duszach
 Swą dziesięcinę wydusza
 Słyszycie !
 Każdy swą część na katuszach
 Splacać będzie przez całe życie.
 Amor to iskra jest płona
 Pod popiołami uśpiona
 Aż buchnie ogniem szalona,
 Słyszycie !
 Kogo raz imię się ona
 Ten z domu nie ujdzie z życiem.
 Amor mi taki się widzi :
 Tu mizdzy się, ówdzie szydzi,
 Tu kładzie się, indziej brzydzi

Słyszycie !
 Do cna was sobie zohydzi
 Gdy w czas go nie poskromicie.
 Uczciwy bywał przed laty
 Dziś krzywy jest i garbaty,
 Dziś kąsa, zdziera z was szaty
 Słyszycie !
 Gdy jęzor on chropowaty
 Liże was, męki cierpicie.
 Amor — fałsz, Amor to zdrada,
 Wosk daje, a miód wyjada,
 Sobie mięszsł słodki odkłada
 Słyszycie !
 Skastrować tego szkarada
 Niech tńczy, jak mu zlecicie.
 Ten, kto swe bramy otwiera
 Gdy Amor stuka, przechera,
 Z diabłem umowę zawiera,
 Słyszycie !
 Ze skóry bywa obdzieran
 Kto grzbiet podstawi na bicie.
 Znam ci go na wszystkie boki,
 Ślepy jest lub jednooki,
 Z gęby stódz leje patoki
 Słyszycie !
 Choć sztych jego nie jest głęboki
 Nieprędko się wyleczycie.
 Amor ! Kto by mu dał wiare
 Niech słuszną ponosi karę,
 Tak Pismo uczy nas stare
 Słyszycie !
 Piekielnym sparzy waswarem
 Gdy mu się nie wymówicie.
 Marcabrun od Marcabruny
 Pod taką gwiazdą spłodzony
 Nie ima go Amor się plony
 Słyszycie !
 Toteż nie był miłością zwiedziony
 Bez niewiasty przeżył całe życie.

Jaufre Rudel, legendarny pan na Blaye, o którego miejsce urodzenia spierały się miasta, jak o grób Szekspira. Wspomina o nim Marcabru, co pozwala zaliczyć go do poetów pierwszej połowy wieku XII. Opiewa tęsknotę do księżniczki zza dalekich mór, temat, który stał się źródłem natchnienia aż po czasy współczesne. Petrarca pisze :

*Giaufre Rudel ch'usó la vela é l remo
 A cercar la sua morte...*

Pośród nowszych poetów zawdzięczają mu wiele Heine i Rostand (*La princesse lointaine*).

DALEKIE MIŁOWANIE

Gdy dnie wydłuża maj zielony
Miły mi śpiew płaszcica w dali,
Myślę, wędrując w dalsze strony
O miłowaniu mym w oddali,
Dusza tęsknotą tak ściśnięta,
Że głogi w bieli i ptaszęta
I mają równe grudniom lutym.

Za pana uznaję, z czyjej woli
Odnajdę miłowanie z dali
Lecz mniej ucieszy niż zabołi,
W takiej jest miłowanie dali.
Ach, kij mi dajcie, płaszcz pielgrzyma
Raz jeden stanąć przed oczyma
Tej, w której więzy jestem skutny.

Szczęśliwy dzień, gdy w imię Boże
Zapukam do gospody w dali,
A gdy zezwoli, spocznę, zdrożon,
Przy niej, choć z wielkiej przyjdę dali.
Gawędy słodysz splecze wszystko
Gdy miły z dali będzie blisko
I z żalem radość zmieni nuty.

Wrócę z weselem, wrócę z płaczem
Od miłowania mego w dali,
Lecz ktoś wie, kiedy ją obaczę
Zbyt ziemie nasze los oddalił.
Ileż mił, ileż dróg i ścieżek,
Nic nie wiem i w nic już nie wierzę,
Tęsknoty jadłem chodząc struty.

Zadna mnie inna nie upoi
Prócz miłowania mego w dali,
Bo któraż przy niej się ostoi
Urodą, z bliska czy z oddali?
Dla pięknej mej umiłowanej
Rad w saraceńskie chcę kajdany,
Byleby bliżej niej, choć skutny.

Oby Bóg, dawca wszelkich losów
Co miłość tę rozniecił w dali
Wysłuchał mej tęsknoty głosu
I dał mi moją miłą z dali.
Tak wielka będzie radość owa,
Że mi się ogród i alkowa
Pałacem zdadzą, w złocie kutym.

Nie sklamie ten, co mi sarzuci
Żem umiłowal w wielkiej dali,
Nic mnie nie cieszy, nic nie smuci
Prócz miłowania mego w dali.
Lecz próżne żądze, płacze, rany,

Miłuję, sam niemiłowany,
Taki już dla mnie los usnuty.
Lecz próżne żądze, płacze, rany,
Miłuję, sam niemiłowany,
Taki już dla mnie los usnuty.

Bertran de Born, pan na Hautefort, typowy baron średniowieczny, żądny krwi i wojaczki, mściwoda, który bruździł i judził Henryka II angielskiego do wojny ze swymi synami, za co w piekle Dantego występuje jako trup bez głowy:

I-o feci il padre e il figlio in se ribelli.
Raz jest stronnikiem Ryszarda Lwie Serce, raz walczy i nieci bunt przeciw niemu. Krwawo pieniać się też ze swoim bratem. Umiera przed rokiem 1210.

RADOŚĆ BITEWNA

Lubię, gdy w wielkanocną porę
Ruń się spod grudy ciśnie młoda,
I rad się cieszę rozhoworem
Ptaszę, co w krzakach rejwach wiodą
Aż się rozlega w dali.

I lubię także, gdy na bloniu
Namioty rosną, proporczyki
I serce we mnie wali
Gdy rycerz zbrojny na swym koniu
Rusza i sprawia szyki.

I lubię patrzeć, jak w panice
Pospólstwo z mieniem pierzcha drogą,
A po ich piętach wojownicy
Dępczą i rzeszą wałę mnogą,
Lubię to sercem całym,

Kiedy na mury oblegane
Obrońców rój wylega hurmem
Drabiny, pale, wały,
I armię, kiedy wczesnym ranem
Z ochotą prze do szturm.

Lubię, gdy książę pan bez trwogi
W bok koński wpiera stal ostrogi
Aby na wroga pierwszy runąć.
Lubię, gdy swoi za nim suną
Zagrzeni tym przykładem.

Bo kiedy miecz o miecz zaszczeł
Ten rycerz, czyja zdolna ręka
Rąbać, kłuć jego śladem.
Kto razów skąpi lub unika
Nie godzien miana wojownika.

Hełm pod obuchem gnie się, kruszy,
Tarcz się od ciosów miecza łomi.
Lubię wasalów tłum, gdy ruszy
Siekać i rąbać, kłuć i gromić

I gdy spłoszony rumak
Wlecze po ziemi trup rycerza,
A śmiałek nowy cios wymierza,
Nie trwoży się, nie duma
Że go podobna czeka dola —
Śmierć lepsza, niż niewola.

Powiadam wam, że te rozkosze
Nad jadło, wino, sen przenoszę,
Kiedy posłyszę w każdej stronie
Hurra! bitewne i gdy konie
Trzymają pachotkowie.
Bij! Zabij! Ratuj się, kto może!
Padają smerdy i wielmoże
W zielone fos sitowie,
A w piersiach trupów utkwia sztorcem
Drzasgi oszczepów i proporce.

Choćby wam przyszło oddać w zastaw
Pałace, zamki, forty, miasta
Wojujcie, zacni baronowie.

Guiraut de Borneil, jeden z najkunsztowniej szlifujących strofę trubadurów. Dante pozbawia go wieńca księcia poetów na rzecz Arnaud Daniela, większego jeszcze szlifierza, pełnego paradoksów. „Zorza” — najbardziej znany i najbardziej spontaniczny z utworów Guiraut de Borneil.

ZORZA

(Druh czuwający śpiewa :)

„Królu niebieski, światło i jasności,
Boże wszechmocny, Panie wspaniałości,
Druha opiece Twej zlecam gorliwie,
Poszedł, nie wraca, nie wiem, zali żywie
A wkrótce błysnie zorza.

Spisz, miły druhu? W oknach dworu ciemno
Zbudź się co żywo i uchodź wraz ze mną,
Bo już na Wschodzie w rogatych promykach
Gwiazda się dźwiga, ta co świt odmyka!
I wkrótce błysnie zorza.

Spisz, miły druhu? Duch we mnie omdlewa,
Bo pokrzykuje już, słyszę i śpiewa

Ptaszę, co zwykło świt wabić po borze.
Zbudź się! Zazdrosny zaskoczyć cię może,
A wkrótce błysnie zorza.

Spisz, miły druhu? Ukaz-że się w oknie,
Obacz, czym prawdę rzekł, czy łgę sromotnie,
Wejrzyj na gwiazdy, jaką znaczą porę,
A nie posłuchasz, biada ci i gore,
Bo wkrótce błysnie zorza.

Spisz, druhu? Odkądeśmy się rozstali
Spokój mnie odszedł, serce we mnie wali
Byś zdrów mi wrócił błagam na kolanach
Syna Maryi, a mojego Pana,
A wkrótce błysnie zorza.

Spisz, miły druhu? Jakoś mi polecil
Przed gankiem czuwam, aż świt się rozniesi.
Okam nie zmrużył, stróżuję przytomnie,
Lecz cóż ci śpiew mój? Licho dbasz ty o mnie,
A wkrótce błysnie zorza.

(Kochanek odpowiada :)

Druhu mój miły! Wolasz nadaremnie.
Niech dzień się cofnie. Niech zorza się ściemni.
Gdy najpiękniejszą w ramionach mych trzymam,
Cóż mi świt, gwiazdy, cóż wiosna lub zima,
Zazdrosny cóż i cóż zorza.

Petre Cardinal, o wienie pokrewnej staremu Marcabru, gromi świeckich i duchownych panów oraz „Francuzów” z północy kraju. Gwałtowny, niewąstny, zaciekle, o zacięciu moralizatorskim i satyrycznym.

NA TYCH, CO Z CUDZEJ KRZYWDY TYJĄ

Orzeł, sęp i kruk nie śpieszy
Z większą do ścierwa ochotę
Jako lud mnisi i kleszy
Gdy poczuje w kiesie złoto.
Tak oplącą bogatego
Nim ostatnie wyda tchnienie,
Że im całe spuści mienie
A wyzują zeń krewnego.

Mnich i Frank złe chwalić każe
Bo też z tego korzystać mają,
A pisarki i lichwiarze
Wszyscy kupy się trzymają.
Łgarstwo, kłamstwo tak już światem

Owładnęło, że w parafii
 Nie masz, ktoby nie potrafił
 Klepać głupstw za panem bratem.
 A wiecie, co się szykuje
 Tym, co z krzywdy tyją innych?
 Przyjdzie rabuś, obrabuje
 Nie zostawi ani krztyny.
 Śmierć ich kosą swą pościna
 I powlecze w zgrzebnym płótnie
 Przed takiego gospodyna
 Co nasyci żółcią trutnie.

Człecze, w szaleństwie i złości
 Przeczże smucisz Pana swego,
 Który stworzył cię z nicości
 Wedle podobieństwa Swego?
 Jak maciora żądna błota
 Z Bogiem kto wszczął wojowanie,
 A zapłatę swą dostanie
 Jako Judasz Iskariota.

Boże prawy, Panie wielki
 Bądź gwarantem skruszonego,
 Ustrzeż go od wiecznej męki
 I od ognia piekielnego.
 Daj od grzechów wybawienie,
 Co nastawia paści, sidła,
 Daj prawdziwe odkupienie
 W prawdziwej wiary prawdach.

Folquet de Marseille, w historii zdobył sobie imię z okazji okrucieństw popełnianych w czasie prześladowań albigensów. „Pieśń o wyprawie krzyżowej” maluje czarno tego biskupa. Te same czyny wysłużyły mu zresztą miejsce w „Raju” Dantego, w niebie Wenus. „Zorza mistyczna” góruje pośród religijnej poezji średniowiecznej prowansalskiej.

ZORZA MISTYCZNA

Boże prawy, w imię Twoje i Maryi Panny
 Budzę się, bo od Syjonu blask gwiazdy porannej
 Na niebiosą się podnosi, ucząc słów hosanny:
 Powstańcie, śpiące,
 Boga miłujące,
 Powraca słońce,
 Noc starta w boju.
 Bądź pochwalony,
 Bądź uwielbiony
 Bóg wszechmogący
 Użyj pokoju.

Noc pierzcha, dzień świta
 Na nieba błękitach
 I Zorza zakwita
 W łask zdroju.

Panie Boże, Któryś raczył narodzić się z Panny,
 Aby żywot w nas odnowić, śmierci zadać rany
 I w proch zetrzeć piekła władzę, mękę i szatany
 Na krzyż dźwigniony
 Cierniem zraniony
 Żółcią pojony
 Przez mękę Twoją
 Przychyl litości
 Nie karaj złości
 Wybacz podłości
 Użyj pokoju.

Noc pierzcha, dzień świta
 Na nieba błękitach
 I Zorza zakwita
 W łask zdroju.

Ktoby modlić się nie umiał, uczyć go wypada,
 Niech nadstawi uszu swoich i słucha, co gadam:
 Boże, Któryś świat utwierdził, gwiazdy ponakładał,

Dzięki Ci, Panie
 Za miłowanie
 Za nieprzebranie
 Dobroci Twoich
 Słysz mnie grzesznego
 Zbaw ode złego
 Diabła chytrego,
 Użyj pokoju.

Noc pierzcha, dzień świta
 Na nieba błękitach
 I Zorza zakwita
 W łask zdroju.

Boże, użyj światła Swego, niechaj ciemna głowa
 Pojmie święte przykazania, bym je mógł stosować,
 Niech mnie Twoje miłosierdzie od zguby zachowa.

W doczesne sieci
 Niechaj nie wleci
 Dusza, co szczerze
 Pragnie być Twoją
 Utwierdź mnie w wierze
 Tobie należę
 Usłysz pacierze
 Użyj pokoju.

Noc pierzcha, dzień świta
 Na nieba błękitach
 I Zorza zakwita
 W łask zdroju.

*Któryś raczył ciało Swoje wydać na szanibienie
Boże wielki, za dusz naszych krwawe odkupienie
Ześlij Ducha też Świętego, niech rozproszy cienie.*

A za żywota

Służąc mu, obym

Wysłużył pobyt

W jego namiotach.

Noc pierzcha, dzień świta

Na nieba błękitach

I Zorza zakwita

W łask zdroju.

(Przełożyła Zofia ROMANOWICZOWA)

JUŻ WKRÓTCE UKAŻE SIĘ NAKŁADEM
ZRZESZENIA STUDENTÓW
I ABSOLWENTÓW POLSKICH NA UCHODZTWIE
Stefana della Bella

WJAZD WSPANIAŁY

posłów polskich do Paryża

A. D. 1645

w opracowaniu i ze wstępem Mieczysława Paszkiewicza

Wydawnictwo to w albumowym formacie (24x34 cm.) będzie zawierać 16 stron fotograficznych reprodukcji nieznanych dotąd historykom polskim rysunków florenckiego artysty, 32 strony tekstu i streszczenia w czterech językach. Podobnie jak znany sztych tego samego autora przedstawiający wjazd ambasadora Ossolińskiego do Rzymu w 1633 roku. Album ten będzie cennym źródłem wiadomości dla historyka i kostiumologa, a równocześnie będzie ozdobą każdej biblioteki.

Album ukaże się w dwu wydaniach:

Wydanie zwyczajne: Cena 12 sh. 6 d. (\$1.75). Wydanie bibliofilskie (200 numerowanych egzemplarzy drukowanych na specjalnym papierze): Cena 21 sh. (\$3.00). — Do nabycia w księgarniach lub

w składzie głównym (za dopłatą na koszt przesyłki):

Biuro Informacji i Prasy Z.S.A.P.U.,

42, Emperor's Gate, London, S.W.7.

Przekazy pieniężne należy „przekreślać” i wystawiać na:
Association of Polish Students in Exile

Archiwum polityczne

Stos pacierzowy

Kiedys przed wojną na łamach krakowskiego IKC ogłosiłem artykuł w którym podałem wyniki badań nad pochodzeniem polskich ludzi nauki, pióra, palety i szabli. Nie pamiętam dziś dokładnie cyfr, ale z zestawień wynikało ponad wszelką wątpliwość, że ówczesna kultura polska w 80 do 90 % była dziełem ludzi szlacheckiego pochodzenia.

Owo heraldyczne zaplecze inteligencji polskiej wywierało potężny wpływ na profil kultury przez nią tworzonej. Inteligent chłopskiego czy robotniczego pochodzenia asymilował się w ramach po-szlacheckiej kultury, zyskując w ten sposób swoisty indygenat.

Istnieje ścisły, organiczny związek pomiędzy strukturą kultury a strukturą polityczną. Są pisarze, którzy dziś zarzucają jeszcze Piłsudskiemu, że nie był demokratą. Z podobną logiką można by zarzucać Aleksandrowi Macedońskiemu, że nie był członkiem „Church of England”. Ideałem inteligencji po-szlacheckiej kultury, której Piłsudski był typowym reprezentantem — była wolność, a nie demokracja.

Inteligent polski z okresu dwudziestolecia niepodległości nie miał w sobie nic ani z liberała ani z demokraty. Wykpiwał rząd, ośmieszał premiera, kochał się w dowcipnych „powiedzonkach” politycznych, ale nie przeszkadzało mu to bynajmniej należeć do BBWR, do Strzelca czy zgola do Legionu Młodych. Jak długo w warszawskiej kawiarni miał prawo mówić złośliwości o Rydzu czy o Becku czuł się wolny i nie martwił się Berezą ani „zglajchszaltowanym” sejmem.

Lecz nie jest moim celem w niniejszym artykule ani „rozdrapywanie ran”, ani krytyczna analiza roli inteligencji w okresie minionej niepodległości. W tej chwili wystarczy jeżeli stwierdzimy, że inteligencja była przodującą warstwą w Polsce przedwrześniowej i mit owego przodownictwa wywoła z sobą na emigrację.

Na innym miejscu w bieżącym numerze „Kultury” Czytelnik znajdzie drugą część wypowiedzi ankiety na temat przemian w Kraju. Osobiście uważam, że jest to najbardziej intere-

sująca ankietą z wszystkich jakie przeprowadzono na emigracji. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że polscy ekonomiści przebywający na Zachodzie — na ogół — zdają sobie dokładnie sprawę z przemian zachodzących w Polsce. Drukowane przez nas wypowiedzi w licznych wypadkach stanowią wzór precyzyjnej, obiektywnej analizy.

Jest jednak uderzające, że jak dotąd nikt nie wypowiedział jednego zdania w sprawie co owe przemiany oznaczają w sensie politycznym?

Najogólniej ale i najistotniej przemiany zachodzące w Kraju można ująć w jednym następującym zdaniu: Polska z kraju rolniczego staje się krajem przemysłowo-rolniczym. Jakie konsekwencje polityczne pociągnie za sobą w przyszłości ta przemiana?

Przejście z rolnictwa ku przemysłowi jest zawsze rewolucją. Również i w Polsce konsekwencje uprzemysłowienia będą miały charakter rewolucyjny.

Co oznacza uprzemysłowienie? W pierwszym rządzie oznacza awans chłopów na robotników przemysłowych. Może w pierwszej chwili zaskoczę Czytelnika gdy powiem, że konsekwencją rozwoju idącego po tej linii będzie utrata „prymatu” politycznego przez warstwę inteligencji. Na plan pierwszy wysuną się robotnicy przemysłowi, inteligencja i „pół-inteligencja” techniczna, oraz chłopci.

Odejście ze sceny politycznej warstwy inteligencji pociągnie za sobą przemiany trudne do wymierzenia. Przede wszystkim wytworzy się w Polsce nowy styl życia, a źródła koncepcyjne przesuną się o warstwę niżej.

Inteligentny, wykształcony robotnik przemysłowy, wychowany w negatywnym, pogardliwym stosunku dla inteligentko-po-szlacheckiej kultury — nawet jeżeli nigdy komunista nie był, względnie przestał nim być — inaczej będzie pojmował sens podstawowych pojęć jak „ojczyzna”, „państwo”, „demokracja”, „rola Polski w Europie” itd.

Epoki historyczne kończą się wówczas, gdy wysychają źródła koncepcyjne danej linii rozwojowej i wszystkie jej pochodne. Epokę stanisławowską, okres zaborów i powstań oraz dwudziestolecie niepodległości — przyszła Historia zepnie jedną klamrą.

W porównaniu z Polską przemiany w Czechosłowacji będą nieporównanie mniejsze, ponieważ Czesi mają już za sobą zarówno uprzemysłowienie jak i... likwidację szlachty.

Gdy się te sprawy rozważa na emigracji w grę wchodzi dwa momenty. Po pierwsze — w nas, jako w inteligentach dochodzi do głosu instynkt samozachowawczy. Nikt chętnie nie rezygnuje z socjalnego statutu „soli ziemi”. Po drugie — paraliżuje nas lęk przed afirmacją. Jeżeli przyznamy, że w Polsce zaszły przemiany o charakterze trwałym i formatywnym to, w konsekwencji, będziemy musieli wypowiedzieć wartościujący sąd i, może, pewne z tych przemian uznać za korzystne. Politycznie bezpieczniejszą wydaje się metoda potępienia wszystkiego w czambuł.

Jeżeli ktoś zadałby sobie trud i codziennie wycinał z londyńskiego „Dziennika Polskiego” wiadomości o Polsce — to po kilku miesiącach miałby gotowy materiał do ponurej — zohydzającej Kraj czarnej księgi. Z roku na rok, z miesiąca na miesiąc młodych i starych karmimy tego rodzaju lekturą, a równocześnie rozdieramy szaty nad wynaradawianiem się młodzieży. Lecz jak może być inaczej? Polska — mimo wszystko to nie są dostojni panowie, grający co wieczór w bridża w Ognisku, lecz niestety... Kraj. Dla tej Polski bridżowej młodych się nie porwie.

W moim przekonaniu metoda wylewania dziecka wraz z kąpielą jest bezmyślna i stupajkowata w każdym wypadku — nawet w wypadku tak kardynalnej wagi jak walka z komunizmem.

W praktyce, czytelnicy, zwłaszcza młodzi, nie są w możności uchwycenia różnicy pomiędzy propagandą anty-komunistyczną a propagandą anty-polską.

Można stanąć na stanowisku, że walka z komunizmem jest celem nadrzędnym, któremu wszystko winno być podporządkowane. Możemy przyjąć, że nie zależy nam na młodzieży narodowo świadomej lecz na pokoleniu międzynarodowych anty-komunistów.

W „Kulturze” na przestrzeni ubiegłych lat reprezentowałem pogląd, że walka przeciwko komunizmowi jest istotnie celem nadrzędnym, któremu podporządkować należy wiele, ale nie wszystko. Nie mamy powodu antykomunizmu wyświecać do rangi emigracyjnego substytutu polskości, gdyż być antykomunistą i być Polakiem to są dwie rzeczy różne. Antykomunizm można doskonale łączyć z całkowitą obojętnością dla sprawy polskiej.

Trudno sobie wyobrazić Holendrów czy... Anglików w naszej sytuacji emigracyjnej. Naród politycznie wyrobiony w naszym położeniu wszystkie autentyczne osiągnięcia w Kraju starałby się wydobyć na powierzchnię i nadać im pewien rozgłos.

Jeżeli Polacy w Kraju zbudują fabrykę, która stanowi poważne osiągnięcie i postęp — w prasie emigracyjnej nie padnie na ten temat jedno słowo. Jeżeli w stołowie w Kaczym Dole jest brak widelców — w naszej prasie ukaże się na ten temat artykuł wstępny.

Holendrzy czy Belgowie na naszym miejscu pisaliby o fabrykach, o rozbudowie przemysłu i mówili obcym i własnej młodzieży: „...nawet pod okupacją, nawet w jarzmie komunistycznym nasz naród potrafi budować — produkować — potęgnić. Niech to będzie miarą osiągnięć, które będą naszym udziałem gdy odzyskamy wolność”.

Ale ci, którzy na emigracji piszą o Kraju są nie tylko wojującymi antykomunistami. Z tych jadowitych notatek i artykułów przebija gorycz, a może nawet zawiść pokolenia, które poniosło bezprzykładną klęskę.

Proponuję byśmy dla jasności obrazu nasze rozważania ujęli w następujące punkty.

1. Fakt, że Polska z kraju rolniczego staje się krajem przemysłowo-rolniczym jest tylko funkcjonalnie a nie doktrynalnie związany z komunizmem. Uprzemysłowienie mogło być dziełem jakiegokolwiek reżymu.

Trwałe przemiany strukturalne powoduje nie inicjator uprzemysłowienia lecz sam przemysł. Za lat dziesięć czy sześćdziesiąt z komunizmu może nie być śladu. Natomiast przemysł i przemiany nim spowodowane — pozostaną.

2. Spośród różnorodnych przemian jakie pociągnie za sobą uprzemysłowienie za najistotniejsze należy uznać zmiany strukturalno-społeczne.

W przedwojennej Polsce masy chłopskie w przytłaczającym procencie były politycznie niedojrzałe. Robotników przemysłowych było zbyt mało by mogli odegrać poważniejszą rolę. Na pierwszy plan wysuwała się inteligencja, która nie była ani tzw. stanem trzecim ani klasą społeczną w ścisłym tego słowa znaczeniu.

W minionym i dziś zamkniętym okresie historycznym inteligencja odegrała zasadniczą rolę. Jej pozytywom odpowiadają liczne negatywy, które do tej pory nie zostały bezstronnie naświetlone. Dzięki inteligencji polskiej po roku 1945 — dostarczą wiele materiału do odbudowania jej mitu.

W konsekwencji uprzemysłowienia inteligencja utraci swój prymat polityczny i kulturalny. Na plan pierwszy wysuną się robotnicy i robotnicza inteligencja, chłopci i chłopska inteligencja.

Likwidacja inteligencji odbywa się w Polsce „ludowej” na dwóch płaszczyznach. Doktryna komunistyczna, która obowiązuje na wszystkich szczeblach nauczania i wychowania stanowi całkowitą anty-tezę po-szlacheckiej, inteligentkiej kultury polskiej. Młode pokolenie dorasta poza kręgiem inteligentkiej kultury dawnego stylu.

Równocześnie rozbudowuje się przemysł. W moim przekonaniu, na daleką metę, samo uprzemysłowienie (niezależnie od doktryny w imię której zostało podjęte) — w konsekwencji doprowadzić musi do upodobnienia społeczeństwa polskiego do innych społeczeństw przemysłowych, które problemu inteligentkiego nie znają.

3. Po uwolnieniu Polski w przeciągu kilku miesięcy będzie można zmienić wszystkie programy szkolne — nie oznacza to jednak by powrót do po-szlacheckiej inteligentkiej kultury był rzeczą możliwą.

Programy szkolne można zmienić — nie można jednak zmienić struktury społeczeństwa i przemian charakterologicznych będących jej struktury wyrazem.

Inna jest psychologia, styl życia i dążenia narodu rolniczego a inne narodu przemysłowego. Zmiany charakterologiczne (jest nonsensem mówić, że tzw. „charakter narodowy” nie ulega zmianom) wywrą decydujący wpływ na politykę. Znikną polityczne partie inteligentkie (ich rejestr obejmuje dwadzieścia kilka pozycji) a system parlamentarny oprze się, po wyzwoleniu, na kilku partiach masowych. Skończy się epoka wodzów „drugich osób w państwie” i społecznie „bezprizornej” inteligencji, która wszystkim reżymom „silnej ręki” aż po rok Pański 1955 dostarczała propagandystów, biurokratów i wieszczów. Może się to wydać paradoksem, ale reżym Bieruta jest finalną ostoją kolaborującej z dyktaturą inteligencji. W chwili uwolnienia niczyja klęska nie będzie tak całkowita i tak unicestwiająca jak tej warstwy. W demokratycznym społeczeństwie, ci „ideolodzy każdej ideologii” znajdą się na bruku — osieroceni, samotni, bez dworu, dyktatora i doktryny.

Pewna, skądinąd zrozumiała, solidarność każe nam sprawę kolaboracjonizmu elity inteligencji traktować z wielką dyskrecją. Poza tym wielu z nas boi się jak ognia posądzenia o reakcyjność. Kolaboracjonizm parnasu naszej inteligencji polega na tym, że 90 % tych gentlemanów do września 1939 roku było poprawnymi sanacyjnymi Pawłami a czerwonymi Szawłami ci panowie stali się dopiero wówczas gdy „rewolucja” zatriumfowała i zaczęła płacić dywidendy.

Jeżeli rejestrujemy nieodwracalne zmiany w Polsce — to za jedną z nich należy uznać przełamanie moralnego stosu pacierzowego elity naszej inteligencji. Inteligentką po-szlachecką kulturę pogrzebaliśmy własnymi rękami a wraz z nią tytuł naszego przywództwa.

Przyjmijmy, że Polska jutro zostanie uwolniona. Kto tę kulturę ma odbudować? Czy ci ex-Pawłowie pełniący obowiązki Szawłów znów mają się przechrzcić na Pawłów? Kultura narodu to nie jest gabinet osobliwości z eksponatami „zniewolonych umysłów”.

Kultury dawnego stylu nie odbuduje również kilku czy kilkunastu starszych panów, którzy zdecydowaliby się powrócić do Kraju z emigracji.

4. Trzeba pewnego wysiłku wyobraźni by sobie uzmysłowić, że pod okupacją znajduje się nie Polska z 1939 roku ani nawet nie Polska z 1945 roku lecz Polska uprzemysłowiona, z przeprowadzoną reformą rolną — niepodobna do żadnej ze swych poprzedniczek. Sklerotyczna starość przemawia przez tych, którzy bełkocą: „nie się nie zmieniło”. W rzeczywistości wszystko się zmieniło i to znacznie radykalniej niż przypuszczamy.

W świetle tych przemian trudno jest podtrzymywać tezę, że komitety partyjne reprezentują kogokolwiek. Osobiście sądzę, że w przyszłości PPS i PSL odegrają w Polsce wielką rolę. Nie oznacza to jednak, że emigracyjna PPS reprezentuje setki tysię-

cy młodych robotników w Polsce, którzy de facto nic o PPS nie wiedzą.

Równie wątpliwą jest teza, która głosi, że partie polityczne zespolone w TRJN stanowią wachlarz „współczesnych, polskich ruchów demokratycznych” tym samym reprezentują Polskę niepodległą.

TRJN opiera się na koncepcji wypracowanej w czasie okupacji niemieckiej kiedy ciągłość wywodząca się z 1939 roku była faktem. Dziś jednak musimy stwierdzić, że na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat zaszły na ziemiach polskich większe zmiany niż w okresie minionego półwiecza. Programy naszych partii emigracyjnych przykrojone są do Polski z 1939 roku — niekiedy z małymi poprawkami, których dokonano w czasie okupacji niemieckiej. Że ów frak z całą pewnością nie będzie pasował na klienta nikogo to nie martwi. W sumie obiektywnie należy stwierdzić, że partie emigracyjne reprezentują Polskę ale Polskę z okresu historycznego, który należy do przeszłości.

5. Winniśmy sobie w pełni uświadomić, że w relacji do przemian w Kraju straciliśmy prawo identyfikowania Polski z koncepcją „naszej” Polski a więc Polski wywodzącej się z poszlacheckiej tradycji. Zarówno Polska Piłsudskiego jak i Polska Dmowskiego czy Daszyńskiego, mimo poglądowych różnic, wywodziły się z jednego pnia. Polski tego typu już nigdy nie będzie.

Musimy sobie to uświadomić jeżeli chcemy by nasze uczucia narodowe i akcje polityczne związane były z rzeczywistością a nie z projekcją wspomnień.

6. Jaki należy wyciągnąć wniosek końcowy z tych rozważań?

„Emigracyjność” — jeżeli wolno tak się wyrazić — jako zjawisko polityczno-socjalne polega na tym, że emigranci nie umieją wyjść poza epokę, którą przywieźli wraz z sobą na obczyznę. Uparcie i patetycznie podtrzymują epokę, której nic nie ożywi, ani wiara mas, ani heroizm jednostek.

Emigrantom wydaje się, że mają przed sobą tylko dwie drogi: albo przyjąć wroga i nienawistną współczesność, albo, zachowując lojalną wierność dla historycznego okresu, którego upadku byli świadkami i obrońcami.

Obie powyższe drogi są fałszywe i każda z nich oddala nas od Kraju. Jeżeli chcemy zachować żywą więź z narodem musimy solidaryzować się z większością Polaków w Kraju, którzy zarówno odrzucają przeszłość jak i teraźniejszą okupację. To obumarcie przeszłości nie jest wynikiem załamania, lecz konsekwencją głębokich przemian, które dokonywują się w Polsce a nie na emigracji.

W rzeczywistości, nikomu nie jest tak trudno jak emigrantom obiektywnie wymierzyć zasięg i głębię przemian zachodzących w Kraju. Zespół potężnych zapór myślowych, nawyków,

kompleksów i „pobożnych życzeń” buduje między nimi a nami kurtynę trudniejszą do przezwyciężenia niż wszystkie inne.

Głównym argumentem tych, którzy nas zwalczają jest teza, że Zachód i jego agenci-emigranci nie mają Krajowi nic do zaoferowania prócz kontr-rewolucji.

Jest całkowicie pewne, że Polacy w Kraju nie pragną zamienić narzuconej rewolucji na narzuconą kontr-rewolucję. Z wyjątkiem bardzo wielkich właścicieli ziemskich nikt w Polsce nie pragnie kontr-rewolucji, rządów reakcyjnej „elity” i dyktatur wojskowych. Ludzie pragną niepodległości i rzetelnej demokracji, która niewątpliwie będzie radykalna i lewicowa. Lecz nasi wodzowie i politycy emigracyjni tym, którzy szermują argumentem kontr-rewolucji dostarczają swoimi przemówieniami i wystąpieniami niewyczerpanej amunicji. Często nawet tu, na emigracji, nie łatwo jest uwierzyć, że przecież kontr-rewolucja nie jest ideałem tych panów...

Jeżeli chcemy być Polakami poza granicami a nie tylko „białą emigracją” musimy być gotowi przyjąć i zaakceptować zmiany, które najprawdopodobniej nie odpowiedzą ani emigracyjnym tęsknotom, ani emigracyjnym oficjalnym programom.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

W LONDYNIE PO GENEWIE

Memorial skierowany przez Egzekutywę Zjednoczenia Narodowego w dniu 29. 6. br. do ministrów spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji — pod wieloma względami stanowi pewne novum w polityce emigracyjnej. Obiektywnie należy stwierdzić, że nota Egzekutywy jest wzorowo zredagowana. Jest krótka, utrzymana w tonie rzeczowym, wolna od jakiegokolwiek propagandy, zwięzła i jasna. Nie jest naszpikowana historycyzmami — „stuleciami” „przedmurzami” itp. i pod tym względem odbija bardzo korzystnie od dawniejszych oficjalnych tekstów tego typu.

W „Kronice angielskiej” nie omawiamy zagadnień polityki zagranicznej i dlatego w niniejszej notatce ograniczymy się do rozpatrzenia „wewnętrzno-emigracyjnych” aspektów cytowanego memoriału.

Gdyby ów dokument został wysłany przez rząd in exile w wielu zasadniczych punktach musiałby być zupełnie inaczej zredagowany. Rząd którego premier i ministrowie są mianowani przez prezydenta R.P. — nie może ani proponować ani przyjąć jakiegokolwiek rozwiązania, które wylą-

czaloby przywrócenie pełnego uznania. Rząd, który by postąpił inaczej dałby dowód, że sam siebie uważa za nielegalny.

Według legalistycznego schematu prezydent R.P. winien odzyskać uznanie mocarstw — stanąć przed wyłonionymi z wolnych wyborów izbami ustawodawczymi i... złożyć swój urząd w ręce narodu. Legalny prezydent i legalny rząd nie mogą odstąpić od powyższego programu jak długo pragną zachować konstytucyjną ciągłość państwa.

Memoriał Egzekutywy ustala w tym względzie bardzo istotny precedens. W memoriale nie ma ani słowa o rządzie czy prezydencie a tym samym problem przywrócenia uznania stał się nieaktualny.

To definitywne pogrzebanie legalizmu zostało pokwitowane i zaakceptowane przez polityczną opinię Zachodu. „The Manchester Guardian” z 22. 7. br. omawiając memoriał Egzekutywy rozpoczął swe rozważania od stwierdzenia: „Polska Rada Jedności Narodowej która odziedziczyła sprawę polskiego rządu na wygnaniu...”

Jak widzimy metryka zgonu rządu polskiego w Londynie została potwierdzona a TRJN uznana za dziedziczą. Przewód spadkowy tym samym został zamknięty.

Na tym tle należy rozpatrywać ambicje i dążenia legalistycznej frakcji w TRJN. Gdyby legalści przeprowadzili swoją tezę, a więc gdyby „obwołano” nowego prezydenta a ten z kolei w miejsce Egzekutywy zamianował „rząd” — obecnie byłoby niezmiernie trudno wytłumaczyć politycznym kołom Zachodu że... spadkobierca nagle w cudowny sposób zamienił się w spadkodawcę. Taki „rząd” miałby niepomnieć mniejsze szanse zdobycia kiedykolwiek uznania mocarstw niż miały rządy mianowane przez prez. Zaleskiego.

Formułując postulaty które winny być zrealizowane w okresie poprzedzającym wybory (w Kraju) — Egzekutywa w załączniku do cytowanego memoriału w punkcie 3-im pisze co następuje: „Powstanie w miejsce dyktatorskiego reżymu komunistycznego wspieranego przez Rosję Sowiecką, polskiej administracji dla utrzymania porządku publicznego do czasu odbycia wyborów i objęcia władzy przez nowy rząd”.

Choć w tej chwili (niestety) cała sprawa jest nieaktualna — memoriał i załącznik niewątpliwie zostały zakartotekowane gdzie należy. A teraz wyobraźmy sobie, że na przestrzeni najbliższych czterech lat legalści dochodzą do wpływów, a p. Zaleski znudzony swą własną niezłomnością autentycznie rezygnuje ze swego urzędu i wycofuje się... w zacisze dalekiej prowincji. Wówczas prezydentem R.P. zostaje gen. Sosnkowski (lub inny generał) a Egzekutywę zastępuje „legalny” rząd.

Nie ulega wątpliwości, że nowy „rząd” wcześniej czy później wystąpiłby z notą lub memoriałem do mocarstw zachodnich. Wówczas wygrzebano by z archiwów memoriał Egzekutywy z czerwca 1955 roku i zadano by nam kilka kłopotliwych pytań. Niewątpliwie byłoby trudno wytłumaczyć, że ci sami panowie, którzy w czerwcu 1955 występowali jako „spadkobiercy rządu polskiego” w dwa czy w trzy lata później ze spadkobierców rządu przemienili się w rząd.

„Legalny” rząd nie mógłby oczywiście podtrzymywać pktu 3-go w załączniku do memoriału z czerwca br. Prezydent i rząd nie mogliby zaakceptować warunku, że w uwolnionym Kraju porządek publiczny utrzymywać będzie „polska administracja” do czasu odbycia wyborów i objęcia władzy

przez nowy rząd. Jakaż rola w owej historycznej chwili przypaść by miała prezydentowi i konstytucyjnemu rządowi? W myśl memoriału Egzekutywy — zgola żadna.

Jest więc oczywiste, że gdybyśmy sobie ufundowali nowego prezydenta a Egzekutywę zastąpili „legalnym” rządem — minister spraw zagranicznych musiałby pomyśleć o nowym memoriale, który zapewniłby prezydentowi i rządowi bardziej efektowną rolę w tzw. „momentach dziejowych”.

Nie ulega jednak wątpliwości że gdybyśmy kiedykolwiek w przyszłości wysunęli postulat uznania rządu i prezydenta, mocarstwa zachodnie odpowiedziałyby, że w roku 1955 nie tylko nie zgłaszaliśmy tego rodzaju pretensji ale upelnomocniając Egzekutywę do wystąpień na terenie międzynarodowym stwierdziliśmy tym samym przed całym światem, że rządu polskiego i prezydenta — nie ma. Nie ma ani de facto ani de jure. I w tym względzie memoriał genewski Egzekutywy ustanowił bardzo istotny precedens.

POCZUCIE HUMORU POLITYCZNEGO...

O roli jaką odgrywa poczucie humoru w polityce można by napisać całe studium.

Brak poczucia humoru uniemożliwia dostrzeżenie właściwych proporcji, a tym samym wyklucza obiektywną ocenę. Człowiek o żywym zmyśle komizmu nie popełni wielu błędów tylko dzięki temu, że na czas dostrzeżenia ich śmieśność, ich dysproporcjonalność.

„Orzeł Biały”, Nr 31 (682), omawiając artykuł w „The Manchester Guardian” poświęcony memoriałowi Egzekutywy — pisze między innymi:

„Mamy nadzieję że powołane czynniki Tymczasowej Rady Jedności Narodowej spróbują wyjaśnić angielskim czytelnikom „The Manchester Guardian”, że składa się ona z elementu na pewno bardziej demokratycznego niż parlament brytyjski...”

Jest rzeczą zdumiewającą, że autorowi artykułu w „Orle Białym” nie wydało się rzeczą rozbijającą komiczną porównywanie „matki parlamentów” z... Tymczasową Radą Jedności Narodowej. Stawianie za wzór parlamentowi brytyjskiemu TRJN w której nie ma ani jednego radnego wyłonionego z wyborów — jest niewątpliwie rekordem!

Niemal połowa posłów parlamentu angielskiego składa się z socjalistów wyłonionych z najuczciwszych pod słońcem wyborów. TRJN składa się z całości z delegatów i nominatów. Niemniej dla „Orla Białego” TRJN składa się „na pewno” z elementu bardziej demokratycznego niż parlament brytyjski.

Jakże charakterystyczne jest owo „na pewno”. Tacy panowie zawsze wszystko wiedzą „na pewno”. Wątpliwości charakteryzują tylko zgniły liberalizm który na szczęście nie wyszczerzył jeszcze polskiej „krzepy”.

Na powyższym przykładzie widać jak na dłoni jak powoli zaczynamy przejmować komunistyczną metodę interpretacji terminów politycznych. Odrzucamy za „Trybuną Ludu” wszelkie obiektywne sprawdziany demokracji. W ramach tego typu kategorii myślenia demokratyczni jesteśmy zawsze — natomiast nasi krytycy są automatycznie wrogami demokracji. Stosu-

jąc tego rodzaju metodę można twierdzić, że reżymowy sejm jest demokratyczny a amerykańska Izba reprezentantów niedemokratyczna; TRJN demokratyczna a parlament brytyjski niedemokratyczny.

BEZWYBORCZA „DEMOKRACJA”

„The Manchester Guardian” w cytowanym artykule wyraża przekonanie, że TRJN reprezentuje „...the Polish landowners, professional classes, and old-styled officers”. (...polskich właścicieli ziemskich, inteligencję zawodową i oficerów „starego stylu”).

To jest opinia nie komunistycznego „Daily Worker” lecz wielkiego liberalnego dziennika angielskiego o światowym zasięgu.

Co można odpowiedzieć na te zarzuty?

Gdyby Rada Jedności Narodowej składała się z radnych wyłonionych z wyborów — można by wówczas redakcji „The Manchester Guardian” rzeczowo wyjaśnić, że emigracja polska tak w Anglii jak na kontynencie i za oceanem składa się tylko w minimalnym procencie z byłych właścicieli ziemskich a natomiast w przytłaczającym procencie z robotników i pracującej inteligencji. W konsekwencji Rada Jedności Narodowej wyłoniona z wyborów reprezentowałaby w pierwszym rzędzie robotników i inteligencję zawodową. Reprezentowałaby w sposób demokratyczny i oczywisty i tego faktu nikt nie mógłby poddawać w wątpliwość. Tym zaś czynnikiem politycznym na Zachodzie, które czy to ze złej woli czy na skutek ignorancji szerzyłyby nadal mit o „magnatach ziemskich” można by przedłożyć bezsporny materiał faktyczny i domagać się sprostowania.

Lecz w obecnej sytuacji nie mamy żadnych obiektywnych i przekonujących argumentów do dyspozycji.

Kogo reprezentuje obecna TRJN?

Na to pytanie może być dziesięć odpowiedzi. Można twierdzić, że nie reprezentuje nikogo, można utrzymywać, że reprezentuje Polaków w Kraju i w wolnym świecie, Polaków na emigracji, partie polityczne in exile i tak dalej.

Zależnie od przekonań politycznych i koniunktury p. X. podpisze się pod odpowiedzią Nr 1 a p. Y. pod odpowiedzią Nr 4. Innymi słowy nie fakty określają charakter tej instytucji lecz subiektywne poglądy osób zainteresowanych. Subiektywnego poglądu nikomu nie można narzucić. Natomiast ludziom dostępnym logicznemu rozumowaniu (jak Anglicy) można zawsze wykazać, że się mylą jeżeli dysponuje się obiektywnymi argumentami opartymi o dane faktyczne i cyfrowe.

Nasi przywódcy i wodzowie na emigracji uważają, że przeprowadzenie wyborów pociągnęłoby w konsekwencji „deklasację” polityczną Rady Jedności Narodowej, gdyż Rada stałaby się organem reprezentującym de facto emigrację a nie „naród i Kraj”. Ponieważ nas interesują tylko rzeczy mgliste i „wielkie” wydaje się nam rzeczą nie do przyjęcia zastąpić wątpliwą ale „górną” mandat reprezentowania Kraju i jego tysiącletnich dziejów na znacznie skromniejszy ale bezsporny mandat reprezentowania emigracji.

Problem polega jednak na tym, że Amerykanów i Anglików nie przeobimamy ani na czytelników „Orla Białego” ani na wyznawców emigracji-

nych „teorii” politycznych. Choćby każdy z nas był Demostenesem nie przekonamy zachodnich polityków, że „Polska jest w wojnie z Rosją i wskutek tego sukcesja prezydentów R.P. winna się odbywać w sposób przewidziany w Konstytucji dla czasu wojny. Nie należy identyfikować patriotyzmu z aberracją umysłową gdyż Sprawa Polska na tej identyfikacji wychodzi jak najfatalniej. Nie przekonamy również ani zachodniej opinii publicznej ani zachodnich mężów stanu, że TRJN składa się z elementów bardziej demokratycznych niż parlament brytyjski mimo, że TRJN obywateli się bez wyborów. Tego rodzaju „demokracje” są czysto wschodnio-europejską specjalnością i nie mamy żadnych szans pozyskać Anglosasów dla tego rodzaju bezwyborczej „demokracji”. Demokracja à la BBWR i demokracja à la TRJN na Zachodzie nie wzbudzą entuzjazmu.

Wyłonieni z wyborów przedstawiciele, którzy w zachodnim tych słów znaczeniu reprezentowali by masy pracującej emigracji byłiby traktowani poważnie a pod ich adresem organy opinii publicznej nie wysuwałyby ironicznych uwag o staroświeckich oficerach i „zreformowanych” właścicielach ziemskich. Natomiast tak dziwaczne i na Zachodzie zupełnie nieznane instytucje jak Rada Trzech załatwiają na miłą „białą emigracją” i będą zawsze budziły nieufność.

Emigracje działają na obcym terenie. Jak się pracuje politycznie w Anglii taktykę postępowania należy dostosować do metod i zwyczajów przyjętych w tym kraju. W Stanach Zjednoczonych należy przyjąć polityczny obyczaj amerykański. Cel jest zawsze ten sam lecz wybór taktyki, tak w działaniu wojennym jak i politycznym, dyktuje teren.

LONDYŃCZYK

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Korespondenci: we Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii,
Hiszpanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych,
Argentynie, Brazylii, Australii i Afryce.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).
Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:
MANNHEIM-SCHCENAU, Gendarmerie Kaserne

Kraj

Bunt intelektualisty

Prof. Józef Chałasiński, przywódca intelektualistów walczących z wpływami „burżuazyjnej filozofii społecznej”, znalazł się pod ostrzałem z najcięższych dział komunistycznego arsenału. Atak rozpoczęły „Nowe Drogi” (Grudzień, 1954), zarzucając mu metody polemiczne, które ani nie sprzyjają rozwojowi dyskusji naukowych, ani nie stwarzają atmosfery właściwej dla takich dyskusji. Gdy Chałasiński pominął to ostrzeżenie milczeniem, głos zabrała „Trybuna Ludu” (22. 2. 1955). Zły przykład idzie z góry, pisał organ KC PZPR. Luminarze naszej Akademii w „czołowych czasopismach frontu ideowego” w drastycznej formie tłumią krytykę. „Cała ta praktyka jest w najwyższym stopniu sprzeczna z duchem naszej nauki”, dodała „Trybuna Ludu”, w szczególności jeżeli się zważy, iż również prof. Chałasiński w swej ostatniej publikacji głosi tezy, jakie budzą „wątpliwości” i zasługują na „merytoryczną krytykę”.

Jakich przewinień dopuścił się prof. Chałasiński i dlaczego podjęto przeciw niemu koncentryczny atak? Odpowiedzi na to pytanie nie dostarczy rzut oka na intelektualne wrzenia, jakie mają miejsce w Polsce od kilku miesięcy, na „zamieszanie ideologiczne w naszym środowisku”, jak to określił Putrament, przybierające „niepokojące rozmiary” (Nowa Kultura”, 19. 6. 1955). W wypadku prof. Chałasińskiego w grę wchodzi nie tylko powszechnie, niemal fizjologicznie, odczuwany niedosyt potrzeb intelektualnych i estetycznych, lecz również racjonalnie uzasadnione dążenie do zmian dotyczących podstaw obecnego porządku rzeczy w literaturze, sztuce i nauce. Wyjaśnia to natężenie i gwałtowność ataku na zajęte przez niego stanowisko. Prof. Chałasiński jest neofitą marksizmu, przyjętym niedawno do grona wybranych. Od takich ludzi oczekuje się lojalności, konformizmu, skromności i dyskrecji. Prof. Chałasiński nie spełnił żadnego z tych oczekiwań, obraził decorum, uderzył w fundamenty doktryny z całym autorytetem jaki mu dawała jego oficjalna i intelektualna pozycja.

NAPOLEON POLSKIEJ SOCJOLOGII

Józef Chałasiński był uczniem Floriana Znanieckiego, światowej sławy socjologa, profesora Uniwersytetu Poznańskiego, przebywającego obecnie w Stanach Zjednoczonych. Chałasińskiemu przepowiadano świetną przyszłość. „Józef Chałasiński — czytamy o nim w „Twentieth Century Sociology” (New York, 1945) — był Napoleonem polskiej socjologii”. Wkrótce po uzyskaniu doktoratu został docentem Uniwersytetu Poznańskiego, po czym przez dwa lata przebywał w Anglii i Ameryce jako stypendysta Rockefellera. Po powrocie do kraju ogłosił szereg prac z socjologii wychowania i socjologii wsi, z których czterotomowe dzieło „Młode Pokolenie Chłopów” (Warszawa, 1939) zyskało największy rozgłos.

Po zakończeniu wojny gwiazda Chałasińskiego szybko wzrosła się na firmamencie. Jego debiut powojenny „Społeczna Genealogia Polskiej Inteligencji” — przedrukowana także na obczyźnie przez Instytut Literacki w Rzymie (1947) — był dla czytelników w Polsce i poza granicami kraju potężnym wstrząsem. Chałasiński, opierając się na konkluzjach „Młodego Pokolenia Chłopów”, przeprowadził w „Genealogii” wiwisekcję polskiej inteligencji okresu między wojnami. Stał on w tych latach daleko od marksizmu, który w jego oczach był obarczony „naturalistyczną teorią osobowości” i był przeto nieprzydatny w humanistyczno-socjologicznej interpretacji kultury. Dorobek polskiej myśli naukowej stawiał on wówczas wyżej od polskiego marksizmu. „W żadną dziedzinę nauki polskiej — pisał Chałasiński w „Genealogii” — obecny renesans marksizmu nie wniósł jeszcze nic takiego, co by wyrzuciło dotychczasowy dorobek polskiej twórczości intelektualnej. Proszę mi wskazać marksistę, który by na strukturę społeczną inteligencji polskiej rzucił tyle światła, co „idealista” Florian Znaniecki we wnikliwym i subtelny studium „ludzi dobrze wychowanych” w książce „Ludzie Teraźniejszości a Cywilizacja Przyszłości”. Marksizm nie jest właściwą drogą przebudowy psychiki inteligencji polskiej, ponieważ całe społeczeństwo jest zmęczone „wszelką propagandą”, a nade wszystko ponieważ przebudowa, o której mowa, dokonać się może jedynie w „atmosferze wolności i poszanowania człowieka oraz w płaszczyźnie rywalizacji narodów w wyścigu do wspólnych wielkich ogólnoludzkich celów”. Marksizm — pisał Chałasiński — nie otwiera natomiast „drzwi do Europy”.

Chałasiński nie zadowolił się jednak rolą socjologa i historyka myśli społecznej. Już w „Genealogii” połączył on wykrywanie faktów socjologicznych, do czego go cała jego przeszłość przygotowała, ze skrajnymi ocenami i przesadą gniewnego politycznego ideologa. Dla reżymu jego szczególna mieszanina nauki i politycznej inwektywy była darem z nieba. Co Chałasiński coraz donioślej i gwałtowniej potępiał z własnej woli i z autorytetem nauki poza sobą — a potępiał niemal całą przeszłość, wszystko

i każdego — zbiegało się z tym, co reżym pragnął by społeczeństwo o przeszłości i teraźniejszości myślało. Chałasiński, mówi oficjalna reżymowa ocena jego działalności w okresie 1946-1950, chociaż nie zawsze rozumiał „istotę partyjności marksizmu i zasadniczej przeciwstawności marksizmu wobec wszelkich burżuazyjnych kierunków socjologicznych”, jednak „żywo i aktywnie reagował na przeobrażenia zachodzące w kraju i w świecie”. W jego pracy pedagogicznej i wypowiedziach dawało się zauważyć „coraz szersze i — co istotniejsze — coraz właściwsze czerpanie z wielkiego dorobku myśli marksistowskiej”. Było rzeczą jasną, iż Chałasiński stawał się intelektualną ozdobą i nieocenioną podporą reżymu, a w miarę upływu czasu również jego mężem zaufania. Gdy w okresie I-go Kongresu Nauki Chałasiński przeprowadził publicznie samokrytykę swych uprzednich pozycji naukowych i zadeklarował swą wierność dla marksizmu, wszystkim stało się dla niego otworem. Znalazł się w Komitecie organizacyjnym PAN jako kierownik sekcji nauk społecznych, został zastępcą sekretarza naukowego Akademii, zasiadł w komitetach redakcyjnych najważniejszych ideologicznych publikacji („Myśl Filozoficzna” i „Nauka Polska”), reprezentował Polskę na konferencji gospodarczej w Moskwie (kwiecień, 1952), zbierał pochwały i odznaczenia.

Samokrytyka Chałasińskiego zyskała nie mniejszy rozgłos niż samokrytyka Jerzego Andrzejewskiego i często jest cytowana jako przykład naukowej rzetelności i obiektywizmu. W samokrytyce ogłoszonej drukiem (Z Zagadnień Metodologii Badań Społecznych, Myśl Filozoficzna, Nr 1-2) Chałasiński stwierdzał, iż metodologia „Młodego Pokolenia Chłopów” była oparta „na idealistycznej filozofii i związana obiektywnie z funkcją ochrony kapitalistycznego ustroju”. Na skutek fałszywej postawy filozoficznej i metodologicznej „Młode Pokolenie Chłopów” stało się „obiektywnie tworem reakcyjnej utopii, wyrazem ideologii kulackiej”. Autor odrzucił jedyne poprawne rozwiązanie, jakie wskazywał rewolucyjny ruch robotniczy, ponieważ nie mieściło się ono „w ramach istniejącego ustroju ekonomicznego”. Z błędną metodą łączył się burżuazyjny światopogląd, choć sam Chałasiński widział w nim tylko „ponadklasowy” liberalizm. Z tą przeszłością postanowił zerwać, aby w oparciu o „rewolucyjny marksistowski nurt naukowej myśli społecznej” rozwinąć nową metodologię badań. „Problematyka nowoczesnego narodu — stwierdzał Chałasiński — nie może być płodnie, naukowo traktowana inaczej niż w ramach marksistowsko-leninowskiej teorii rozwoju społecznego”. Rozróżnienie Stalina narodów burżuazyjnych i socjalistycznych, dodał, musi stać się punktem wyjścia socjologicznej analizy.

Spełniając obowiązki „wynikający z poczucia społecznej i moralnej odpowiedzialności, jaka w tej przełomowej epoce ciąży na każdym uczonym i pisarzu”, Chałasiński potępił nie tylko samego siebie, lecz również swego mistrza — Znanieckiego, członka kosmopolitycznego klubu, jak go z przekąsem nazywał,

„ludzi dobrych i mądrych”. Znaniecki, stwierdził Chałasiński na obradach Podsekcji Filozofii i Nauk Społecznych I-go Kongresu Nauki Polskiej, „reprezentował poglądy klas panujących wrogich masom ludowym i sprawie socjalizmu, o którą walczyła Rewolucja Październikowa”. Książka Znanieckiego „Ludzie Teraźniejszości a Cywilizacja Przyszłości”, twierdził wówczas Chałasiński, ma jedynie wartość dokumentu ukazującego zdeterminowanie myśli społecznej i filozoficznej przez „klasową orientację ziemiańsko-mieszczańską”.

Chałasiński zabrał głos przeciw swemu mistrzowi, gdy Znaniecki, a podobnie inni wybitni myśliciele Polski niepodległej — Twardowski, Kotarbiński, Ajdukiewicz, Ingarden, Tatarkiewicz — umieszczeni zostali przez Partię na indeksie i pod pręgierzem ideologicznych oskarżeń biorących rozbrat z rzetelnością i obiektywizmem. „Sumienie intelektualisty — pisał w tym okresie Chałasiński w „Myśli Filozoficznej” — oderwane od biegu historii jest zepsutą busolą. Nie należy mu ufać... Historia bardzo uprościła sprawę wyboru. Jest albo droga zbrodniczego kapitalizmu, albo socjalistycznej rewolucji”. Chałasiński poddał się wyrokowi historii. Gdy prawa dziejów zajęły miejsce zepsutej busoli sumienia i intelektu, komunizm stał się jedyną prawdziwą nauką. „Komunizm — pisał Chałasiński w jednym z licznych artykułów coraz bardziej upodabniających się do wypisów z dzieł cudzych — odpowiada wewnętrznej prawidłowości rozwoju nauki wyzwolonej z historycznych ograniczeń klasowych” (Nauka Polska, Nr 1, 1953). Wielka humanistyka nie wleczę się w tyle za rewolucyjnymi przeobrażeniami, lecz oświećta drogę społecznego postępu, którego Chałasiński czuł się wyrazicielem.

PRZYCZYNY KONFLIKTU

Na początku ubiegłego roku Chałasiński ogłosił w „Nauce Polskiej” (Nr I, 1954) recenzję książki Marii Straszewskiej „Czasopisma Literackie w Królestwie Polskim w Latach 1832-1848” (Wrocław, 1953), wydanej przez Instytut Badań Literackich PAN, który skupia największe autorytety „marksistowskiego literaturoznawstwa”. Książka Straszewskiej miała być próbą przedstawienia zjawisk życia literackiego jako zjawisk „znamiennych dla danej formacji ekonomiczno-społecznej, warunków politycznych i wynikającego z nich typu kultury” i była ćwiczeniem w interpretowaniu literatury z punktu widzenia materialistycznej koncepcji dziejów.

Chałasiński nie miał wysokiego mniemania o recenzjonowanej książce. Jest ona pouczająca, pisał, nie przez naukowe wyniki, lecz przez błędy z punktu widzenia wymagań naukowej metody historycznej. „Rzecz niewiarogodna w pracy naukowej, ale niestety prawdziwa”, autorka dawała ocenę Kazimierza Brodzińskiego, redaktora „Magazynu Powszechnego”, nie analizując ani jednego artykułu ogłoszonego przez Brodzińskiego i nie zdając sobie nawet sprawy, iż artykuły te wyszły spod jego

pióra. Po wtóre, „oceny schematyczne — ‘postępowy’ — ‘reakcyjny’ — zastępują w niej analizę rzeczywistej roli twórczości poszczególnych pisarzy w przeobrażeniach społecznych i kulturalnych kraju”. Autorka przeniosła mechanicznie poglądy Lenina, odnoszące się do okresu późniejszego, do badanego przez siebie okresu i stwierdziwszy, iż Brodziński nie był „rewolucyjnym demokratą” oskarżyła go o brak patriotyzmu i reakcyjność. Ta ocena jest zdaniem Chałasińskiego rzeczowo nieuzasadniona, moralnie niesprawiedliwa i błędna z punktu widzenia poprawnie stosowanej metody materializmu historycznego.

Recenzja Chałasińskiego spotkała się z repliką Marii Janion w „Pamiętniku Literackim” (Nr 3, 1954), organie Instytutu Badań Literackich, pod znamienym tytułem „Jeszcze Jedno Nieporozumienie wokół Liberalizmu”. W tej replice młoda pracownica naukowa, jak ją określają „Nowe Drogi” i „Trybuna Ludu”, wzięła sobie za wzór wypróbowane harce polemiczne marksistów. Ich metoda polega na tym, iż nie krytykuje się wypowiedzi opinii, lecz to, czego wprawdzie zwalczany autor nigdy nie powiedział, lecz co w rzeczywistości wyznawał i głosił. Albowiem reguły krytyki marksistowskiej nakazują odróżniać subiektywną intencję pisarza od obiektywnego wydźwięku jego dzieła i obiektywnej funkcji, jakie jego poglądy spełniają. Krytyk, nakazywał Adam Schaff, ma brać pod uwagę nie tylko to, co filozof lub pisarz chciał powiedzieć, lecz przede wszystkim to, co faktycznie „zdziałał”. Reguły krytyki oparte na tych zasadach są niezwykle proste. Kto w dobie dzisiejszej, wyjaśnia Schaff przykładowo, zwalcza materializm dialektyczny, filozoficzny fundament ideologii proletariatu, ten broni tym samym nadbudowy kapitalistycznej i w konsekwencji — kapitalizmu jako całości. Maria Janion przystąpiła do polemiki z Chałasińskim pamiatając o tych wzorach i zaleceniach.

Centralnym problemem wszystkich „pracowników frontu ideowego”, pisała Maria Janion, jest pytanie co wziąć, a co odrzucić z tradycji narodowej jako genealogię narodu socjalistycznego. Ustosunkowanie się do bogatych tradycji liberalizmu w Polsce, których Kazimierz Brodziński był przedstawicielem, należy do kręgu tych zagadnień. Jedna rzecz nie ulega wątpliwości — pochwała liberalizmu jest „sprzeczna z postępowaniem klasyków marksizmu”. Rozproszenie iluzji na temat przodującego charakteru liberalizmu przyczynić się może „w obrębie wszystkich dyscyplin humanistycznych do oczyszczenia nauki marksistowskiej z metnych i obcych naleciałości okresu mimo-wolnego często ulegania na wielu odcinkach sugestiom nauki burżuazyjnej”. Straszewska być może nie doceniła „miniatury”, jak ją Lenin określał, postępowości liberalizmu. Lecz programowe przecenienie liberalizmu, jakie cechuje stanowisko Chałasińskiego, jest znacznie bardziej fałszywe i szkodliwe. Chałasiński dokonuje „praktycznej gloryfikacji liberalizmu”, nieporozumienia wokół niego urastają w jego artykule „do rozmiarów całej koncepcji naukowej”, w której powraca on do swych

dawnych, jak by się zdawało przewyżczonych pozycji. Jest rzeczą oczywistą, iż kto broni liberalizmu w latach trzydziestych ubiegłego wieku, ten sam jest krypto-liberałem i socjologizującym „idealistą”, którego działalność wymaga zdemaskowania przez wprawnego szermierza materialistycznej metody.

Odpowiedź Chałasińskiego była szybka, stanowcza i ostra i ona to spowodowała interwencję pism partyjnych. Fakt, iż odpowiedź ukazała się w organie Prezydium PAN, kwartalniku „Nauka Polska” (Nr 3, 1954), którego Chałasiński jest redaktorem, bez wiedzy pozostałych członków komitetu redakcyjnego, stanowić miało dodatkowe ciężkie uchybienie. Zostałem wyzwany do walki, pisze Chałasiński, „w sposób nieprzystoity i niewiarygodnie zuchwały”. Autorka repliki, stwierdza Chałasiński, — a słuszność jego zarzutów jest bezsporna — nie zajęła się podanymi przez niego faktami, pominęła milczeniem „wstydlwą sprawę takiej metody, która polega na pisanii o poglądach autora bez czytania jego dzieł”, pouczała w sposób elementarny o zasadach metody marksistowskiej i sugerowała, iż Chałasiński, jak przed nim Brodziński, ulega „mistycyzującym i aprobującym irracjonalizm systemom filozoficznym”. Każdy pisarz nawet najmłodszy, odpowiada Chałasiński, ma prawo do indywidualnego temperamentu polemicznego. Lecz „gdy początkujący pisarz przybiera pozę mentora, chociaż sam jeszcze nie opanował dobrze abecadła metody naukowej, to staje się śmieszny”. Ostre słowa odpowiedzi, dodaje Chałasiński, podyktowała mu troska o „wielką sprawę postępu w nauce polskiej” oraz życzenie, by na „drodze od terminatora do mistrza” Maria Janion nie zatrzymała się „przy kwalifikacjach fuszera”.

NAGANA PARTII

Łatwo byłoby w tym wypadku powiedzieć, iż kto mieczem wojuje ten od miecza ginie. Chałasiński brał swego czasu udział w podobnych harcach fałszowania poglądów Znanińskiego i Kotarbińskiego, jakich teraz sam się stał ofiarą. Można by również powiedzieć, iż brak szacunku dla faktów oraz mechaniczne powtarzanie poglądów „klasyków marksizmu” nie są ułomnościami, w jakich tylko Maria Straszewska i Maria Janion celują. Chałasiński zna Zachód, Anglię i Stany Zjednoczone z własnego doświadczenia, szerokich studiów i czytania. Lecz trudno byłoby to odgadnąć z jego częstych wypowiedzi o tych krajach. Gdy mowa jest o Zachodzie wywody uczonego socjologa zamieniają się w nużącą recytację „klasyków marksizmu” i przypominają do złudzenia broszury propagandowe. Banał splata się z obelgą, a fałsz ze użytym frazesem. Kapitalizm „deformuje rozwój nauki” i zaprzęga ją w służbę „potrzeb kapitalistycznego przemysłu”, w jego zasięgu „upada wielka publicystyka naukowa i naukowa popularyzacja”, a nauka w ogólności „jest tylko udoskonaloną maczugą — narzędziem wojny”. Podobne wypowiedzi, wybrane z jednego krótkiego artykułu, nie są przekonywu-

jącym dowodem szacunku dla faktów ze strony człowieka, który w żadnym razie nie jest ignorantem i który w prawdziwej naukowej upatruje „podstawę etyki uczonego jako badacza, jako przedstawiciela nauki i kultury”.

Publikacje Chałasińskiego nie składają się jednak zawsze z cytów i marksistowskich tyrad. Dawna intelektualna dociekliwość i rozmach musiały w nim żyć nadal i przejawiały się w nagłym wybuchu rozsądzającym ciasne ramy niewzruszonego dogmatu. W artykule „Inteligencja Ludowa — Naukowy Pogląd na Świat — Upowszechnienie Wiedzy i Kultury”, opublikowanym w „Nauce Polskiej” (Nr 4, 1954), który zdaniem „Trybuny Ludu” zawiera właśnie wiele tez wątpliwych, zasługujących na merytoryczną krytykę, Chałasiński przestał się mieścić w marksistowskiej formule. Jak dawniej o przeszłości, tak obecnie o teraźniejszości ma gorzkie prawdy do powiedzenia. „Czy problem naukowego poglądu na świat został wyczerpany w całości przez klasyków marksizmu?”, czytamy w tym artykule. „Czy nie ma w nim miejsca na kontrowersje i dyskusje?”. Marksizm jest podobno twórczym ruchem intelektualnym. Trudno jest jednak dostrzec tę jego właściwość w „problematyce naszych czołowych naukowych czasopism humanistycznych”. „Myśl Filozoficzna”, główne czasopismo filozoficzne w Polsce, wydawane przez Komitet Filozoficzny PAN, którego redaktorem jest czołowy teoretyk marksizmu Adam Schaff i w którego komitecie redakcyjnym Chałasiński zasiada, ma charakter podręcznika do „szkolenia ideologiczno-politycznego”. Jak cała obecna filozofia w Polsce, dodaje Chałasiński, „Myśl Filozoficzna” koncentruje się na walce klasowej i zaniedbuje wszystkie inne zagadnienia. Kto szuka strawy „filozofii życia duchowego człowieka” odkłada „Myśl Filozoficzną” i sięga do literatury greckiej i wielkiej klasycznej literatury światowej.

Prawda naukowa dostarcza fundamentów naszego stosunku do świata. Lecz rzeczywistość miała dla człowieka we wszystkich okresach dziejów „jednocześnie wartość materialną i duchową”. Do naukowego światopoglądu człowieka „należy również jego świadome rozeznanie trwałych wartości tej kultury ludzkiej, z którymi czuje się on związany. „Naukowy pogląd na świat nie wynika z samych zastosowań zdobyczy nauki do nowoczesnej techniki, lecz z rozwoju nauki w dziejach społeczeństwa w ramach całej kultury ludzkiej”. Albowiem w żadnej teorii naukowej jednostka nie znajdzie odpowiedzi na pytanie w najważniejszej sprawie, „jak przeżyć własne życie w sposób godny człowieka”.

DALSZY ROZWÓJ WYDARZEŃ

Dyskusja publiczna z Marią Janion urwała się na odpowiedzi profesora Chałasińskiego w „Nauce Polskiej”, lecz toczy się ona dalej w kulisach w coraz szerszym gronie. Stefan Żółkiewski poparł Marię Janion, bez wymieniania nazwisk oponentów,

w „Pamiętniku Literackim” (Nr 4, 1954) jako rzecznika poprawnej, wyznawanej przez Instytut Badań Literackich, marksistowskiej wiedzy o literaturze. „Walka o właściwe rozumienie i wykorzystanie — w konstrukcji dziejów rozwoju literatury polskiej XIX wieku — leninowskich tez o dwu nurtach antagonizujących w każdej kulturze narodowej”, pisał Żółkiewski, „była głównym czynnikiem postępu i oczyszczania się naszej literackiej historiografii marksistowskiej... o rozwoju ideologicznym w Polsce, o postępie decydował w pierwszej połowie XIX wieku rewolucyjny demokratyzm, jego ideowe antecedencje, a nie liberalizm” (str. 393, 410). Żółkiewski pozostawił czytelnikowi wniosek do wyciągnięcia, iż w ocenie Brodzińskiego Maria Janion, a nie Chałasiński, reprezentowała „postępowy” i „naukowy” punkt widzenia.

W lutym br. Wydział Nauk Społecznych PAN zorganizował w Zakopanem konferencję na temat „kryterium postępowości i oceny polskiego liberalizmu”, która nawiązywała otwarcie do polemiki w „Nauce Polskiej” i „Pamiętniku Literackim” (zob. „Myśl Filozoficzna”, Nr 2, 1955). Prof. Chałasiński bądź nie wziął w niej udziału, bądź nie zabierał głosu w dyskusji. Konferencja zakopiańska wydała pewnego rodzaju wyrok co do meritum sporu w sprawie liberalizmu i wyrok ten nie wypadł na korzyść prof. Chałasińskiego. Po pierwsze, przeważała opinia, iż sformułowania Lenina o liberalizmie XX wieku, odnoszące się nadto do innych krajów, winny być wykorzystane w pracach nad „polskim liberalizmem bez obawy popadnięcia w ahistoryzm”. Nie pomogły protesty J. Kotta, B. Suchodolskiego i prof. Kotarbińskiego, którzy podnosili wieloznaczność terminu „liberalizm” i zwracali uwagę, iż ocenę liberalizmu jako złożonego zjawiska społecznego musi poprzedzać określenie różnorodnych znaczeń łączonych z tym terminem.

Po wtóre, ustalono, iż liberalizm w Polsce oznacza „sojusz klasowy szlachecko-burżuazyjny, reprezentujący polską drogę do kapitalizmu, z solidaryzmem jako cechą charakterystyczną”. Hasła liberalnej ideologii nie powinny przysłaniać jej antyrewolucyjnej postawy w stosunku do realizacji celów, jakie tylko na drodze rewolucyjnej mogą być wprowadzone w życie.

Po trzecie, nie uznano za absurd, by można było przyjmować rewolucyjny demokratyzm za „kryterium postępowości” nurtów ideologicznych XIX wieku także w odniesieniu do okresów, gdy rewolucyjny demokratyzm jeszcze się nie pojawił. Innymi słowy, wykluczenie Brodzińskiego z kręgu demokratów i patriotów, ponieważ w latach po powstaniowych nie rozwinął programu, jakie stworzyło dopiero następne dziesięciolecie, jest postępowaniem merytorycznie i metodologicznie poprawnym.

Uderzającą jest natomiast rzeczą, iż atak na prof. Chałasińskiego w „Nowych Drogach” i „Trybunie Ludu” nie znalazł echa w „Nauce Polskiej”. Ostatni numer tego kwartalnika przynosi jedynie krótką wiadomość, iż odbyło się zebranie Prezydium PAN i Rady Redakcyjnej. Na tym zebraniu wyrażono niezado-

wolenie, iż planowanie w nauce „nie stało się tematem systematycznej analizy na łamach czasopisma”. Ta krytyka, przypuszczalnie wymierzona w osobę redaktora, jest dość zdumiewająca biorąc pod uwagę, iż w ośmiu pierwszych numerach „Nauki Polskiej” ukazało się aż siedem artykułów poświęconych zagadnieniom planowania nauki, a numer bieżący przynosi dwa dalsze. W składzie Komitetu Redakcyjnego nastąpiły pewne zmiany, z których najbardziej znamienne jest ustąpienie z Komitetu Stefana Żółkiewskiego.

PROBLEM SOKRATESA

Pozostaje jednak sprawa najważniejsza, sprawa pytania „jak przeżyć własne życie w sposób godny człowieka”, na które, według prof. Chałasińskiego, ani nauka, ani marksizm nie są w stanie udzielić odpowiedzi.

W artykule Żółkiewskiego w czerwcowym numerze „Nowych Dróg” postawa prof. Chałasińskiego otrzymała jeszcze jedną nalepkę — propagandy eklektyzmu i burżuazyjnej ideologii. Z nieświadomą samo-ironią Żółkiewski pisał w innym kontekście tego samego artykułu: „Gdzie brakło nam argumentów używaliśmy cytaty i etykietki”. Należy jednak przyznać, iż w ramach marksizmu-leninizmu pytanie postawione przez prof. Chałasińskiego jest bądź retoryczne, bądź pozbawione sensu. Na płaszczyźnie praktyki i dnia codziennego dopuszcza ono tylko jedną odpowiedź — życiem godnym człowieka jest służba partii i sprawie komunizmu. Na płaszczyźnie teoretycznej jest „pozbawioną sensu operacją”. Czyż Marks nie uczył, iż na istotę człowieka składają się potrzeby wyrastające z określonych warunków społecznych — w szczególności klasowych — i historycznych, z czego wynika z „żelazną koniecznością praw natury”, iż potrzeb tych nie można wyprowadzać z jakichś trwałych, ponadhistorycznych właściwości natury ludzkiej. Wystarczy powierchowna znajomość „Niemieckiej Ideologii” i „Tez o Feuerbachu”, by dostrzec, iż prof. Chałasiński wkroczył na drogę z jakiej do marksizmu, w każdym zaś razie do marksizmu-leninizmu, nie ma powrotu. W sporze między Kalliklem a Sokratesem w platońskim „Gorgiaszu” miejsce wyznawcy ortodoksyjnej doktryny nie jest po stronie moralisty odrzucającego prawo siły i przemocy w imię suwerenności sumienia i wartości bytujących ponad strumieniem zmiennych okoliczności i czasem historycznego istnienia.

Prof. Chałasiński kwestionując prawo państwa lub partii do dyktowania jednostce, co jest i winno stanowić moralny sens i cel jej życia, znalazł się na przeciwnym biegunie apologetów totalitarnego państwa. Jego wystąpienie przypadło na okres określany nazwą „odwilży” co trafnie opisuje atmosferę większej swobody słowa i myśli. Lecz w tej atmosferze krytyka sięgająca podstaw systemu komunistycznego staje się szczególnie

niebezpieczna i zagraża rozbiciem wałów chroniących sam system i gwarantujących jego nietykliwość.

Jako polityka inspirowana odgórnie „odwilż” jest bowiem nadal polityką totalitarnego państwa i nie stanowi odstępstwa od jego zasad. „Odwilż” jest próbą rewizji dawnych nieskutecznych metod planowania i kierowania wszystkimi dziedzinami życia i twórczości kulturalnej, rewizją najbardziej nahałnych sposobów inżynierii dusz i formowania uwarunkowanych refleksów ludzkiego umysłu, wyobraźni i wrażliwości. Jako rewizja metod „odwilży” pełna jest sprzeczności i niebezpiecznych paradoksów. Ma ona ocalić „ludzką potrzebę wypowiadania osobistych sądów” od śmierci głodowej i jednocześnie zachować w stanie nienaruszonym prawo partii do „określania kierunku ideowego” procesów kulturalnych. Ma ona stworzyć sztukę, która mówi „całą prawdę”, lecz całą prawdę widzianą z „właściwej perspektywy” i odkrytą przez „filozoficznie poprawną interpretację”. Woła ona: „Nie chcemy konformizmu”, a jednocześnie stwierdza, iż jednostkowa zdolność rozróżniania dobra i zła, prawdy i fałszu, jest zależna od miejsca zajmowanego przez nią w hierarchii partyjnej. „Odwilż” ma dać pisarzom i myślicielom wolność, która jest niewolna, swobodę, która jest skrupowana, prawo szukania prawdy, którego punkt dojścia jest znany i niewzruszony.

Swoboda pisarza jest pustym słowem i częścią obietnicy, dopóki zasada „kierownictwa ideowo-politycznego, partyjnego w sztuce” jest zachowana. W twierdzeniu, iż partii tej przywilej przysługuje, ponieważ widzi ona „rzeczy w ich całokształcie”, widzi dalej i lepiej, jest „kolektywnym doświadczeniem” i „kolektywnym rozumem”, zawarta jest kwintesencja totalitarnego państwa. Pomimo różnic w poglądach, na czym „odwilż” polega, różne jej wersje nieodmiennie podkreślają, iż najwyższy autorytet partii w sprawach światopoglądowych i kulturalnych jest niewzruszonym dogmatem również w okresie „odwilży”.

Prof. Chałasiński nie mieści się w ramach tak rozumianej „odwilży”. Jego krytyka nie dotyczy metod, lecz zasad totalitarnego państwa. Nieomyślności partii przeciwstawia suwerenność sumienia, rzekomy błąd w zastosowaniu doktryny leninowskiej — jej ograniczoność i nieprzydatność w kształtowaniu pełnego człowieka. Bunt prof. Chałasińskiego jest symptomatyczny, lecz nie odosobniony. Wśród ludzi dzisiaj w Polsce piszących grupa tych, którzy popadli w „prawicowe wypaczenia” jest poważna i liczniejsza niż grupa obrońców ortodoksyjnych form „odwilży”. Prof. Chałasiński, przywódca i teoretyk intelektualistów, który w latach „wielkiego wyboru” wiodł ich z niewoli nihilizmu Zachodu do ziemi obiecanej marksizmu, jest także teraz ich przywódcą, gdy prysnęło olśnienie pierwszego odkrycia, a poczucie osobistej odpowiedzialności domaga się za-

doścuźnieniu. Z tej przyczyny prof. Chałasiński stał się jednym z głównych celów, na które skierowane są ataki organów partyjnych.

Z. JORDAN

Zbigniew Florczak namawia do powrotu

RADIO KRAJ — 2. 8. 1955.

Gdy jesienią roku 1949 zawiadomiłem redakcję „Kultury” w Paryżu, że nie mogę dokończyć zamówionego tłumaczenia książki Greena „Władza i Slawa”, bo postanowiłem wrócić na stałe do Polski, redaktor Jerzy Giedroyc starał się odwieść mnie przynajmniej od tego zamiaru. W paru listach tłumaczył mi jak bardzo *desperacki*(*) i samobójczy wydaje mi się ten krok. Przez wiele lat — pisał — studiowałem Sowiety i wiem co pana tam czeka. Nie mówił wprawdzie, że czekają tam kibitki, które przewiozą mnie na Sybir, ale dawał do zrozumienia, że czeka mnie tam coś w rodzaju śmierci intelektualnej i cywilnej, coś w rodzaju pogrzebania wszystkich moich nadziei i zamiarów twórczych.

Żałuję ogromnie, że tej subtelnej argumentacji redaktora Giedroycia nie mogę zacytować dosłownie. Niestety, listów tych nie wzięłem ze sobą. Bałem się. Bałem się, że mnie skompromitują w oczach U.B. Przytaczam tę anegdotkę z przekonaniem, że należy ona do istoty sprawy o której wspominałem, do tego — aby tak nazwać — szczególnego kompleksu przerażenia jakiego obywatel świata mieszczańskiego doświadcza wobec tego co w sercu swym ze wstrętem nazywa *bolszewizmem*.

To osobliwe zjawisko mieszczańskiego truchlenia przed tak zwanym bolszewizmem działa jak *zabobon*. Wyobraźcie sobie. Z jednej strony doświadczony w sprawach kultury redaktor prowadzący najlepsze pismo emigracyjne inteligencji na serio przestrzega swego współpracownika przed osiedleniem w nowej Polsce, z drugiej ów ryzykant — krótko mówiąc: ja — nie pomny na to, że ogłaszał na emigracji szereg politycznych artykułów, gotów jest prawie wrócić do kraju, ale boi się wpaść przez parę wcale nie rewelacyjnych listów i woli listy te spalić. Było w tym coś *zabobonnie* nienaturalnego. Tak się zachowują dzieci zostawione w ciemnym pokoju.

Może będę miał jeszcze okazję zastanowić się nad powodami psychologicznymi i innymi tego zjawiska. Może uda się odszukać dramat tych jerychońskich ... (**), bo przecież ten automatycznie działający strach mający

(*) Podkreślenia nasze. Red.

(**) Niedosłyszano.

do swej dyspozycji cały arsenał argumentów, z którego korzystają nie tylko słabsze na umyśle byle panie pułkownikowe, ale również ludzie intelektu, ale również całe klasy w zachodnich społeczeństwach — ten strach, powtarzam, musiał jednak być przez kogoś *wynaleziony*, tak jak ktoś wynalazł straszak czy bombę cuchnąco-lzawiącą.

Ale wracam do mojej własnej historii. Nie wyobrażałem sobie, by była ona bardziej ważna i miała obchodzić moich słuchaczy. Przytaczam ją jako pewien przykład, jako dość typowe doświadczenie, które można by przeciwstawić doświadczeniu moich przyjaciół na emigracji, którzy — jak mówią — *studiowali* zagadnienie sowieckie przez wiele lat.

Otóż wyznam pokrótce, że przez owe pięć lat, które mieszkam w Polsce nawet przez chwilę nie zagroziła mi śmierć intelektualna, a tym bardziej fizyczna. Jeżeli pozwalam sobie na lekki ton żartu, to przecież nie jest moim zamiarem pokpiwać sobie z waszych, rodacy na emigracji ostrzeżeń, obaw i uprzedzeń. Byłem między wami kilka lat i myślałem podobnie. Jest takie jedno słowo, którego ludzie mający do czynienia z książkami, i w ogóle drukiem, trochę się wstydzą. Wbrew sztucznemu zawstydzeniu postanowiłem tego słowa użyć: *jestem człowiekiem szczęśliwym*, tak w sensie prywatnym jak i społecznym. Z całą powagą mówię to do was przyjaciele, i do ciebie *Marianie PANKOWSKI*, który w obojętnej dalekiej Brukseli nie wiesz co zrobić ze swoją tak bardzo polską samotną poezją, i oto na własny koszt — biedaku — wydajesz czwarty czy piąty tom poezji, i do ciebie, *Witoldzie POMYKAJ*, mój dawny przyjacielu, z którym bez końca przy alkoholu rozważaliśmy katastroficzne aspekty naszej atomowej ery i szukaliśmy dla siebie ucieczki w jakiejś wyszane z palca trzeciej miejscy, a również do ciebie, *Jasiu MOSZKOWSKI*, i do wszystkich innych towarzyszy pióra czy zajadłych partnerów dyskusji.

Już wiem, koledzy, że zwaszycie w moich słowach agitację. Tak, to prawda: agitacja to bardzo ludzkie i naturalne pojęcie. *Każdy zdeklarowany i uczciwy człowiek agituje, jeśli nie słowami to swoją postawą i swoim życiem*. Wy agitujecie o *życiową abstynencję*. Boicie się komunizmu i mnóstwa innych rzeczy, a w istocie boicie się udziału w *procesie historycznym*. Ja agituję za udziałem w procesie historycznym, to jest za Polską, do której udało mi się wrócić. Wrócić wbrew waszej agitacji, wbrew waszym biednym zawodzeniom.

I tak, jak jest pewne, że w chwili gdy pisałem te słowa w przyległym pokoju spała równo oddychając moja mała pięcioletnia córka, której niczego złego nie mógłbym życzyć, tak samo pewne jest, że agituję teraz na waszą korzyść, na wasze dobro.

Jeżeli z czegoś byłem niezadowolony po powrocie do kraju, to nade wszystko z tego, że *przez dwa lata nikt się mną nie interesował* i pozostawiony byłem własnym siłom. To był moralnie trudny okres, nie łatwa szkoła nowych uczuć i pojęć. Okres ten odkrył mi jedną ciekawą rzecz. *W kraju myśli się mało o losie emigrantów*. Kraj jest zajęty w całym tego słowa znaczeniu wielkimi sprawami. Z tego właśnie wynika obojętność wobec mojej osoby, która mnie — szczerze mówiąc — ubodła. Okazało się, że nikt w Polsce nie ma czasu interesować się tymi co swoje pełne katastrofizm problemy kultywują za granicami kraju. O ile zgodziłem się, że takie stanowisko jest naturalne, to nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jest niezupełnie słuszne. Wychodziłem z założenia, że *emigracja w swej przeważającej masie* — bo nie mówię o tych panach, którzy traktują emigrację profesjonalnie — to *nieporozumienie*, że społeczeństwo w kraju ma naturalną przewagę nad garścią emigracyjną, a to stwarza obowiązek rozwiązania nieporozumienia.

I oto dzisiaj ludzie w kraju szczerze, po bratersku przemawiają do was. Wyrazem tego jest wezwanie, które przed chwilą słyszeliście.

Mówił do was jeden z podpisanych pod wezwaniem do uchodźstwa —

Zbigniew FLORCZAK

Mój Drog,

Bruksela, w sierpniu.

Patrząc w zielone oko aparatu, słuchałem Twego głosu, niczemu się nie dziwiąc. To co mówiłeś było „zamówieniem społecznym”, z którego wywiązałeś się naprawdę rzetelnie, stosując nawet samokrytykę, jak przystało na byłego emigranta.

Wzruszyłeś mnie, zwracając się do mnie po imieniu, choć zrobiłeś to w sposób trochę żenujący, nazywając mnie biedakiem ponieważ na własny koszt wydaję tomiki i, jak twierdzisz, nie wiem co począć na Emigracji z moją samotną a tak bardzo polską poezją.

Zbyszk, kto z nas jest biedakiem?

Wyszedłem cało z obozów hitlerowskich. Ukończyłem uniwersytet w Brukseli, gdzie pracuję jako lektor polskiego. Przygotowuję doktorat. Wydałem pięć tomików wierszy (trzy polskie, dwa francuskie). Za miesiąc ukaże się moja „Smagła Swoboda” a w zimie Antologia Poezji Polskiej w moim przekładzie na francuski. (Dwie ostatnie książki „cudzym kosztem”).

A Ty? Co zrobiłeś przez pięć lat pobytu w Kraju? Czy wydałeś choć jedną własną książkę? Czy napisałeś choć jeden esej?

Pamiętam, w wigilię Waszego wyjazdu pocieszaaliśmy Cię, wierząc, że pomimo „trudnego kursu” potrafisz nie tylko zabłysnąć, ale wywalczyć sobie poczesne miejsce pomiędzy młodymi pisarzami w Kraju.

Szukałem więc w prasie krajowej Twego nazwiska. I rzeczywiście, w kilka miesięcy potem przeczytałem w „Nowej Kulturze” Twój artykuł pt. *Głowa Anioła* napisany z okazji jakiejś wystawy. To co pisałeś tam o obrazach było kompletnym zaprzeczeniem estetyki wyznawanej przez Ciebie tu, na Emigracji. Pomyślałem wówczas: „Trudno, zapłacił im, ale teraz przynajmniej będzie mógł pisać”. Niestety, byłem optymistą. Zresztą sam wspominasz te lata ze smutkiem, wyznając, że przez dwa lata nikt się Tobą nie interesował i że to był moralnie trudny okres.

Po dwu latach kwarantanny „Nowa Kultura” ogłosiła Twój reportaż z... akcji przedwyborczej. Opisywałeś jak w jakiejś zapadłej wsi agitowaliście chłopów, przemawiając w szopie oświetlonej marną naftówką.

Pomyślałem, teraz mu już ufają. Zacznie drukować. Niestety, wszystko co ukazało się pod Twoim nazwiskiem można by zmieścić na jednej stronie: kilka recenzji, kilka ilustracji i ogłoszony ostatnio niepoważny fragment pisanej przez Ciebie powieści.

Przyznasz mi, że nie o takiej twórczości marzyłeś, wracając do Kraju. I oto przychodzi mi na myśl smutna refleksja. *Pomimo pięcioletniego pobytu w Kraju, nie istniejesz tam jako pisarz.*

Czyż więc nie sprawdzili się przewidywania redaktora „Kultury” (które cytujesz z ironią!), że „w Kraju czeka Cię śmierć intelektualna i pogrzebanie wszystkich nadziei i zamiarów twórczych?”

Tylko czemu w takim razie tak szumnie głosisz, że „każdy, zdeklarowany i uczciwy człowiek agituje swoją postawą i swoim życiem”. Kogo Ty chcesz zaagitować przykładem swego życia, i swoją „postawą”? Kogo?

Na Emigracji mogłeś pisać co Ci się żywnie podobało, mogłeś psiożyć na prawicę i lewicę. Byłeś wolnym strzelcem publicystyki emigracyjnej i cenionym „heretykiem”. Twoje eseje (o Powstaniu!) otwierały szerokie dyskusje. Byłeś zdolnym malarzem i dobrym znawcą sztuk plastycznych.

Dziś przestałeś tworzyć a Twoim nielicznym artykułom brak dawnego buntu, czy tej sympatycznej zawiadiackości, którą lubiliśmy wszyscy.

Kim jesteś dziś? W imię jakich osiągnięć wzywasz mnie do powrotu? Jedyną Twoją rzeczywistością twórczą jest... przeszłość, lata emigracyjne. I dlatego tak szcycisz się swymi dawnymi kontaktami z „Kulturą” i opowiadasz jak bardzo zależało Jerzemu Giedroycowi na Twojej współpracy i na tym, abyś pozostał na Emigracji. Pragniesz *chociaż w ten sposób* zaistnieć w Kraju, chcąc jakby zapewnić ludzi od których obecnie zależysz: „Widzicie, byłem kimś”. Tak, to prawda, byłeś...

Zresztą nie Ty jeden zmarlałeś jako indywidualność po powrocie do Kraju. Pomyśl o Słonimskim, o Broniewskim. Z walczących o godność człowieka i o sprawiedliwość stali się marionetkami potakującymi Sokor-skiemu.

A na Emigracji, pomimo ciężkich nieraz warunków materialnych, pi-sarze ogłaszają coraz to nowe książki. Książki prawdziwe, gdyż powstające z wewnętrznej, twórczej potrzeby. Miłośz w ciągu czterech lat wydał cztery książki, czytane i tłumaczone od Szwecji po Indie. O Gombrowiczu nie muszę Ci chyba pisać. Wiesz lepiej ode mnie, jak bardzo ceniona jest jego twórczość na Emigracji a przede wszystkim w Kraju. I jak zaczytywane są tam jego książki pomimo zakazów i szukan kontrolujących literaturę „czynników”. Chciałbym, abyś mógł kiedyś poznać serdecznie ludzką książkę Straszewicza, napisaną iście tropikalną polszczyzną!

Tak, mój Drog, wbrew krakaniom reżymowych krytyków, na Emigracji literatura żyje i rozwija się. I, rzecz nie do wiary, wciąż dochodzą nowi, młodzi, ledwie trzeci krzyżyk zaczynający pisarze. „Kultura”, której losy powinny Cię interesować, ma nakład nie ustępujący nakładowi „Twórczości”. Rok rocznie przyznawane są nagrody literackie... Tu przerwę, bo go-tów jesteś pomyśleć, że agituje, chcąc Cię namówić do powrotu na Za-chód.

Wiedz, że pragniemy gorąco utrzymać kontakt z Krajem, że rozwój literatury polskiej leży nam na sercu, i dlatego „Kultura” gotowa jest drukować utwory pisarzy krajowych, jeżeli tylko prace te będą naprawdę ciekawe.

Mówiąc przez radio, przez dłuższą chwilę zatrzymałeś się nad tym, co nazywałeś „kompleksem przerażenia jakie odczuwa obywatel świata mieszczkańskiego przed tak zwanym bolszewizmem”. Pokpiwałeś sobie z głupoty tych, którzy dają sobie wmówić ów strach przed bolszewizmem i zapytujesz, „kto go wynalazł?”

Drogi Zbysku, strach ten wynaleźli komuniści niemieccy. Żydzi, których N.K.W.D. wydało w ręce Gestapo na moście w Brześciu. Strach ten wynaleźli ludzie polskiego Podziemia w chwili gdy aresztowano ich przywódców, zaproszonych oficjalnie na rozmowy. Strach ten wynalazła garstka naszych jeńców, których cud jakiś zatrzymał przy życiu tuż przed progiem katyńskiej rzeźni.

Boli mnie Twoja zimna retoryka. Z jakąś nonszalancją chłapiasz się we krwi, udając, że nie widzisz jej narodowego koloru. Nawet Putrament nie powiedziałby czegoś podobnego. Tacy jak on milczą, i milcząc dźwigają tę straszliwą wiedzę.

Kończąc, pragnę sprostować pewną nieścisłość. Kiedy zwracasz się do przyjaciół zagranicą, obawiasz się iż w słowach Twych „zweśsz agitację”. Nie, mój Drogi, Przyjaciele nie „zweśsz”, ale rozumieją Twój los lepiej niż ktokolwiek inny.

Twój Marian

POLSKIE SŁOWO NA OBCZYŹNIE **KSIEGARNIA POLSKA W LONDYNIE** **ORBIS**

38, Knightsbridge, London, S.W.1.

Nowe książki:

DWA KSIEŻYCE Marii Kuncewiczowej, 3-cie wydanie, str. 240, 29 ilustracji T. Terleckiego. Cena 13/—; w USA 2 dolary.

DROGA DO NIKAD, Józefa Mackiewicza. Tom zwiększonej objętości. Str. 384. Cena 18/—; w USA 2.75 dol. *W poprzednich dwóch ogłoszeniach (w numerach: majowym i czerwcowym „Kultury”) omyłkowo i z winy Redakcji podano cenę w USA — 2 dol., zamiast 2,75 dol.*

O ŻOŁNIERZU CIULACZU, Janusza Kowalewskiego. Zbiór opowiadań. Str. 234. Cena 13/—; w USA 2 dolary.

W przygotowaniu:

KARIEROWICZ, Józefa Mackiewicza i

WIEŻNIOWIE NOCY, A. Romańskiego.

Ceny łącznie z przesyłką. Wszystkie książki w oprawach płóciennych z artystycznymi obwolutami.

Do nabycia we wszystkich polskich księgarniach.

We Francji: Księgarnia „Libella” 12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4^e.

Najnowsza historia Polski

Fragmenty z Pamiętnika

60-LECIE RUCHU LUDOWEGO I WINCENTY WITOS

W lipcu 1955 roku upłynęło 60 lat od chwili powstania Polskiego Stronnictwa Ludowego. Zjazd Rzeszowski chłopów galicyjskich był zorganizowanym startem polskiej wsi do walki z krzywdą i upośledzeniem wsi, do walki o wolność człowieka i narodu, o jego niepodległy państwowy, o sprawiedliwość i demokratyczne zasady w życiu zbiorowym.

W tym roku przypada również w dniu 31 października dziesiąta rocznica śmierci wielkiego Polaka, męża stanu, przywódcy i wychowawcy chłopów polskich, Wincentego Witosa.

Tak się złożyło, że w rok po narodzinach zorganizowanego ruchu ludowego, młody wówczas Wincenty Witos wystartował do pracy publicznej, zamieszczając na łamach „Przyjaciela Ludu” pierwszy swój artykuł. Odtąd nieprzerwanie snuje się coraz bogatsze i wspanialsze pasmo wyteżonej pracy w gminie, w powiecie, w sejmie galicyjskim, w parlamencie austriackim; w sejmie i w rządzie polskim; na zebraniach, wiecach i zjazdach; w pracy publicystycznej, w pracy instruktorsko-wychowawczej, którą Witos wykonywał w licznych swych marszrutach — najpierw od wsi do wsi, później od powiatu do powiatu, a w końcu od województwa do województwa — zawsze z tym samym zapalem i nastawieniem na wychowanie chłopca na dobrego Polaka i ludowca, miłującego niemniej Polskę od swego zagonu ojczystego i rodzinnej wsi.

Okres prawie 50-ciu lat działalności i pracy zorganizowanego Ruchu Ludowego jest nierozłącznie związany z osobą Wincentego Witosa, chłopca z Wierchosławic, któremu przypadła w udziale opatrnościowa rola sternika Rządu Obrony Narodowej w najkrytyczniejszym momencie najazdu bolszewickiego na Polskę w 1920 roku, zakończona odniesionym zwycięstwem nad bolszewikami, zawarciem korzystnego dla Polski pokoju, ustaleniem granic organizującego się wówczas państwa polskiego oraz uchwaleniem demokratycznej Konstytucji i takiejże ordynacji wyborczej.

Osiągnięcia Ruchu Ludowego minionego okresu, jego w ciężkich trudach wywalczana pozycja w narodzie i państwie, chwile niepowodzeń i odwołanych klęsk, wzloty i zwycięstwa były nierozdzielnie związane z osobą Witosa do ostatniej chwili jego życia.

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Witos, piastując najwyższe stanowisko w państwie, nigdy na chwilę nie wyszedł z roli chłopu polskiego w najszlachetniejszym jej ujęciu. Był on rzadko spotykanym nie tylko w Polsce ale i w świecie wspaniałym reprezentantem środowiska, z którego wyrósł.

Piastując mandat posła, prezesa klubu poselskiego, prezesa stronnictwa, czy sternika państwa, nie mógł sobie odmówić, jak sam pisze o sobie, dokonania orki we własnym gospodarstwie w rodzinnej wsi Wierzchosławice. Pełniąc najwyższe godności w państwie, nie zaniedbywał na chwilę obowiązków wójta swej rodzinnej wsi, które nieprzerwanie powierzane mu były przez mieszkańców gminy od 1908 roku aż do chwili udania się na wygnanie wobec sanacyjnych prześladowań (1933 rok).

Sześćdziesięcioletni dorobek Ruchu Ludowego, a w tym pięćdziesięcioletni wkład wyjątkowej pracy Wincentego Witosy na rzecz wsi, narodu i państwa stanowią poważną pozycję w historii narodu ostatnich dziesiętków lat.

Ze względu na warunki emigracyjne, nie będąc na razie w stanie dania szerszego opracowania tego wkładu, czy choćby drukowania całości *Pamiętników*, pozostawionych przez Witosę, ograniczamy się na razie do podania do szerszej wiadomości niektórych fragmentów z *Pamiętników* Witosy, będących również na czasie w związku z rocznicą zwycięstwa nad bolszewikami. Oddając głos współtwórcy historii minionego okresu, wydaje się, będzie najwłaściwszym w naszych emigracyjnych warunkach uczczeniem 60-ej rocznicy Ruchu Ludowego oraz 10-ej rocznicy śmierci autora *Pamiętników*, a także 35-ej rocznicy bitwy pod Warszawą.

Stanisław WÓJCIK,

Sekretarz Naczelny Polskiego Stronnictwa Ludowego.

New York, 4 sierpnia 1955.



O SOBIE, RODZINIE I WSI

Urodziłem się w miesiącu styczniu 1874 roku z ojca Wojciecha i matki Katarzyny ze Sroków, jako najstarszy z rodzeństwa. Młodszy o cztery lata ode mnie brat — to Andrzej, byłby poseł do Sejmu polskiego.....

.....Miejscem mojego urodzenia jest wioska Dwudniaki, wchodząca w skład gminy Wierzchosławice. Oprócz Dwudniaków należą do tej gminy przysiółki: Gosławice, Wola, Wieś, Trzedniaki i Szujec, nazwany także „Zastawiem”. Przysiółki Dwudniaki i Trzedniaki wzięły swoją nazwę od dni pańszczyzny, odrabianej co tygodnia dworowi przez jedną rodzinę włościańską.

Gmina Wierzchosławice należy administracyjnie do powiatu tarnowskiego, a łącznie z obszarem dworskim jest największą ze wszystkich gmin w powiecie. Grunta i lasy, stanowiące własność obszaru dworskiego w Wierzchosławicach, należały z dawien dawna do rodziny książąt Sanguszków.

Obecnie gmina liczy 400 domów i przeszło dwa tysiące mieszkańców. Grunta posiada rozmaitej jakości. Gdy Gosławice

i Wieś mają ziemię namułową i rędzinną, Wola piaszczystą, względnie dobrą, to reszta przysiółków siedziała na gruntach mokrych, kwaśnych, koło lasu położonych, bardzo mało wydających. Z tego też powodu, od czasów najdawniejszych były one pogardliwie traktowane przez kmieci z Gosławic i ze Wsi, a i sama ludność tych przysiółków uznawała się zawsze za coś gorszego i niższego. Podlesianie w ciężkim trudzie odrabiali zagony pod marchew lub kapustę u gosławskich kmieci i byli niezmiernie szczęśliwi, gdy który z nich w niedzielę przy kościele podał im dwa palce na powitanie. Zwykle bowiem unikali ich, nazywając „podleśskimi dziadami”, a głupszy, nie wiem dlaczego, „Schabami”. Jak głęboka była różnica między jednymi i drugimi, odzwierciadla stale wówczas używane powiedzenie: „Lepiej w Gosławicach na wierzbie, niż na Podlesiu na ziemi”.

Naturalnie, że lepiej było, ale tylko owym kmieciom; bo „podlesianie” i gosławscy komornicy nie mogli tego o sobie powiedzieć. Odrabianie owych zagonów było niesłychanym wysiłkiem i pańszczyzną najgorszego gatunku. Nieszczęśliwcy musieli nie tylko stawać na zagonie do roboty przed wschodem słońca i pracować do zmroku, nie tylko odrabiać jedynie przy żniwie, ale przez cały dzień nie mogli głowy podnieść, by nadążyć za wynajętym specjalnie parobkiem albo przepłaconym przodownikiem. Trzeba pamiętać, że dzień taki zaczynał się już o godzinie czwartej rano, a kończył się około dziewiątej wieczorem. Toteż na ten odrobek amatorzy marchwi lub kapusty chodzili z niesłychanym strachem, opowiadając, że przedtem należy iść na spowiedź, bo się nigdy nie wie, czy się żywcem od takiej roboty do domu powróci. Nierzadko się też zdarzało, że taki robotnik uciekał od południa, bo nie mógł wytrzymać, albo go gospodarz wypędzał, gdy znowu nie mógł dociągnąć za przewodnikiem.

Obecnie po tym wszystkim pozostała tylko pamięć. Dawni kmiecie gosławscy zniknęli prawie bez śladu. Dziady podleśkie siedzą na tych samych gruntach, lecz już zmeliorowanych, odwodnionych, inaczej uprawianych i dobrze rodzących. Inwentarz posiadają bodaj lepszy, chleba dostatek, podatki i inne opłaty niższe, zbiory natomiast niegorsze. Dziś też nie muszą szukać kmieci łaski, bo jej na nic nie potrzebują. Poza tym są znacznie ruchliwsi, do pracy publicznej więcej podatni, a nawet oleju w głowie mają nieco więcej.....

.....Ojcowie moi posiadali zaledwie dwa morgi lichego gruntu położonego pod lasem i część domu, składającego się ze stajenki przerobionej na mieszkanie, i małej sieni, w której mieściła się jedyna posiadana przez nich krowa. Druga większa część domu należała do ciotki Marii. Obszerna jej izba była prawie zawsze zamknięta, bo ciotka, wychodząc do kościoła, wracała zwykle dopiero wieczorem, a czasem nawet za parę dni. Przebywała podobno u swoich znajomych, mieszkających we wsiach sąsiednich.

Później mnie objaśniono, że grunt, należący się ojcu, zabrała córka jego brata, gdy on spełniał służbę wojskową, dzięki opiekunowi, który o grunt ten zupełnie nie dbał. Opowiadał mi ojciec nieraz o tym z ogromną goryczą, pokazując na pole leżące tuż koło naszego domu i na obcych ludzi, pracujących na nim.

Od piątego roku życia zacząłem pasać ową jedyną ojcowską krowę. Było to zajęcie ciężkie i dla mnie niesłychanie przykre, gdyż musiałem ją prowadzić na powrozie po rowach i miedzach, bo matka nie pozwoliła pasać na pastwisku, ażeby krowa „nie zgubiła mleka”. Nieraz też rozbrykane bydło sponiewierało mnie nalezycie. Z żalem i tęsknotą patrzyłem na rówieśników, którzy paśli bydło na wspólnym pastwisku, bawili się, przewracali koziołki.

Z dziećmi na wsi niewiele mogłem się stykać, gdyż ojcowie nie pozwalali wydalać się z domu, dając mi zawsze jakąś robotę. Czasem, bardzo rzadko, udało mi się wyrwać na chwilę, prędko jednak głos matki, a co gorsza ojca, przerywał rozpoczętą dopiero zabawę. Nie mogłem pojąć, jaki był cel tego rygoru, gdyż wszyscy moi rówieśnicy cieszyli się zupełną swobodą.

Z czasem zmieniło się to jednak, gdy ojciec zaczął mnie posyłać do karczmy po paczkę tytoniu, a czasem do krewnych, mieszkających w drugiej części wsi, po różne rzeczy. Zacząłem zaglądać do dzieci sąsiadów i one też przychodziły do mnie coraz częściej. Miałem już lat ponad dziewięć, wyrosłem znacznie ponad swój wiek, z ogromną ciekawością przypatrując się wszystkiemu, co mnie otaczało bez względu na to, czy dany przedmiot dotyczył naszego domu, czy bliższych lub dalszych sąsiadów. Niedługo świadomość moja, pędzona wzmagającą się ciekawością, przenosiła się coraz dalej poza granice wsi, chwytając wszystko, co wpadało w oczy i próbując rozumować i tłumaczyć sobie na swój sposób.

MOJE DOCIEKANIA

Że natura ciągnie wilka do lasu, widzę to i doświadczam na samym sobie. Prawdy tej nie może zmienić ani położenie, w jakim się znalazłem, ani wypadki, przynajmniej myśl swoim ciężarem i zwracając ją mimowoli na inne tory. I na to nie mogę znaleźć żadnej rady.

Od mojego wyjazdu z kraju upłynęło dopiero parę miesięcy. Nie mam powodu do narzekania tak na gospodarzy Państwa, które mi dało przytułek, jak na przypadkowe, zmieniające się otoczenie. Rozumieją oni moje położenie i w miarę możliwości starają się je łagodzić. Zaznaczam to choćby dlatego, że wielu Polaków i to takich, co mają mi coś do zawdzięczenia, znęcanie się nad mną uważa za cnotę państwową i swój obowiązek.

Nie jestem płaczką ani mazgajem, tzy ani żale nie przycho-
dzą mi na zawołanie. Nie jestem też pozbawiony kontaktu z kra-

jem, bo często przychodzi tu ktoś z przyjaciół czy też znajomych za legalną przepustką albo przemijając się przez zieloną granicę. Czytam codziennie polskie gazety, otrzymuję sporo listów i odpowiadam na nie.

Życia swojego nie spędziłem ani na piecu ani we wygodach. Nie miałem nadzwyczajnego powodu przywiązania się do wiejskich śmieci, prowadząc przez dziesiątki lat tułaczy, niemal cygański żywot. Rozbratu z rodziną, trwającego nieraz tygodnie i miesiące, nie uważałem ani za nieszczęście ani za ofiarę. Nie odczuwałem przykrej różnicy pomiędzy wagonem kolejowym a moim mieszkaniem. Nierzadko zmuszała mnie do tego twarda konieczność, ale częściej robiłem to z własnej woli. Wszędzie mi było prawie ze jednakowo i wszędzie czułem się dobrze.

Nie miałem nigdy przesadnej wrażliwości ani skłonności poetyckich. Starłem się na wszystko patrzeć realnie. Koło różnych przedmiotów i zjawisk przechodziłem niemal obojętnie. Orząc kilka razy do roku swoją własną ziemię, nie słyszałem jej głosu ani nie czułem zapachu, będąc pochłonięty pragnieniem, by zrobić jak najwięcej i najlepiej. Każdego dnia zaczynałem pracę wcześniej od moich sąsiadów, a kończyłem później, spiesząc się do polityki, wieców i zgromadzeń. Nie porywało mnie piękno wschodu słońca, a zachód obserwowałem jedynie w czasie żniw i sianokosów ze względu na jutrzejszą pogodę.

Nie rozczułała mnie ukwiecona łąka, falujące zboże, śpiew skowronka, klekotanie bociana, jak nie drażniło szczekanie psa lub krakanie wrony. Nie mogłem sobie tylko nigdy podarować, ażeby własnoręcznie nie zaorać gruntu do ostatniej skiby, nawet wtenczas kiedy byłem Prezydentem ministrów, obowiązując się, ażeby nie zwążając na dobrą orkę sąsiedzi nie zepsuli tego, co ja przez lata robiłem.

Czas płynął jak zawsze, zmieniały się nie tylko pory roku jak godziny na zegarze, ale i stosunki. Lata dziecięce, dziecięce zabawy, utrapienie, niedostatek, praca, dorobek, lata dojrzale i kłopoty nowe, orki i zasiewy, żniwa i omłoty, szczęście i zawody, wesele i smutek, urodzaj i klęski, pogoda i burze, grady i powodzie stały się tak naturalnymi zjawiskami, że nie tylko nie wywoływały zdziwienia, ale bardzo rychło z pamięci uciekały.

Jak cienie przesuwali się ludzie. Byli starsi i młodszy, przyjaciele i wrogowie, zwolennicy i przeciwnicy; trochę z nich jeszcze żyje, choć ogromna większość przeniosła się do wieczności. Sąsiedzi i coraz szersze otoczenie, wspólna dola i ciężary, zgodny wysiłek i spory, walka i pokój, zwycięstwa i klęski. Rosta świadomość wsi i poczucie siły, niosące pewne, ale i złudne nadzieje na przyszłość.

Wojna światowa, morze przelanej krwi, zniszczony dorobek pokoleń, zgłiszczona i popioły. Płacz na ruinach, a następnie zawzięta praca nad odbudową, tworzenie własnego Państwa i warsztatu, ażeby nie być dla nikogo ciężarem. Ledwo to zaczęto przychodzi wojna bolszewicka, nowy wysiłek i nowe cięż-

żary. Walka, zwycięstwo i powrót do domu, by na ruinach tworzyć nowe życie. Do pracy wytężonej zagrzewały: spełnienie obowiązku, uratowanie państwa, wolności i bezcennych wartości, jakie posiadało.

Zasłużony spokój przerwał i zamącił przewrót majowy, który chwilowo zaświecił mirażem szczęścia, ażeby wkrótce zasłonić je ciężkimi ołowianymi chmurami. Wieś zrobiono obiektem nowej polityki, dziwnej i niezrozumiałej, a jej mieszkańców zwyczajnym sprzętem. Uczyniono to niestety nie bez jej winy i pomocy. To mnie bolało najwięcej i jakkolwiek nie ustawałem w pracy, to nieraz dręczyło mnie niepokojące pytanie: „Czy z tej wsi kiedy co będzie, czy praca moja i innych nie jest zmarnowana?”

Teraz mimo przykrych doświadczeń, mimo odległości czasu i dzielącej mnie od niej przepaści, wieś ta stała mi jak w działo przed oczami i nie chce się usunąć ani na chwilę. Obraz jej widzę coraz wyraźniej i bliżej. A ten obraz nie tylko że przypomina wszystko, co było, ale powoduje i piekielną tęsknotę, wzmagającą się codziennie. Na obrazie tym da się bez trudu wyczytać całą daleką przeszłość, choć się do niedawna zdawało, że została ona pokryta nieprzebytym mrokiem zapomnienia. Przesuwają się twarze dawno zmarłych ludzi, przypominają się nawet drobne zdarzenia, cisną się liczne wspomnienia, a wszystko wydaje się takie świeże i jasne, jakby to było sprzed paru dni zaledwie.

Aczkolwiek stan ten staje się ciężki, a nawet nieznosny, trudno się przed tym bronić, trudniej jeszcze dociekać, a zupełnie zbędne tej słabości się wstydzic albo się z niej usprawdliwiać. Pragnę też ją tylko tłumaczyć i to po prostu, po swojemu. Z pnia i rdzenia tej wsi wyszedłem, z nią żyłem i z nią cierpiełem, przechodząc złą i dobrą dolę. Zawsze starałem się utrzymać wszystko, co mnie z nią łączyło, łączy, a spodziewam się i łączyć będzie. Na tę wieś, na jej życie, wady i zalety jej mieszkańców patrzyłem prawie przez trzy pokolenia, bo od urodzenia aż do sześćdziesiątki, a zmuszony byłem ją opuścić, gdy siódmy krzyżyk zaczął obciążać moje barki, silnie podterane. Na wieś starałem się zawsze patrzeć pilnie, ale i trzeźwo, wglądać w nią jak najgłębiej, tak bez uprzedzeń jak i zbytniego entuzjazmu.

O tej wsi i o wszystkim, co w niej jest, zacząłem myśleć jako podrostek, jej zagadnieniami zajmowałem się jako dojrzały człowiek, w nią się wpatrywałem jako początkujący, często niepewny siebie polityk. Z latami stanąłem jako wódz znacznego jej odłamu. Do niej się zwracałem jako kierownik nawy państwowej w momencie wielkiego dla Państwa niebezpieczeństwa. Odzew mój nie pozostał też bez odpowiedzi.

Starałem się odgadywać pojedynczego chłopca, prowadzącego ze mną rozmowę, jak i tysiączne tłumy, do których publicznie przemawiałem. Zbliżałem i starałem się zrozumieć tych, co mi krzyczeli „hańba”, jak i tych, co z entuzjazmem wołali:

„niech żyje”! To wszystko, mniemam, uprawnia mnie do tego, by o wsi powiedzieć, co wiem, przedstawić ją w jej prawdziwej postaci, nie powiększając jej braków ani nie ujmując zalet.

WYJAZD DO SZWAJCARII

Jedną z najważniejszych przeszkód do wytknięcia sobie zasadniczej linii postępowania i wyraźnego ustosunkowania się do państw walczących, była u nas prawie zupełna nieznajomość ogólnej sytuacji, tak wojennej jak i politycznej. Rząd austriacki zamknawszy szczelnie wszystkie granice państwa strzegł pilnie, ażeby żadna wiadomość dla niego nieprzychylna i niepożądana nie przedostała się przez nie. To mu się też prawie w całości udawało. Jeżeli zaś były jakieś wiadomości z zagranicy, to nie tylko niezwykle skąpe, ale dla nielicznych tylko jednostek dostępne. Do nas parokrotnie przychodził z nimi poseł Tetmajer, zaznaczając, że je posiada od wyższego oficera austriackiego, a swojego dobrego znajomego. Jakkolwiek zastrzegał sobie ścisłą poufność, były one tak skąpe i niedokładne, że trudno się było nimi kierować. Ponieważ chodziło tu o rzecz nadzwyczajnej wagi, zaczęliśmy szukać jakiejś drogi wyjścia. Znalazł ją poseł Długosz, który zaproponował wysłanie posła Tetmajera z ramienia klubu do Szwajcarii, ofiarując się pokryć wszelkie koszty z jego wyjazdem połączone. Kiedy p. Tetmajer zgodził się na wyjazd, przybył do mnie p. Długosz, by mi to zakomunikować. Uznając postanowienie za dobre i pożyteczne, a wyjazd za konieczny, oświadczyłem, że osobiście uważam za bardzo wskazane, by wyjechała delegacja przynajmniej z trzech członków klubu złożona, tak ze względu na wagę tej sprawy, jak i innych, które tam niezawodnie przyjdzie poruszyć. Był to ponadto zamach na kieszeń Długosza, ale się zgodził.

Nie tracąc czasu, postarałem się o natychmiastowe zwołanie klubu, który upoważnił pp. Długosza, Tetmajera i mnie do wyjazdu do Szwajcarii, dla zasięgnięcia tam autentycznych wiadomości tak o postępach wojny, jako też i o stanie sprawy polskiej. Wyjazd wówczas był połączony z niesłychanymi trudnościami. Przez granicę nie przepuszczano nikogo bez zgody wojskowości, ta zaś aż do przesady była gorliwą i ostrożną. Używanie więc paszportów w tych warunkach dla nas i pozwolenie na wyjazd do Szwajcarii wydawało się prawie niemożliwe, mimo że członkostwo parlamentu austriackiego dawało jeszcze pewne walory. Nie było się zresztą czemu dziwić. Ja już od dawna figurowałem na czarnej liście, na Tetmajera patrzono mocno podejrzliwym okiem, Długosza znano z wielu dość mocnych i nieprzyjemnych dla rządu wystąpień.

Uznaliśmy, że mimo to wszystko on się najwięcej nadaje do załatwienia sprawy, tak z władzami cywilnymi jak i wojskowymi, wiedząc że jeszcze z czasów swego ministerstwa zatrzymał sporo znajomości z różnymi urzędami i urzędnikami. Przejęty

samą sprawą podjął się niemiłej funkcji bez wahania, a po dwóch czy trzech dniach mieliśmy już paszporty w rękę, wraz z pozwoleniem wyjazdu. Nie tylko że je dano, ale ugrzeczniony urzędnik ministerialny przyniósł je p. Długoszowi do hotelu. Na moje pytanie jak sobie z tą sprawą poradził, odpowiedział nie nowym zresztą przysłowiem: „kto smaruje, ten jedzie”.

Bezpośrednio prawie po zamknięciu posiedzenia Koła Polskiego wyjechaliśmy wieczór, dnia 23 lutego 1915 roku z Wiednia do Szwajcarii. W dniu tym po raz pierwszy w życiu, a jak dotąd i ostatni, musiałem dokonać ustępstwa od nienaruszonego zwyczaju, i na usilne naleganie moich obydwoh towarzyszy, przywdziać sztywny biały kołnierzyk i czarną krawatkę, zakupioną mi przez p. Tetmajera. Tej części ubioru, niezbędnego dla wielu, nie nosiłem wprawdzie nigdy, ale kiedy obydwa panowie z miną uroczystą zawyrokowali, że od niej zależy niemal powodzenie naszej misji, musiałem się ich woli niechcący podporządkować.

Pocziwy Tetmajer przysporzył sobie przez to niemało kłopotu, gdyż musiał mnie codziennie ubierać; nie mogłem bowiem do końca dać sobie rady zarówno z kołnierzykiem jak i z krawatem. Obrozę tę nosiłem przez cały czas pobytu w Szwajcarii, a zdjąłem ją natychmiast, gdy się tylko w drodze powrotnej znalazłem na dworcu we Wiedniu. Czulem, że mi to sprawiło dużą ulgę.

Przejeżdżaliśmy na Salzburg przez niesłychanie piękne okoliczności Tyrolu. Podróż była wygodna, gdyż zapobiegliwy p. Długosz zdołał uzyskać dla nas duży przedział pierwszej klasy, do którego nie pozwolił konduktor nikomu ani zajrzeć. Na stacji granicznej odbyła się bardzo delikatna rewizja, która zresztą nie mogła dać dla nas nic nieprzyjemnego, bośmy nie mieli za sobą ani kawałka bibuły. Oficjalny zaś powód naszego wyjazdu, to cele humanitarne. Władze rządowe we Wiedniu wiedziały tylko o tym, że jedziemy do Szwajcarii, żeby dla polskiej ludności zaboru austriackiego, wojną zniszczonej i głodującej uzyskać pewne fundusze, którymi rozporządzał Komitet z Henrykiem Sienkiewiczem na czele i mecenasem Osuchowskim.

Granicę szwajcarską przekroczyliśmy około godziny dwiętej rano. Poseł Tetmajer gnany ciekawością wyszedł na dworzec; zakupiwszy całe narecze gazet francuskich, angielskich, włoskich i szwajcarskich gorączkowo je czytał i głośno je nam tłumaczył, zwracając uwagę szerokiego otoczenia. Wiadomości te zaczęły otwierać inny świat przed nami. Szczęście nam dopisywało. W pociągu, którym jechaliśmy do Lucerny, spotkał p. Długosz przypadkiem swego znajomego, a bodaj nawet kuzyna, szwajcarskiego Niemca, wdając się z nim w rozmowę polityczną. Przedmiotem jej była przede wszystkim sytuacja wojenna. Szwajcar opowiadał nam, że owe wielkie zwycięstwa Austrii i Niemiec opiewane przez ich sztaby generalne i sławione przez gazety, są bardzo mocno wyolbrzymione, tak samo jak i klęski koalicji, o których tak wiele mówiono i pisano. Infor-

mował nas bardzo chętnie i szeroko o przebiegu i rozmiarach wygranej przez Francuzów bitwy nad Marną, twierdząc, że chociaż trwała bardzo krótko, przyniosła ogromne zwycięstwo wojskom francuskim i miała być punktem zwrotnym w toczącej się wojnie. Ten znajomy p. Długosza, obywatel szwajcarski i Niemiec, jak zauważyłem nie był zwolennikiem państw centralnych, wyrażając się o nich z pewną niechęcią.

Wiadomość o naszym przyjeździe rozeszła się bardzo szybko pomiędzy Polakami zamieszkałymi w Szwajcarii. Za parę godzin zaczęli oni przychodzić do nas w odwiedziny. W rozmowie z kilkoma poważnymi emigrantami doszliśmy do przekonania, że należy urządzić nawet liczniejsze, możliwie trójzaborowe zebranie wybitniejszych polskich działaczy i polityków, przebywających w Szwajcarii dobrowolnie i przymusowo. Zajęli się tym moi towarzysze; pomagał im prof. Kowalski, Skarbek i nieznanymi znajomi p. Tetmajera.

Zebranie odbyło się we Fryburgu. Wzięli w nim udział między innymi: hr. Aleksander Skarbek poseł do austriackiego parlamentu, prof. Uniwersytetu fryburskiego i późniejszy poseł polski w Rzymie i Berlinie, p. Wierusz-Kowalski, prof. uniwersytetu krakowskiego i były rektor, p. Fiedrich, mecenas Osuchowski z Warszawy, hr. Broel-Plater, Korwin-Milewski, poseł Niegolewski z Wielkopolski, dwóch przedstawicieli koła międzypartyjnego z Warszawy, oficer będący w służbie francuskiej o nieznanym mi nazwisku. Henryk Sienkiewicz nie przybył, usprawiedliwiając swoją nieobecność poważną chorobą.

Obrazy były długie, poglądy nawet dość rozbieżne. Sytuację ze swego punktu widzenia scharakteryzowali przedstawiciele rosyjskiego i pruskiego zaboru. Poznańscy szczególnie wskazywali na wielkie siły Niemiec, które ich zdaniem długo jeszcze wyczerpane nie będą. Położenie w zaborze i państwie austriackim określili bardzo szczegółowo poseł Skarbek i Długosz. Poseł Tetmajer przedstawił projekt planu pracy dla Polaków we wszystkich zaborach. Starał się również o wytknięcie jednolitego kierunku.

Mnie pozostało omówienie nastrojów wśród polskiego chłopstwa panujących i przedstawienie gwałtów i okrucieństw dokonywanych na ludności, tak w Galicji jak i w zajętej przez Niemców i Austriaków Kongresówce. To moje przemówienie z wyliczeniem faktów i danych zostało obszernie przez prasę polską szczególnie w Ameryce zużytkowane. Tak mnie przynajmniej informowano. Na tym zjeździe ostatecznie ustalono, ażeby nie zrywając wyraźnie z państwami centralnymi, utrzymywać jak najściślejszy kontakt z państwami ententy i postarać się im udowodnić, że chociaż część polskiej ludności ma inne zapatrywanie, to olbrzymia jej większość stoi po stronie koalicji, od której jedynie spodziewa się należytego załatwienia sprawy polskiej. W zjeździe fryburskim jak to już wspominałem nie wziął udziału Henryk Sienkiewicz, usprawiedliwiając nieobecność ciężką niemocą. Niektórzy tę jego chorobę uważali za pretekst, po-

dzając Sienkiewicza, że umyślnie nie przybył, by nie być zmuszonym do zajęcia wyraźnego stanowiska, czego jakby zawsze unikał.

Uważaliśmy za miły i konieczny obowiązek odwiedzenie go i rozmówienie się, gdyż jego nieobecność na zjeździe pomieszała nieco nasze plany. Jego zaś słabość przekreślała je zupełnie. Trudno chorego przecież nachodzić. Mimo wszystkich skrupułów poseł Tetmajer wziął na odwagę i zwrócił się telefonicznie do Sienkiewicza, zapytując, czy i kiedy mógłby nas u siebie przyjąć. Odpowiedział, że gotów to uczynić każdej chwili, gdyż jego przemijająca choroba wcale temu nie stoi na przeszkodzie. Pojechaliśmy też natychmiast.

Wielki pisarz przyjął nas niesłychanie uprzejmie, przepraszając za nieobecność na zebraniu. Mieszkał on i to już pono od dłuższego czasu w Vevey, w pałacyku bardzo ładnym, nad samym jeziorem, w okolicy wprost cudownej położonym. Wkrótce po naszym przyjeździe zjawił się u niego p. Osuchowski, bardzo sympatyczny i rzeźki staruszek. Rozmawiając dość długo, naciągaliśmy tak tematy, ażeby wybadać Sienkiewicza co do jego poglądów na sprawę polską i poznać jego orientację polityczną. Czynił to nawet dość natarczywie p. Tetmajer. Sienkiewicz jednak pod tym względem był wciąż bardzo ostrożny i wstrzemięźliwy. Nikogo nie potępiał za jego przekonania, otwarcie swojego zdania nie wypowiedział, natomiast przy końcu rozmowy oświadczył dobitnie: „Moi panowie. Przez blisko półtora wieku panowali nad nami Niemcy, jak i Moskale. Gdy zaś Moskale odeszli choćby z takiej wsi Oblęgorek, w której mam mały mająteczek, nie pozostał tam po nich żaden ślad pobytu. Proszę mi pokazać choćby jedną miejscowość, w której przez taki czas gospodarowali Niemcy, by po ich odejściu można było to samo powiedzieć”.

To nam wystarczyło. Dłuższy czas omawialiśmy z panem Sienkiewiczem sprawy, dotyczące nie tylko samej wojny, ale także przyszłego układu stosunków w Europie, a w Polsce w szczególności. Nie dowierzał Anglii, uważając jej politykę za samolubną. Obawiał się, że Francja nie będzie mogła unieść ciężaru wojny do końca, jak również nie będzie mogła sama decydować przy układach pokojowych.

Ten nasz kilkudniowy pobyt w Szwajcarii, zasięgnięte tam wiadomości, ustalona we Fryburgu zasadnicza linia polityczna, stały się busolą w postępowaniu naszego stronnictwa na dłuższy przeciąg czasu. Przyczynił się on także w dużej mierze do zachwiania, a nawet zmiany w postępowaniu wielu ludzi, z którymi się stykałem, choć wypadki zdawały się iść zupełnie inną drogą. Przyszły sukcesy wojsk centralnych, szczególnie na zachodzie, co zwolennikom polsko-austriackiego rozwiązania dało znowu podstawę do śmielszych wywodów, a ludzi słabych za-

chwiało w najuroczystszych postanowieniach. Nieraz te zmiany nastrojów stawały się wprost śmieszne, a bardziej jeszcze śmiesznymi ludzie sami, gdyż zmiana zapatrywania zależała u nich od różnych nieraz drobnych i przemijających wypadków. Na ogół jednak biorąc, przeważna ilość ludzi, z którymi się stykałem, traktowała te sprawy bardzo poważnie, dzięki czemu nie było przykrych niespodzianek, w jakie obfitują czasy obecne.

PRZED WIELKĄ ROZPRAWĄ

Wśród ciągłej niepewności i rosnącego napięcia generał Rozwadowski przyszedłszy do mnie powiedział poufnie, że rozpoczęcie naszej wielkiej ofensywy zostało wyznaczone na dzień 12 sierpnia, o ile nie zajdą jakie wielkie i nieprzewidziane przeszkody. Kiedy dzień ten przeszedł a ofensywy nie rozpoczęto, przybył znowu nazajutrz do mnie, usprawiedliwiając niedotrzymanie terminu spóźnieniem przy załadunku ciężkich dział na jakiejś małej stacji kolejowej, niedoszkoloną jeszcze dostatecznie obsługą i postanowieniem Naczelnego Wodza, którego on nie może często zrozumieć, ale musi się podporządkować. Wyraził też obawę, że ofensywa Piłsudskiego może być spóźniona, gdyż ciężar walki przenosi się na północ od Warszawy. Akcja Piłsudskiego znad Wieprza może będzie bardzo efektowna, ale dla wojny ma jego zdaniem znaczenie drugorzędne.

Zniecierpliwienie i obawy jeszcze się wzmogły, gdy nadeszły sprawdzone wiadomości, że dowództwo bolszewickie przygotowuje wielkie uderzenie w okolicy Modlina, mające na celu złamanie polskiego oporu i przejście Wisły w tych okolicach.

Gen. Rozwadowski miał duże obawy, czy słabe polskie oddziały mogą uderzenie zwycięsko odeprzeć, o ile Piłsudski nie ruszy się prędzej od południa. Dla sprawdzenia postępów i trwałości prowadzonych robót fortyfikacyjnych Rada Ministrów wydelegowała ministra kolei Bartla i wiceministra robót publicznych Dudka. Komisja ta przy udziale fachowców stwierdziła, że tak postęp jak i jakość wykonywanych robót uważa za niedostateczne, przedkładając sprawozdanie rządowi. Zgodnie z jej wnioskiem zostały też wydane zarządzenia, które gen. Latinik starał się wprowadzić w życie, pokonując przeszkody i pracując z wielką pilnością i gorliwością.

Na drugi dzień gen. Rozwadowski oznajmił Radzie Ministrów, że bolszewicy napierają coraz mocniej na stolicę, zajęli już Radzymin i zbliżają się do miejscowości Marki położonej za-

ledwie o 12 kilometrów od Warszawy, przeszli też bez dużego oporu naszych wojsk przez dwie linie obronne, świeżo zbudowane i niesłuchanie słabe. Dalej przyznał, że i na innych frontach nie jest dobrze, gdyż doszli oni prawie pod Toruń, zajęli Płock i kilka innych miejscowości, bardzo ważnych pod względem wojskowym. Na froncie południowym posunęli się pod Zamość i Lwów. Trzymający się najmocniej odcinek frontu pod dowództwem gen. Sikorskiego, zmuszony był się cofnąć i przejść na inne pozycje.

Niespodziewane przez nikogo te wiadomości wywołały w Radzie Ministrów chwilowe przygnębiające wrażenie, gdyż szef sztabu przed paru godzinami mówił zupełnie co innego, a teraz zapowiada tak wielkie i niebezpieczne zmiany sytuacji. Zaczęto go obsypywać pytaniami. Gen. Rozwadowski jakby zupełnie zapomniał o tym co dopiero mówił, z zupełną pewnością siebie odpowiedział, że on wykonuje swój plan sprowadzenia bolszewików pod Warszawę i rozprawienia się z nimi przy bramach stolicy.

Gdy to jego oświadczenie w przerażoną Radę Ministrów uderzyło jak piorun, on śmiejąc się dodał, że wszystkich bolszewików wystrzela „na sztrece”. Ten jego optymizm trudno już było zrozumieć.

Po wyjeździe gen. Rozwadowskiego nastąpiły dłuższe nerwowe narady. W końcu zapadło postanowienie, żeby bezzwłocznie poszczególni ministrowie wyjechali na różne odcinki frontu celem dokładnego zapoznania się z sytuacją, rozmówienia się z dowódcami, poznania ducha żołnierzy i stwierdzenia choćby najbardziej rażących braków. Nie przedstawiało to wielkiej trudności gdyż front zbliżał się bezustannie ku Warszawie.

Nie tracąc ani chwili wybrałem się w ten sam dzień po południu na front w okolice Radzimina.....

Na drugi dzień o godzinie 9-ej rano rozpoczęła Rada Ministrów swoje posiedzenie. Gen. Rozwadowski złożył krótkie sprawozdanie o sytuacji wojskowej, nie tając, że jest ona bardzo ciężka, jednak nie ma powodu do obaw, bo zmienia się na lepsze, może nawet w najbliższych godzinach. Gorąco przemawiał w obronie Piłsudskiego usprawiedliwiając spóźnienie jego ofensywy. Poszczególni ministrowie opowiedzieli o swoich spostrzeżeniach poczynionych na froncie, stwierdzając zgodnie, że duch w wojsku znacznie się poprawił, mimo że cierpi ono często na zupełny brak bielizny, a nawet pożywienia, nie mówiąc już o innych potrzebach. Niektórych oficerów obwiniali o karygodną wprost niedbałość. W rezultacie tych narad postanowiono postarać się natychmiast o zaspokojenie choćby najpilniejszych potrzeb wojska

tak z magazynów wojskowych jak i sklepów i składów prywatnych. Posiedzenie zostało skończone przed południem, a każdy z ministrów udał się na front, nie czekając nawet na obiad...

Po załatwieniu koniecznych spraw zaraz po południu wyjechałem z ministrami Skulskim i Ratajem do armii gen. Sikorskiego.....

Gen. Sikorskiego bardzo mało znałem. Widziałem go tylko raz osobiście jeszcze w biurze Naczelnego Komitetu Narodowego w Krakowie i miałem do niego nawet duże uprzedzenie, jako do gorącego zwolennika austro-polskiego rozwiązywania sprawy polskiej. No ale to stare i minione rzeczy. Natomiast w służbie państwa polskiego miał już wtedy dobre i zasłużone imię, a gen. Rozwadowski mówił, że przy walkach i odwrocie zachowywał się on najlepiej ze wszystkich polskich dowódców w tej wojnie. Twierdził, że mimo iż wytrwał najdłużej, najmniej ponieśli straty. On go uważał za prawdziwie mądrego zdolnego oficera z którym mało który mógł się mierzyć.

Przybywszy do Modlina zastaliśmy gen. Sikorskiego w małym parterowym domku. Zajęty był przyjmowaniem meldunków z frontu i wydawaniem rozkazów. W pierwszej chwili go nie poznałem, gdyż był ogromnie zmęczony, wychudzony; widać, że trudy wojenne dały mu się silnie we znaki. On i cały jego sztab zajmował bardzo skromne, prymitywne urządzone mieszkanie. W otoczeniu jego znajdowało się też kilku oficerów francuskich, do jego armii przydzielonych.

Obecni tam oficerowie zbiegli się na nasze przywitanie, racząc nas herbatą, a nawet winem. Szczególną uprzejmością odznaczał się kapelan o nieznany mi nazwisku. Był on nawet zanadto wesoły, mimo że jak twierdził, w ciągu dwóch ostatnich dni odesłał Panu Bogu znaczną paczkę nowych obywateli.

Gen. Sikorski omawiając sytuację swojej armii zaznaczył, że od samego Brześcia Litewskiego pędził ją po prostu bardzo szybko codziennymi marszami, a kiedy tu przyprowadził mocno przetrzebioną i zmęczoną, musiał rozpocząć nowe walki, nie zdolawszy nawet szeregów uporządkować. Obecnie już widzi znaczną poprawę. W przeciągu paru dni zgłosiło się do jego armii ponad 8 tysięcy żołnierzy z różnych oddziałów. Stało się to częściowo wskutek różnych ostrych zarządzeń, ale także jest dowodem powrotu zdrowia moralnego.

Zgodnie z naszym życzeniem zgodził się na wyjazd i zwiedzenie linii bojowej, która w tym czasie znajdowała się koło Nasielska. Po drodze opowiadał, że miał i ma jeszcze bardzo ciężką przeprawę w dniach wczorajszym i dzisiejszym. Jakkolwiek bolszewicy cofnęli się od twierdzy modlińskiej, której mocno zagrażali, a nawet niektóre forty przejściowo zajęli, to jednak obawia się ich natarcia szczególnie z boku, gdyż posiadają oni w tej stronie znaczne siły dotąd nie użyte. Nie jest też wy-

kluczone, że będzie zmuszony się cofnąć, gdyż niektóre oddziały zanadto posunęły się naprzód, tak że może im grozić nawet odcięcie. Twierdził, że silny nacisk rosyjski mógłby tu być zupełnie złamany, co by miało rozstrzygające znaczenie dla całej wojny, gdyby rozporządzał większymi siłami i gdyby jazda gen. Dreszera była spełniła poruczone jej zadanie. Ciężar walki jego zdaniem znajduje się na froncie północnym, szczególnie zaś na odcinku, który on zajmuje.

Na plac boju udało się z nami także dwóch wyższych oficerów francuskich. Mówiąc o oficerach francuskich do armii przydzielonych, gen. Sikorski wyrażał się o nich z największym uznaniem, twierdząc że oni okazują niesłychaną odwagę i pracują tak pilnie i gorliwie, że oficerowie polscy powinni z nich brać przykład.

W MIEŚCIE

Prezydium Rady Miejskiej w Warszawie zaniepokojone położeniem zwołało wielki wiec, zapraszając do wzięcia udziału wszystkich obywateli miasta bez różnicy wyznania i poglądów politycznych. Osobna delegacja przyszła do mnie z prośbą o uczestnictwo. Odmówiłem wiedząc, że znaczna część mieszkańców stolicy jest dość niechętnie do mnie usposobiona, a przy tym akcję podobną uważałem za mało poważną. Postanowienie swoje zmieniłem dopiero na usilne prośby prezydenta miasta Drzewieckiego.

Kiedy przybyłem na Plac Teatralny zgromadzenie było w całej pełni. Do zgromadzonych kilku tysięcy ludzi przemawiał jakiś pułkownik z byłej armii rosyjskiej bez wielkiego sensu ale z bardzo dużą buńczucznością. Gdyby miały ważyć słowa niezawodnie bolszewicy uciekliby natychmiast spod Warszawy. Poważniej znacznie przemówił radny miasta p. Jaworowski, wzywając do zgodnej pracy i wysiłków przede wszystkim robotników.

Marszałek Sejmu Trąpczyński mówił krótko, jasno i mocno zapewniając zebranych, że Sejm i kraj zrobią wszystko co w ich mocy dla obrony stolicy i zapewnienia państwu zwycięstwa. Po nim ja zabrałem głos.

Zaraz na wstępie zaznaczyłem, że najwyższy czas skończyć z wiecami i gadaniem, bo one nie dają żadnego rezultatu, ani realnego pożytku. Siła może być odparta tylko siłą, a gwałtem. Wprawdzie ze słów mają się rodzić czyny, ale dotąd słów padło już bardzo wiele a czynów urodziło się znacznie mniej. Nieprzyjaciół każdy przestanie być straszny, jeżeli naród nie tylko uwierzy w swoją siłę, ale ją wrogowi przeciwstawi. Zjednoczenie się całego Narodu, wszystkich jego klas i stronnictw

daje nam pewność, że zwycięstwo musi być po naszej stronie. Stolica państwa powinna świecić najlepszym przykładem. Mimo że przemówienie moje było bardzo chłodne, spotkało się z długimi oklaskami.

Z wiecu poszedłem prosto na posiedzenie Rady Ministrów. Przedmiotem stałym naszych obrad była sytuacja w kraju, a zwłaszcza w stolicy, wytworzona wskutek zmnożonej działalności żywołów wywrotowych, w pierwszym rządzie komunistów. Min. Skulski na podstawie sprawozdań i raportów jakie otrzymał, zobrazował położenie, przedstawiając je jako bardzo ciężkie a nawet groźne...

Po południu tego dnia przybył do mnie nuncjusz papieski, ekscelencja Ratti, panujący obecnie papież. W rozmowie ze mną okazywał bardzo wiele życzliwości, sentymentu dla katolickiej Polski i rycerskiego polskiego narodu, ubolewając nad ciężkimi doświadczeniami jakie on teraz przechodzi. Radził zdać się mimo wszystko na łaskę Opatrzności Boskiej, która wierzących nigdy nie zawodzi. Czułem, że mówił zupełnie szczerze, nie siląc się na dobieranie słów i zwrotów.

Po dłuższej rozmowie zapytał mnie imieniem ciał dyplomatycznych bardzo delikatnie, czy dla Warszawy istnieje jeszcze niebezpieczeństwo bolszewickie, czy rząd polski zostaje w stolicy i co radzi przedstawicielom państw obcych. Zdawałem sobie dokładnie sprawę z tego co oznacza pytanie księdza Nuncjusza postawione mi w tym czasie i w tej formie, ale siląc się na pewność siebie i na spokój, podziękowałem mu za życzliwość i oświadczyłem, że rząd nie ma zamiaru opuszczać Warszawy, a gdyby przyszło do ostateczności, to go o tym dostatecznie na czas powiadomi. Ksiądz Nuncjusz podziękował mi i wyszedł, obiecując się modlić za nasze zwycięstwo.

.....Min. Skulski informując o wydanych zarządzeniach zaznaczył, że położenie w samej Warszawie uległo zmianie na lepsze. Główny komendant policji zawiadomił go, że zna nie tylko zamiary komunistów, ale także lokale, w których oni odbywają narady i zebrania, udało się też policji spomiędzy ich ludzi uzyskać konfidentów, wobec czego może obecnie w każdej chwili ich wyłowić i poaresztować. Sądzi, że nie należy się z tym śpieszyć, dopóki wszystkie wiadomości nie zostaną zebrane. Znamienne, że wzniecanie pożarów jest równoczesne z obradami komunistów. W końcu zaznaczył, iż może jeszcze w nocy uda mu się gniazda i zamiary komunistów zlikwidować.

Daszyński proponował, żeby przed mieszkańcami członków rządu postawić silniejsze stráže wojskowe, gdyż według jego wiadomości są zamierzone wobec nich akty terroru, a nawet zo-

stali wyznaczeni ludzie, którzy mają zamachów dokonać. Zwłaszcza ma to dotyczyć Witosy, Daszyńskiego, Skulskiego, Sapięhy i Sosnkowskiego.

Narady przeciągały się bardzo długo, a gdyśmy się rozchodzili już grubo po północy Skulski zauważył: „Przeżywamy noc straszną nie wiedząc jak będzie wyglądała następna. Czuję że-śmy się jeszcze nigdy nie rozchodzili w tak ciężkich okolicznościach, mimo to wierzę, że nas bolszewicy nie wezmą”. Zdanie Skulskiego podzielałi wszyscy wyrażając nadzieję, że jeżeli tę noc przebędziemy szczęśliwie, to na drugą możemy odetchnąć swobodniej. Może za godzinę Skulski zatelefonował do mnie, że policja ma już w ręku wszystkich wybitniejszych komunistów i zabrane im dokumenty, z których wynika, że byli oni w ścisłym porozumieniu z dowództwem armii bolszewickiej. Wobec tego co się stało w ostatnich godzinach, położenie Warszawy uważa za zupełnie opanowane. Ministrowie zegnając się kilkakrotnie w końcu się rozeszli.

Gdy za ostatnim z nich wyszedłem na dziedziniec Prezydium Rady Ministrów, zegary miejskie wydzwaniały godzinę trzecią po północy. Od wschodniej strony zaczął się różowić bardzo lekki świt. Dziedziniec był obstawiony gęsto policją i placówkami wojskowymi. Kiedy skierowałem się w stronę ulicy, zbliżył się do mnie komendant oświadczając, że nie może mnie samego puścić, gdyż minister uczynił go osobiście odpowiedzialnym za moje bezpieczeństwo. W końcu się zgodził, by za mną w odpowiednim oddaleniu postępowało dwóch żołnierzy.

Po mieście krążyły bardzo liczne i silne patrole wojskowe i policyjne. Przelatujące samochody z oficerami i urzędnikami stwierdzały, że władze nie tylko czuwają, ale są przygotowane na wszelki wypadek. Nie spała tej nocy uważana za lekko-myślną Warszawa. Mówiły o tym oświetlone mieszkania prawie we wszystkich domach, na kilku ulicach, którymi przechodziłem. Na ulicy Koziej policjant zażądał ode mnie legitymacji, kiedy mu ją dałem, popatrzył na nią, oddał mi bez przeczytania i pozostał na miejscu. Widocznie jednak ktoś mu zwrócił uwagę, bo przyszedł bliżej do mnie, stanął ale nie miał odwagi nic powiedzieć. Podobno nazajutrz dostał od Skulskiego przykłądną naukę. Resztę nocy spędziłem na balkonie domu i w ogrodzie starając się uporządkować cisnące się w nieładzie myśli.

DRUGI DZIEŃ

Przybyły nieco później gen. Rozwadowski przyniósł wiadomość, że w ciągu nocy w okolicy Radzimina nastąpiła zmiana na lepsze, a on jest pewny, że nowe siły jakie z części armii gen. Hallera weszły już w akcję, dadzą sobie łatwo radę z przeciwnikiem. Zresztą ostatnie meldunki to mu już potwierdzają. Go-

rzej natomiast jest w okolicy Okuniewa, gdzie bolszewicy rozpoczęli bardzo silny atak. Siły nasze na tym odcinku są stosunkowo słabe, mogą więc wystarczyć do stawienia oporu i za-trzymania pochodu bolszewickiego, ale nie mogą przejść do działań ofensywnych, co jest ich zadaniem.

Prawdziwą karą bożą stały się różne delegacje, które mnie w tym czasie nachodziły stale, a w tym dniu szczególnie posy-pały się jak z rogu obfitości. Każda z nich przychodziła ze skar-gami, planami, projektami. Wszystkie niemal starały się przed-stawić położenie w kraju i na froncie w jak najczarniejszych barwach. Każda z nich radziła po swojemu, oskarżała słusznie i niesłusznie, sama jednak nie chciała zwykle żadnej roboty się podjąć. Mając zamiar wyjechać na front starałem się z tymi delegacjami załatwić jak najprędzej, tamując niekończące się potoki wymowy, lub doradzając gadatliwym, by swoje wnioski, rady, oskarżenia sformułowali na piśmie. Wielu poszło za moją radą, ale jeszcze więcej obraziło się na mnie śmiertelnie, narze-kając na chamskie postępowanie, nawet wobec woźnych.

Zaraz po moim powrocie do Warszawy przybył gen. Roz-wadowski. Obawiając się znowu nowych niepomyślnych wiado-mości, patrzyłem na niego z dużym niepokojem, starając się to poznać z jego twarzy. Był jak zawsze pewny siebie, uśmiechnięty. Zaznaczył szybko, że dziś przynosi mi same dobre wiado-mości. A to: Piłsudski nalegany przez niego i Weyganda zde-cydował się na rozpoczęcie ofensywy o jeden dzień wcześniej i już jest w pełni akcji, która postępuje nadzwyczaj szczęśliwie. Gen. Sikorski po bardzo ciężkich walkach z ogromną przewagą nieprzyjaciela, nie tylko zdołał przerwać otaczającą go już obręcz bolszewicką, ale zmusił ich do opuszczenia zajętych stanowisk i zupełnej zmiany pierwotnych planów. Wielkie odciążenie na-stąpiło także na froncie gen. Hallera. Obecnie p. Rozwadowski ma tylko jedno zmartwienie, ażeby bolszewicy zbyt szybko nie uciekali. Ja tego zmartwienia nie miałem.

DO POZNANIA

W czasie tej rozmowy przybył min. Skulski zaznaczając, że ma do mnie pilną i ważną sprawę, o której resztą może mówić w obecności gen. Rozwadowskiego. Według sprawozdań jakie otrzymał z Poznańskiego, agitacja przeciw rządowi, a jesz-cze więcej przeciw Piłsudskiemu zaczyna przybierać niepokojące rozmiary. U niego w biurze jest jeden z posłów, człowiek po-ważny i bezstronny, który zaniepokojony tym co się dzieje, przybył umyślnie by go uprzedzić. Tak on jak i inni zupełnie wiarygodni ludzie twierdzą, że prowadzi się tam wyraźną agi-tację za obaleniem rządu i usunięciem Piłsudskiego. Nie brak

i takich, co z dowodami w ręku stwierdzają, że grupa tamtejszych separatystów robi przygotowanie do oderwania Poznńskiego od reszty Polski i utworzenia niezależnego państwa, czekają tylko na chwilę sposobną. Spodziewa się że w tych wiadomościach jest wiele przesady, ale sam fakt przyłączenia się do tej akcji człowieka tej miary co prałat ks. Adamski, musi budzić wielki niepokój.

Zupełnie rozmyślnie głoszone wieści o klęskach wojsk polskich na froncie, o zaprzędanu się Piłsudskiego wrogom, wywoływać muszą ogromny niepokój. Niektórzy ludzie twierdzą, że całej tej robocie ma jakoby patronować Roman Dmowski. Zachowanie się ministra byłej Dzielnicy pruskiej Kucharskiego jest także bardzo niewyraźne. On zna dobrze endeków, ich taktykę i postępowanie i dlatego obawia się najgorszych następstw zwłaszcza w tym czasie. Jako jedyny środek zaradczy uważa natychmiastowy wyjazd do Poznania, chociażby tylko na jeden dzień. Gen. Rozwadowski był tego samego zdania, zaznaczając, że polepszone stosunki na froncie pozwalają mi na wyjazd i ułatwiają zadanie. Min. Skulskiemu obiecałem dać odpowiedź wieczorem. Do wyjazdu wcale nie miałem ochoty, wiedząc że tam nic nie zrobię, a przy tym nie wierzyłem żeby endecy byli do podobnej roboty zdolni. Wiedziałem poza tym, że minister Skulski do tego stronnictwa miał stale jakieś uprzedzenie. Moi bliźsi przyjaciele odradzali mi także wyjazd twierdząc, że mnie tam na pewno spotka jeśli nie wyraźnie wrogie przyjęcie, to co najmniej bardzo niemili afront, gdyż niemal całe tamtejsze społeczeństwo jest usposobione wrogo nie tylko do Piłsudskiego, ale także do rządu i do mnie. Posłowie należący do Narodowej Partii Robotniczej potwierdzili tę opinię, ale uważali że właśnie dlatego powinienem jechać. Nie namyślając się dłużej zgodziłem się na wyjazd, zawiadamiając min. Skulskiego, ażeby mógł przygotować co należy, bo już nie wiele pozostawało czasu.

W POZNANIU

Przyjechałem wczesnym rankiem do Poznania w towarzystwie p. Studzińskiego i jednego z sekretarzy. Na dworcu była prawie zupełna pustka. Rozglądając się, zobaczyłem tylko małą grupkę obserwujących mnie kolejarzy i dwóch policjantów pełniących jak zwykle swoją funkcję. Niecierpliwy szef Prezydium Rady Ministrów, pan Studziński, widząc jak mnie potraktowano zadygotał z oburzenia.

Dopiero przy wyjściu z dworca powitała mnie liczna grupa włościan, a dziewczęta wiejskie wręczyły mi wieniec kwiatów. Druga grupa chłopów przybyła do mnie z chlebem i solą. Jeden z włościan wygłosił przy tym krótkie, mocne przemówienie i nawiązując do czasów zaborczych, przypomniał jak to ziemiaństwo i wyższe sfery społeczne uniżenie odnosiły się do każdego marnego urzędnika, a jak teraz do swojego Prezydenta Ministrów.

W czasie tego przemówienia nadszedł min. Kucharski, tłumacząc swoje spóźnienie zupełnie błahymi powodami. Z nim razem przybyło też kilku jego urzędników. Z wojskowości widziałem jednego oficera stojącego w dużym oddaleniu. Nieco później zjawiła się policja i trochę ciekawych, chcących pewnie zobaczyć jak ten cham wygląda. Robiąc dobrą minę, byłem tym postępowaniem zaniepokojony i przybity.

Prosto z dworca pojechałem z ministrem Kucharskim na zamek. Po drodze informował mnie, że miały się zgłosić bardzo liczne delegacje, ale on uważa za swój obowiązek uprzedzić mnie, że mogą one być bardzo rozgoryczone. Na podwórzu zamkowym znany mi poseł z Narodowej Partii Robotniczej szepnął mi po cichu, ażebym się miał na baczności, ponieważ tak ze strony Związku Ludowo-Narodowego jak i ks. Adamskiego jest przygotowany atak w celu skompromitowania mnie i rządu. Podziękowałem mu za ostrzeżenie nie przypuszczając ażeby podobna rzecz była możliwa. Wszedłszy do zamku spotkałem się najpierw z delegacją włościan liczącą blisko 200 osób. Przywitali mnie grzmiącymi oklaskami. Za nimi szli inni. Rozpoczęły się długie i nudne audyencje.

Wnet spostrzegłem, że zwolennicy Narodowej Demokracji rozbili się na kilka grup, z których każda męczyła mnie różnymi zarzutami na swój sposób postawionymi. Najbardziej nahałym okazał się przedstawiciel stronnictwa mieszczańskiego niejaki p. Głowacki. Wysypał on jednym tchem cały szereg ciężkich, niesprawdzonych zarzutów; przeciw Piłsudskiemu, wojskowi i rządowi, pytając się mnie bardzo energicznie, co ja o tym myślę i co zamierzam zrobić. Odpowiedziałem, że tak p. Głowackiemu jak każdemu innemu obywatelowi przyznaję prawo krytyki, jednak jego zachowanie się uważać muszę za przekroczenie dozwolonej miary, a przy tym tak nieprzystojne, że w dyskusję z nim wcale się wdawać nie będę. Natomiast powiedziałem mu bez ogródek, że Polska będąca obecnie w ciężkim położeniu na swoje wielkie szczęście ma nie wielu takich obywateli co pluja na wszystko i na wszystkich, nie dając w zamian nic lepszego. Rady p. Głowackiego byłyby może bardzo cenne i pożyteczne, gdyby z nimi wystąpił był wcześniej, rząd zaś który by na nie czekał i pytał się wszystkich Głowackich o radę wtenczas kiedy trzeba działać, byłby zapewne uczynił Polsce największą szkodę. Ze swoich czynów i posunięć zda rząd rachunek na właściwym miejscu, a teraz nie czekając na spóźnione rady stara się, jak umie i może, spełnić swój obowiązek. Do jego żądań ani nie chcę ani nie mogę się zastosować, podobną robotę zaś uważam za wielce szkodliwą i muszę ją bezwzględnie potępić. P. Głowacki nie powiedziawszy więcej ani słowa, ukłoniwszy się bardzo niedbale wyszedł.

Ks. prałat Adamski, który przybył z bardzo liczną delegacją, zachował się zupełnie bez zarzutu, ponawiając swoje żądania, które przed paru tygodniami przesłał Radzie Obrony Państwa w osobnym memoriale. W odpowiedzi oświadczyłem mu,

że jakkolwiek on i inni mają niezawodnie wiele słuszności, to co do sposobu postępowania, zwłaszcza w tym czasie nie mogę się z nimi zgodzić, gdyż za naczelne zadanie moje i rządu uważam obronę całości i niepodległości Państwa, a wszystkie spory i dyskusje, które wychodzą poza te ramy muszę na bok usunąć. Moim prawem i obowiązkiem jest żądać, aby mimo obiekcji jakie mają uznali wszyscy obywatele Piłsudskiego Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, dopóki on te stanowiska zajmuje. Wszelkie zaś wystąpienia podrywające jego powagę i autorytet uważam za zbrodnie przeciw państwu. Kiedy skończyłem ks. Adamski opuścił natychmiast salę zimny i sztywny.

Narodowej Partii Robotniczej reprezentowanej przez kilku członków złożyłem również podobne oświadczenie, które się zresztą pokrywało z jej przekonaniem. Bardzo liczna delegacja włościan, która przybyła później na obszerną salę, oświadczyła swoją bezwzględną solidarność z rządem i przyrzekała bronić państwa bez względu na ofiary. Po wyjściu chłopów zawiadomił mnie sekretarz, że kilku czupurnych z delegacji wycofało się na wieść o moim „nietaktownym” postępowaniu.

ZGROMADZENIA

Nie wiem z jakimi intencjami zgłosili się zaraz przedstawiciele Związku Ludowo-Narodowego, Narodowej Partii Robotniczej i Chrześcijańskiej Demokracji, prosząc abym zechciał przemówić na ich zebraniach, które zostały na ten dzień zwołane. Ponieważ im powiedziałem, że nie zamierzam na żadne partyjne zgromadzenia chodzić, każde z tych stronnictw tłumaczyło, że zebrania te mają za swoje zadanie tylko cel ogólny.

Mimo że min. Kucharski wyrażał obawę co do mojego publicznego wystąpienia z powodu panującego rzekomo nieprzyjaznego nastroju wobec mojej osoby, postanowiłem pójść na wszystkie zebrania. Pomimo zapowiedzi i ostrzeżeń byłem przekonany, że ludność zachowa się zupełnie spokojnie o ile on albo ktoś inny z przywódców nie wyda komendy. Tak się też stało. Miałem zresztą już próbę.

Po wyjściu z sali audiencyjnej spotkałem na podwórzu zamkowym olbrzymie tłumy ludności, które manifestowały na moją cześć, domagając się mojego przemówienia. Poinformowałem mnie zaraz, że to mają być przeważnie zwolennicy Narodowej Partii Robotniczej, którzy się gromadzili po odbytych wiecu. Ulegając natarczywym prośbom zabrałem głos. W parominutowym przemówieniu napiętnowałem wszelkie dążności odśrodkowe i warcholskie wybryki, oświadczałem w końcu, że odniesiemy na pewno zwycięstwo nad bolszewikami, jeżeli tylko naród będzie tego naprawę chciał. Zazaczyłem z naciskiem, że z chwilą gdy Polska stała się wolna i zjednoczona, obowiązkiem każdego Polaka bez wyjątku jest obrona jej bytu, całości granic, bez względu na to od kogo i skąd zagraża niebezpie-

czeństwo. Pod Warszawą broni się nie tylko stolicy, ale także Poznań, Toruń, Kraków. Wodźów można a nieraz trzeba zmieniać, ale dopóki oni są, w interesie nie ich ale państwa, należy się im bezwzględny posłuch i poparcie. To powinien każdy dobry obywatel państwa nie tylko zrozumieć, ale się i do tego ściśle zastosować. Przemówienie moje przerywano wielokrotnie grzmiącymi oklaskami gromadzących się coraz większych tłumów. Po skończeniu przemówienia z wielkim trudem wydostałem się spośród nich, gdyż chciały mnie jak najdłużej zatrzymać.

PO PRZYJEŹDZIE

Przybywszy do Warszawy zastałem znacznie zmienione położenie. Gen. Rozwadowski zakomunikował mi, że według umówionego planu, pomiędzy nim a Piłsudskim i Weygandem, rano w dniu 17 sierpnia wyszło spod Warszawy uderzenie kilku batalionów zaopatrzonych w pociągi pancerne i czołgi w stronę Mińska Mazowieckiego, który też wieczorem został zajęty. Gen. Haller wszedł do Mińska z czołowymi oddziałami.

Wojska frontu środkowego już w pierwszym dniu walki pod komendą Piłsudskiego rozbiły grupę mozyrską, która im stanęła na drodze, a następnie znosząc liczne mniejsze oddziały bolszewickie, postępowaly z niesłychaną szybkością, tak że już dnia 17 sierpnia w walce z 16-tą armią bolszewicką, prawie równocześnie z Hallerem, dotarły do Mińska. Opowiadając mi to wesoło i wielkie zdarzenie, gen. Rozwadowski z miną triumfującą nie omieszkął mi przypomnieć, że on przecież miał rację. Nie mogłem mu tego rzecz oczywista odmówić.

Wypadki postępowaly z coraz większą szybkością. W nocy na 18 sierpnia armia bolszewicka rozpoczęła ogólny odwrót spod Warszawy; inne jej części cofały się już wcześniej pod naporem wojsk gen. Sikorskiego. Losy przeważały się w sposób widoczny.

U NACZELNIKA PAŃSTWA

Pan Piłsudski dowiedziawszy się o naszym pobycie w Siedlcach, uprzedził mnie zapraszając do siebie na rozmowę i na obiad. Uczynił nam tym dużą wygodę, gdyż w mieście nie można było nic dostać. Naczelnym Wodzem, omawiając przebieg operacji wojennych przez jego armię prowadzonych, zaznaczył, że postępują one bardzo szybko i rozwijają się planowo. Wojsko trzyma się dzielnie, mimo forsownych marszów i niesłychanych trudów. Gdyby nie nadzwyczajne zmęczenie i braki mógłby bolszewikom odciąć zupełnie drogę do odwrotu tak, że całej ich armii zostałoby do wyboru, albo się poddać albo też prze-

kroczyć granicę Prus Wschodnich. Gdyby wszystkie części armii polskiej były zdolne spełnić w całości swoje zadania, ma nadzieję, że można by tego dokonać. Po ciężkich przeprawach, jakie miały niektóre oddziały, nieprzyjacieli cofa się tak pośpiesznie, że nie zawsze można za nim nadążyć. Znaczne i liczne oddziały bolszewickie nie mając łączności po przejściu naszych wojsk pozostały po lasach nawet z artylerią i są dopiero teraz wyłapywane, a wskutek niedostatecznych naszych sił, często się wymykają i uchodzą za Bug. Najczęściej jednak poddają się sami.

W czasie naszej rozmowy zameldował oficer Piłsudskiemu, że delegaci jednego z takich blakających się oddziałów zgłosili się z pismem od swojego komendanta, iż się poddaje, stawiając niektóre warunki. Zaraz wysłano tam duży i dobrze uzbrojony oddział z odpowiednimi instrukcjami. Piłsudski zaznaczył, że główne siły jego armii znajdują się już koło Sokołowa, w pełnym pościgu za nieprzyjacielem. Po omówieniu z nim kilku spraw postanowiłem się tam udać. W usposobieniu Piłsudskiego zauważyłem dużą zmianę od czasu jego wyjazdu z Warszawy. Minęła depresja i przygnębienie, wróciła mu pewność siebie, która się też ujawniła w traktowaniu nas z pewną wyniosłością.

Wincenty WITOS

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
zamówienia.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I INNYCH KRAJÓW.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Kronika kulturalna

Kongres Pen-Clubu w Wiedniu

(Korespondencja własna „Kultury”)

W dniach od 12 do 19 czerwca odbył się w Wiedniu 27-my z kolei doroczny kongres Pen Clubów. Jakkolwiek wiele osób zapatruje się krytycznie na tę organizację, uważając że jest ona przebrzmiała a nawet martwa, to jednak narady wiedeńskie zadały w dużej mierze klam tej teorii. Kongres wiedeński był żywy zarówno w swojej dyskusji i odczytach — o wiele bardziej aniżeli narady w Dublinie w roku 1953. — jak i w walkach zakulisowych, jeżeli wierzyć niedyskrecjom prasy wiedeńskiej. Udział delegatów był liczny, a zainteresowanie okazywane dla organizacji przez kraje Azji, głównie Indie, Pakistan, Indonezję i Japonię, okazało się rzeczą bynajmniej nie przelotną. I ten bodaj fakt, że Pen Club po drugiej wojnie rozszerzył się na wolne kraje Azji, Bliskiego i Dalekiego Wschodu, jest może najbardziej pocieszającym momentem i dodał tej organizacji bodźca i życia. Pen Club staje się coraz bardziej miejscem spotkania Europy, obu Ameryk i Azji, co, jak sądzę, nie jest rzeczą obojętną dla żadnej prawdziwie światowej wymiany kulturalnej.

Drugim ciekawym momentem był liczniejszy aniżeli w roku ubiegłym — w czasie kongresu amsterdamskiego — udział krajów spoza żelaznej kurtyny. Przyjechała spora delegacja polska, dwuosobowa delegacja czeska i dwuosobowa delegacja węgierska.

Prasa węgierska zdradziła, że na zebraniach egzekutywy Pen Clubu odbywały się ostre walki wokół rezolucji, zgłoszonej przez pisarzy z Niemiec Wschodnich, a dotyczące bomby atomowej i wodorowej. Ta sama prasa dała do zrozumienia, że cała ta rezolucja doznała porażki i to poważnej, albowiem nigdy nie wyloniła się ona na plenum. Dowodzi to, że Pen Club odzegnał się od podejrzanych politycznych prób, które mogły tylko narazić na szwank jego prestiż.

Równocześnie jednak na otwarciu zjazdu międzynarodowego prezes Pen Clubów znany pisarz i dramaturg angielski, Charles Morgan, wygłosił w teatrze in der Josephstadt przemówienie o bardzo zdecydowanym charakterze. Powiedział on mianowicie, że Pen Club dał schronienie pisarzom-emigrantom, tworząc nowy ośrodek pod mianem: Centre for Writers in Exile z siedzibą w Londynie i że istnienie takiego gniazda jest bardzo znaczące dla sprawy wolności słowa w naszych czasach. Charles Morgan wspominał, że w czasie narad w Amsterdamie w roku 1954 napomykano, iż w Rosji sowieckiej mogłoby powstać centrum PEN-u. Gdyby istotnie miało dojść do tego, mówił Morgan, to należałoby zapytać czy kraj totalny,

jakim jest Rosja sowiecka, spełnia istotnie warunki wyluszczone w statucie PEN-u, a zatem czy daje pisarzom swoim wolność tworzenia? Czy można dopuścić do naszego grona, zapytał Morgan, autorów, którzy są „narzędziami tyranii”? Zanim Rosja sowiecka mogłaby wprowadzić swój PEN do grona istniejących już ośrodków należałoby postawić jej otwarcie cały szereg pytań. Jesteśmy liberałami powiedział Morgan, ale liberalizmu nie należy mieszać z „moralnym tchórzostwem”. Są chwile kiedy trzeba okazać odwagę moralną, a wolni pisarze świata mają w tej mierze większe obowiązki niż inni obywatele.

Mowa Morgana spotkała się z burzliwymi oklaskami w Wiedniu, który przeżywa gorączkę „wyzwolenia” i cieszy się z zawartego właśnie traktatu państwowego — czekając chwili, kiedy wyprowadzą się z Austrii oddziały obce; a ściśle mówiąc oddziały jednego tylko państwa, którego okupację Austrii uważała i uważa za istotną okupację. Przypuszczać wolno, że mowa Morgana nie podobala się pewnym delegatom i pewnym lekkim duchom. Prasa wiedeńska znowu donosiła, że na tle mowy Morgana doszło do burzliwych obrad egzekutywy PEN-u. Okazało się jednak, że wszelkie próby ubicia kapitału politycznego z śmiałej mowy Morgana speliły na niczym, albowiem znowu nic nie wypłynęło na forum zebrań publicznych. Na końcowej sesji Kongresu, która odbyła się w Audytorium Maximum uniwersytetu wiedeńskiego Charles Morgan podkreślił, że w swojej mowie powitalnej wyraził własne poglądy, do których ma pełne prawo i że jeżeli swoimi uwagami „dotknął kogokolwiek, prosi o wybaczenie”. Było to po ciągnięciu prawdziwego gentlemiana.

Temat literacki kongresu opiewał: „Teatr jako wyraz naszej epoki”. Wygłoszono szereg referatów: znany krytyk dramatyczny Stanów Zjednoczonych, Elmer Rice, mówił o głównych tendencjach teatru amerykańskiego; krytyk teatralny z Londynu, Hope-Wallace, dał przegląd osiągnięć współczesnego teatru angielskiego; Dr Csokor, prezes austriackiego PEN-u, znany dobrze w Polsce przedwojennej, albowiem po *Anschlussie* wyjechał do Polski i przełożył m. in. „Nieboską Komedie” na niemiecki, dał charakterystykę teatru współczesnego i zadań dramaturgii w dobie obecnej. Niemiecki historyk literatury, prof. H. Mayer, przedstawił wielkie linie teatru niemieckiego od Gerharda Hauptmanna aż do Brechta. Pisarka francuska, księżna de la Rochefoucauld, mówiła o tendencjach teatru francuskiego w dniu dzisiejszym i pewnych zasadniczych problemach w jakich lubuje się teatr naszej ery. Delegatka grecka, pani Ouranis, zapoznała słuchaczy z dziejami odbudowy teatru antycznego w swoim kraju. Arnold Zweig, delegat z Niemiec wschodnich, autor głośnej ongiś powieści „Spór o sierżanta Griszę”, wspominał o urazie jaki wojna wywołała w umysłowości dramaturgów. Zbigniew Grabowski, delegat Centre for Writers in Exile, mówił po angielsku o różnicach w tematyce teatru po pierwszej i po drugiej wojnie światowej.

Delegacja polska składała się z następujących pisarzy: Jana Parandowskiego, Michała Rusinka, Seweryny Szmaglewskiej, Kazimierza Brandysa, Gustawa Morcinka, Jacka Bocheńskiego. Na liście zgłoszonych delegatów była jeszcze Maria Dąbrowska, która przyjechać nie mogła. Antoni Słonimski nie był zgłoszony najazd tegoroczny, a Jarosław Iwaszkiewicz przebywał w tym czasie w Paryżu z trupą teatralną na Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym.

Delegacja polska składała się zatem w połowie z pisarzy dawnej daty, jak Parandowski, Rusinek i Morcinek, przy czym Parandowski jest dobrze znany zagranicą jeszcze sprzed wojny i kieruje od lat sprawami Polskiego PEN-u. Szmaglewska, autorka doskonałej relacji „Dymy nad Birkenau”, debiutowała po wojnie; K. Brandys zyskał sobie nazwisko po wojnie; Jacek Bocheński jest bardzo młodym autorem na dorobku.

Fakt, że Polska wysłała tak liczną delegację spotkał się, rzecz oczywista, z żywymi komentarzami zebranych na zjeździe wiedeńskim. Nawet Niemcy wschodnie nie były tak licznie reprezentowane (przyjechało trzech czy czterech delegatów centrum z Niemiec wschodnich; nie zjawili się najgłośniejszy autor tych Niemiec, Brecht). Delegacja czeska składała się z autorki, która jest znana tylko w Europie wschodniej (Pujmanova) i autora, który nie specjalnego nie mówił kołom kulturalnym Europy (Rezac). Podobnie miała się rzecz z dwoma Węgrami. W tym zatem zespole delegacja polska wyróżniała się tym, że miała w swoim gronie autorów, których prace przekładane były na języki obce (Parandowski, Szmaglewska), albo którzy zabierali głos na Kongresie. Michał Rusinek mianowicie wygłosił po francusku referat o dorobku teatru polskiego w ubiegłych dziesięciu latach. Delegacja polska zjawiała się na wszystkich posiedzeniach i przyjęciach, których w Wiedniu nie brakło i w żadnej mierze nie izolowała się od innych delegacji czy delegatów, co zwracało uwagę np. u zespolów czeskiego i węgierskiego.

Poza przemówieniem Rusinka warto wymienić mowę Jana Parandowskiego na zebraniu w Audytorium Maximum w dniu zamknięcia Kongresu. Była to dobra okazja, niestety, nie została należycie wykorzystana. Parandowski mówił bowiem, po francusku, o Mickiewiczu z okazji uroczystości setnej rocznicy zgonu poety. Zamiast jednak nakreślić w ramach swego dziesięciminutowego przemówienia sylwetkę poety i dramaturgii, Parandowski odczytał tekst swego referatu, napisanego z okazji wydania przez UNESCO książki na cześć Mickiewicza. Było to zasadnicze nieporozumienie: tekst pisany do tego rodzaju książki nie jest odpowiedni dla audytorium, które nie zasadniczo o Mickiewiczu nie wiedziało, ale na pewno chciałoby się czegoś o nim dowiedzieć. Bardzo często autorzy nasi nie odróżniają przemówienia od lektury, mowy od referatu; jak należy mówić na takiego typu zebraniach pokazał niezawodny Francuz, André Chamson, którego mowa wygłoszona zaraz po Parandowskim porwała salę. Ale dobrze się stało, że jakoś obecność literatury polskiej została zaznaczona. Należałoby sobie życzyć, ażeby na przyszłym kongresie, który ma odbyć się w Londynie, lepiej przygotowano taki polski „występ”.

Pojawienie się tak licznej delegacji polskiej na wiedeńskim 27-ym z kolei kongresie PEN-u, było, jak zaznaczyliśmy, tematem licznych komentarzy. Upatrywano w tym dowodu postępującej „odwilży”. Należy się cieszyć, że pisarzom polskim umożliwiono wzięcie udziału w manifestacji kulturalnej, która nie była bez swojej wymowy i znaczenia zwłaszcza jeżeli się zważy, że odbyła się w Wiedniu, na tle niedawno zawartego traktatu, który daje Austrii nowe podstawy do stania się wielkim ośrodkiem kultury odbudowującej się Europy.

Wiedeń, w czerwcu 1955.

Książki

Mandaryni, komunizm, koegzystencja

Nie minął rok od wydania „Mandarynów” Simone de Beauvoir (Gallimard, 1954) a oto widzimy autorkę i jej bohaterów w pełni akcji. Słowo „akcja” jest tu zresztą kluczowe. Akcją intelektualisty jest słowo. Ambicją francuskiego intelektualisty w r. 1955 jest aby jego słowo było akcją. Łatwo tu zabawić się w ironię. Dla kilkuset czy kilku tysięcy osób w Paryżu artykuły Sartre’a w „Temps Modernes” o komunizmie były wydarzeniem politycznym pierwszorzędnej wagi. Sporo w tym prowincjonalnego uniwersalizmu, charakterystycznego dla współczesnej Francji. Ale nie trzeba również zapominać że nigdzie bodaj myśl nie ma potężniejszego wpływu jak w tym kraju. Nie na przywódców komunistycznych oczywiście, ani na członków rządu, ani na posłów drzemających w Palais-Bourbon. Ale na inteligentną elitę, której opinie wytwarzają pewien klimat. W Ecole Normale Supérieure, wylęgarni mandarynów i managerów większość studentów ma sympatie prokomunistyczne. Przyszli profesorowie uniwersytetów, dyrektorowie koncernów, sterują swój kurs ideowy według busoli „Temps Modernes” czy „Esprit”. Tak że trudno lekceważyć te rozprawy jako scholastyczne dyskusje oddalone od rzeczywistości. Tyle o wpływie tych kilku książek czy artykułów. Ale można na nie spojrzeć również z innego punktu widzenia, który wydaje się bodaj ważniejszy. Intelektualiści francuscy reagują na każdą zmianę sytuacji światowej. Kilka pism, kilkunastu pisarzy stanowi barometr politycznego klimatu świata. Jeśli pomiędzy majem i sierpniem 1955 wybucha niezmiernie złożona dyskusja której centralnym tematem jest stosunek do komunizmu (a na ten temat dyskutuje się w Paryżu zajadle od dziesięciu lat), to chyba dlatego że wytworzyła się sytuacja nowa, że przybyły po obu stronach nowe argumenty. Śmierć Stalina, rehabilitacja Tito, „Nowy Kurs” w Sowietach i klimat koegzystencji — to wszystko ciekawie się odzwierciadla w paryskich miesięcznikach, pozornie interesujących się głównie teoriami.

Książki i artykuły, którym poświęcamy ten przegląd mają związek tematyczny i ukazały się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Przedstawiają one pozycje krańcowo różne. Ale pomiedzy głównymi uczestnikami istnieją ciekawe powiązania. Pierwszym miesięcznikiem literacko-społecznym założonym po uwolnieniu Francji, w roku 1945, były „Les Temps Modernes”. Założycielami byli Jean-Paul Sartre, Maurice Merleau-Ponty i Raymond Aron. Drogi, jakie przebyli ci trzej myśliciele w ciągu ostatniego dziesięciolecia odzwierciadlone są w ich ostatnich wystąpieniach. Sartre zdecydował się na solidarność z komunizmem, zachowując sobie prawo krytykowania go, z którego zresztą coraz rzadziej korzysta. Merleau-Ponty, profesor filozofii na Sorbonie, który w swej słynnej książce *Humanisme et Terreur* (Gallimard, 1947) położył filozoficzne podwaliny pod stanowisko wszystkich intelektualnych sympatyków komunizmu („Marksizm nie jest jedną z filozofii historii, ale jedyną filozofią historii i odwrócić się od niego, to postawić krzyżyk na racji historycznej”) — wydaje dziś książkę w której formułuje nowe ideologiczne stanowisko „akomunizmu” i, pozostając społecznym radykałem, chce stworzyć „nową lewicę”, solidarną z liberalizmem i demokracją. Związek Merleau-Ponty z tygodnikiem „Express” pozwalał zresztą na przewidzenie takiego rozwoju, zaczętego w chwili gdy na łamach „Temps Modernes” Merleau-Ponty oskarżył komunistów o agresję w Korei. Raymond Aron, również od niedawna profesor Sorbony, stara się raczej wykazać w swej książce że pojęcia „prawicy” i „lewicy” tracą dziś swe znaczenie.

Zacznijmy od *Temps Modernes*, które poświęciły specjalny podwójny numer — 480 stron — „Lewicy”. Przyczyny tej inicjatywy podaje Sartre w przysłówiu: obecne zelżenie „zimnej wojny” między dwoma blokami umożliwia Francji — przynajmniej teoretycznie — ugruntowanie „neutralnej” Europy. Inicjatywa należy tu do Francji. Podjąć się tej inicjatywy mógłby tylko rząd „Frontu Ludowego” — czyli przymierzem socjalistów z komunistami. Przymierzemu temu ma służyć ta analiza francuskiej lewicy — intelektualna, historyczna, gospodarcza. Lewica często sama się określa negatywnie jako zaprzeczenie. Dlatego zapewne otwiera numer artykuł Simone de Beauvoir o „Współczesnej Myśli Prawicowej”. „Prawda jest jedna — błędy są rozliczne. To nie przez przypadek prawica hołduje pluralizmowi” — pisze p. de Beauvoir na wstępie swego artykułu, w którym stara się rozprawić ze Spenglerem, Burnhamem, Jaspersem. Jej najostrzejsze ataki skierowane są przeciw Jules Monnerot, autorowi klasycznej już dziś „Sociologie du Communisme” i Raymond Aron. Ciekawie ujęta ankieta (przeprowadzona zresztą przez pół-oficjalny Institut Français d’Opinion Publique” na zamówienie „Temps Modernes”) dąży do określe-

nia „lewicowej umysłowości”. Operując metodami statystycznymi, zadano serię pytań dwustu osobom z różnych środowisk. Między innymi „testami” są fotografie (np. wizyta zakonnie w biednym domu robotniczym, arabski czyściciel butów w Tunisie itd.). „Prawicowiec” odpowiada rzekomo na widok tych fotografii: „Ach, dobre, kochane siostrzyczki, przyszły pomóc biedakom”, lub: „Jaki uśmiechnięty ten chłopczyk, jak on musi lubić czyścić buty”. „Lewicowiec” zaś: „Obrzydliwe zakonnice przyszły znów naciągać nawet tych biedaków na watykańskie fundusze”; „Co za symbol! Biedny mały Arab i but obrzydliwego kolonialisty!” Odpowiedzi są niemal zawsze w tym tonie: jakby zwracano się do reprezentatywnie głupiego „prawicowca” i reprezentatywnie naiwnego „lewicowca”. Pozory „naukowe” tej ankiety wykazują tylko jak wielkie wpływy ma prokomunistyczna lewica w pół urzędowych instytucjach. W ogóle cała „rzeczowa” strona specjalnego numeru *Temps Modernes* jest dziwnie nieudolna i nie pozbawiona złej wiary. Na zupełnie innym poziomie są artykuły ideologiczno-filozoficzne. Zwłaszcza doskonały „Portret Lewicowca” nakreślony przez Claude Lanzmann (oczywiście z pozycji prokomunistycznych) i niezwykle subtelne i inteligentne rozważania Dionys Mascolo (autora „Le Communisme”) na temat „Sensu i użytku słowa Lewica”. Czysty rewolucjonista może istnieć tylko poza partią komunistyczną — o tym ogólnie wiadomo. Postawa „rewolucyjna”, tak jak ją ujmuję Mascolo, jest stanowiskiem czysto estetycznym — najwyższą „elegancją”. Żaden Beau Brummel, żaden Swann nie osiągnął elegancji tak wykwiintnej. Jest to postawa psychiczna na wskroś arystokratyczna, właśnie poprzez pogardę do wszelkich „wartości”, które przedstawiane są jako głupie i pospolite. Czysta negacja także wobec „oporu” rzeczy (rzeczy są naturalnie prawicowe, mówi Mascolo). Ale Mascolo, stawiając się sam poza partią komunistyczną, odmawia „rewolucji przez inteligencję”, która byłaby jego naturalnym elementem — jak u surrealistów. Byłby to dowód naiwności, a naiwność także jest głupia i pospolita. Tak że — szczyt wykintu — pozostając samotnym harcownikiem, Mascolo twierdzi że „prawdziwy rewolucjonista” jest przecież w jakimś wymiarze solidarny z komunistami.

Zanotujmy, w lipcowym numerze *Parisienne*, kontratak „prawicy”. *La Parisienne* grupie młodych pisarzy, którzy przyznają się do sympatii dla Maurrasa. Ale dziwne są te „późne wnuki” Action Française: ich wystąpienia polegają na obronie indywidualizmu i walce o liberalizm. Zabawne odwrócenie ról w ciągu pół wieku. Prawicowiec Maurras zwalczał indywidualizm i liberalizm, którego bronili lewicowcy Jaurès i Blum. Dziś ideologiczni potomkowie w prostej linii Maurrasa używają dawnego słownictwa i bronią wartości tradycyjnie drogich lewicy, podczas gdy ideologiczni potomkowie Jaurès’a i Bluma walczą o Państwo, Dyktaturę, Porządek, Plany, Dyscyplinę — o wartości tradycyjnie „reakcyjne”. Zresztą rozmowa przy dyk-

tafonie prawicowych pisarzy na temat specjalnego numeru „Temps Modernes” wykazuje pomieszanie pojęć i nieznamość podstaw marksizmu, których nie powstydziliby się sami współpracownicy „Temps Modernes”. Jeden celny artykuł: druzgocąca odpowiedź Monnerota na zarzuty pani de Beauvoir. Wykazuje on jak egeria lewicy zniekształca teksty, jak nie zna podstawowych teorii gospodarczych i socjologicznych. Ton profesora, zirytowanego impertynencją ucznia, Stąd tytuł: „Zero dla Pani de Beauvoir”.



Raymond Aron jest w swoim *Opium des Intellectuels* (Calmann Lévy, 1955) tak rozsądny, tak przekonujący, że nie zostaje nic, po jego argumentach, z najbardziej przenikliwych i subtelnych rozważań Sartre’a, z czarującej inteligencji Mascolo. Skąd zatem niezaprzeczalna fascynacja pism Sartre’a, Simone de Beauvoir, Mascolo? Zapewne stąd że pozornie zakorzenione w dziedzinie „społecznej”, argumenty tych pisarzy „rewolucyjnych” przemawiają językiem proroków, Ewangeli, tragedii greckiej, wielkiej tradycji romantycznej. Ich zdania budzą w naszej pamięci inne — cymbał brzmiały którym się jest bez miłości, tętent jeźdźców Apokalipsy, katastroficzne wizje proroków, wieży zbudowanej na chmurach Civitas Dei. Sartre, mimo nienawiści do burżuazji, reprezentuje na swój sposób uniwersalną miłość i szczerłość. Są to uczucia Cyda, bohaterów Wiktora Hugo — uczucia arystokratyczne, podczas gdy w trzeźwej inteligencji Arona jest może coś plebejskiego — genialny Monsieur Prudhomme.

Aron napisał swą książkę chcąc dociec przyczyn dla których tak znaczny odłam intelektualistów we Francji i w innych krajach „wolnego świata” piętnuje tak bezkompromisowo każdą niesprawiedliwość popełnioną przez demokrację, wykazując jednocześnie najdalej idące zrozumienie dla największych zbrodni, jeśli są popełniane w imię dobrych ideologii. Natrafił on na sakralny charakter trzech pojęć: Lewica, Proletariat, Rewolucja — i poddał te mity gruntownej analizie i krytyce. Z kolei, ponieważ proroczy charakter tych mitów prowadzi do kultu Historii, śledzi Aron w swej książce wzrost różnych filozofii historii, integrując je w historię ostatnich stu lat i starając się uwolnić historię z aureoli katastrofizmu i utopizmu. Wreszcie przechodzi do socjologicznej analizy inteligencji francuskiej, europejskiej i amerykańskiej i do psychoanalizy ich odłamów „lewicowych”.

Najcenniejszą w książce Arona wydaje się jego bezstronność i bezkompromisowe przywiązanie do prawdy takiej jaką ją widzi. Aron pisze: „Prawdziwy komunista, to ten który przyjmuje całość sowieckiej rzeczywistości w języku w którym mu jest podyktowana. Autentyczny członek społeczeństwa zachodniego, to ten który z naszej cywilizacji całkowicie i bez zastrzeżeń przyjmuje tylko wolność którą pozostawiła mu ta cywiliza-

cja w celu jej krytyki i możliwość którą mu daje jej ulepszenie". Ani przez chwilę nie wpada Aron w idealistyczny i hipokryzyczny ton kazań o „wolnym świecie”, „chrześcijańskiej cywilizacji”. Najgroźniejszą zasadzką stawianą nam przez świat komunistyczny w swoim manicheizmie — to pokusa wpadnięcia w manicheizm odwrotny. Nie ma w historii, nie ma w rzeczywistości, absolutnego zła ani absolutnego dobra. Argumenty Arona nie są nigdy moralizatorskie, a jego głęboka moralność polega na wyborze prawdy i choćby względnej wolności.

„Opium Intelktualistów” jest tekstem tak zwięzłym i gęstym, o argumentacji tak ścisłej, że nie sposób go streścić w krótkiej notatce. Dość powiedzieć że książka ta powinna być przeczytana przez każdego komu zagadnienia społeczne, gospodarcze i polityczne nie są obojętne, a może po prostu przez każdego kogo interesuje jego własna przyszłość — bezpośrednio niestety w naszym okresie związana z losami społeczeństw. Aron zdziera maski ideologii i systemów — i daje nam obraz świata w jego jedynej, niepowtarzalnej i złożonej formie.



Podczas gdy Aron jest sceptykiem (*Appelons de nos vœux la venue des sceptiques s'ils doivent éteindre le fanatisme* — to zdanie zamyka jego książkę), funkcjonalistą w dziedzinie materialnej i liberałem w dziedzinie duchowej, podczas gdy operuje on faktami, przykładami, argumentami rzeczowymi, Maurice Merleau-Ponty w swej książce *Les Aventures de la Dialectique* (Gallimard, 1955) przeprowadza ściśle, oderwane, abstrakcyjne rozumowanie, w pełni zrozumiałe tylko pod warunkiem solidnej znajomości marksizmu i egzystencjalizmu. Tematem książki jest kłeska dialektyki we współczesnym marksizmie. Merleau-Ponty z nostalgią powraca do „zachodniego” marksizmu, marksizmu Jerzego Lukacsa sprzed jego samokrytyki. Lukacs dokonał olbrzymiego wysiłku myślowego celem pogodzenia marksizmu z historycznym relatywizmem, którego najcenniejszym przedstawicielem był stoiczny liberal Max Weber. Rozważania Merleau-Ponty poświęcone Lukacsovi i Weberowi mogą się laikowi wydawać zbyt oderwane, zbyt subtelne, zbyt scholastyczne. Ale w ścisłości, w nieubłaganej logice tych rozważań tkwi „walka o duszę” autentycznego komunisty. Myślę że jest to książka która będzie pasjonować ezoterycznych marksistów, uczonych w piśmie Nowej Wiary bardziej od książki Arona. Aron jest przeciwnikiem, wyraża w sposób najinteligentniejszy potencjalnie znane argumenty strony przeciwnej. Nawet kiedy podważa logikę marksizmu, widać że jest to wysiłek przemyślenia do końca argumentów które były mu zawsze obce. Merleau-Ponty — to głos sumienia każdego komunisty, to wprowadzenie na światło dzienne wątpliwości które muszą go stale trapić. Merleau-Ponty z głębokim smutkiem, nieraz nawet z rozpaczą stwierdza bankructwo Dialektyki i Rewolucji:

„Komunizm zrzekł się formy społeczeństwa która byłaby ciągłym kryzysem, stała odmową równowagi, która zastąpiłaby rząd rewolucją i na miejsce warunków obiektywnych wprowadziła ich „wewnętrzny mechanizm”. Byłoby nawet coś zdrowego w tym rozczerowaniu, gdyby komunizm się do niego przyznawał. Ale gdyby Z.S.S.R. był szczery i gdyby przyznawał się do formy którą obrał, Z.S.S.R. przestałby być ojczyzną rewolucji. Z.S.S.R. musi zatem utrzymywać fikcję władzy proletariackiej, bezpośredniości demokracji i zaniku państwa tym energiczniej, im bardziej jest sam od nich oddalony, bądź dlatego że, przez niektórych, oszustwo to jest świadomie przyjmowane jako spadek projektu któremu nie chcą oni być niewierni, bądź raczej dlatego, że wobec dekadencji marksistowskiej kultury w wyniku tych warunków, oszustwo to przestaje być widoczne i może być tym łatwiej ignorowane, im głębiej i stalej wnika w życie każdego. Nikt może nie stoi bliżej myśli które tu wyrażamy od dobrze poinformowanego członka społeczeństwa sowieckiego: nikt nie jest głębiej przekonany że każda rewolucja przechodzi w sferę względności i że ostatecznie pozostają tylko postępy. Komunizm graniczy dziś z postępowością. Jeśli widzi się, grawitujących wokół komunizmu, coraz więcej ludzi, którzy nigdy nie podzielali „iluzji” marksizmu, to nie przez przypadek, ale dlatego że marksizm istotnie pozbył się tych iluzji. Ale gdyby marksizm przyznał się otwarcie że jest tylko „postępowością”, pozbyłby się jednocześnie przekonania, autorytetu, moralnego prawa do wymagania wszystkich poświęceń... Kiedy ... aparat staje się tak zagęszczony że przestaje istnieć „wnętrze” rewolucji, nikt nie może powiedzieć jaką historię tworzy ten aparat i za jaką cenę. Mogłby wówczas szukać usprawiedliwienia tylko argumentacją względną, a odmawia własnie tego usprawiedliwienia, podając się za absolut”.

Trzy czwarte książki Merleau-Ponty poświęcone jest polemice z Sartrem. Długi rozdział pt. „Sartre i Ultrapolszewizm”, w którym operując argumentacją marksistowską i zestawiając Sartre'a z jego własną filozofią, Merleau-Ponty dowodzi że Sartre głosi w tych artykułach tezy przeciwne zarówno marksizmowi jak i jego własnej filozofii egzystencjalnej.

„Jeśli Sartre słusznie określa komunizm, komunizm daje o sobie samym wersję fałszywą, czyli nie jest zupełnie tym co twierdzi Sartre. W ostatecznej formie: jeśli Sartre ma rację — Sartre myli się”.

Dlaczego? Dlatego że:

„1) Koncepcja komunizmu którą podaje nam Sartre jest odrzuceniem dialektyki i filozofii historii i wstawieniem na ich miejsce filozofii absolutnego stworzenia w nieznanym;

2) Jeśli się przyjmuje tę filozofię, komunizm staje się przedsięwzięciem nieokreślonym o którym wie się tylko tyle że jest inne, usunięte, jak obowiązek, spod wszelkiej dyskusji i wszelkiej racjonalnej kontroli, oraz zwolnione od dowodów”.

Otóż Merleau-Ponty odmawia skoku w ciemność w imię czegoś co z góry zrzuca się absolutnej rewolucji i społeczeństwa bezklasowego. „Właściwością rewolucji jest wiara w jej własny charakter absolutny”. Dlatego, „nie zabija się w imię względnego postępu”. Walka absolutna z kapitalizmem była do przyjęcia, jeśli się stało na stanowisku marksistowskim, dialektycznym, jeśli się widziało w kapitalizmie ostateczną przeszkodę przed nadejściem w pełni ludzkiego społeczeństwa. Ale jeśli, poza kapitalizmem czyhają inne Państwa, inne wojska, inne elity, inne policje, zbudowane, jak sam kapitalizm, na instytucjach, na mitach, na społecznych symbolach, na ludzkich inicjatywach, na błędach i hipokryzji, to krytyka kapitalizmu zmienia charakter.

Z „rewolucjonisty”, Merleau-Ponty staje się „reformistą”. Jeśli komunizm jest tylko względnym postępem (i za jaką cenę?), to dlaczego nie obrać względnego postępu w ramach społeczeństwa liberalnego i demokratycznego? Merleau-Ponty rzuca tu plan „nowej lewicy”:

„Pierwszym artykułem tej nowej lewicy winno być, że rywalizacja między Stanami Zjednoczonymi i Z.S.S.R. nie jest rywalizacją między „wolną inicjatywą” i marksizmem. Pod pokrywką filozofii, które powstały przed wiekiem czy dwoma wiekami, ustalone polityki budują całkiem co innego. W wadach i zaletach obu systemów gra tyle warunków geograficznych, historycznych czy politycznych, że filozofie do których systemy te nawiązują nie są niczym innym jak ozdobami. Jeśli chcemy wyjść z naszych marzeń, musimy spojrzeć na to co te systemy kryją i przyjąć w stosunku do nich metodę stałego powątpiewania. Musimy przyjrzeć się im z uwagą pozbawioną szacunku na jaką zasługują wielkie i zagmatwane przedsięwzięcia których bilanse nie są jeszcze gotowe — i których zderzenie byłoby największym nieszczęściem, gdyż ci którzy by w tym konflikcie zginęli nie wiedzieliby nawet w imię czego giną... Akomunizm, warunek ścisły znajomości Z.S.S.R., gdyż zestawia on z jego ideologią to co wiemy o jego rzeczywistości, jest jednocześnie warunkiem nowoczesnej krytyki kapitalizmu, gdyż jedynie akomunizm może postawić w ujęciu nowoczesnym problemy Marksa. Jedynie akomunizm jest zdolny do stałej konfrontacji i porównania obu systemów. Możemy przewidzieć uniwersalną ekonomię, której oba te systemy będą szczególnymi przypadkami.

Nic dziwnego że książka Merleau-Ponty wywołała burzę wśród prokomunistycznych intelektualistów. Można pominąć milczeniem dzieło Arona, który od dawna przeszedł z „*Temps Modernes*” do „*Figaro*”. Ale Merleau-Ponty, to nie byle odszczepienie, to główny obok Sartre’a dotychczasowy filar „*Mandarynów*”, który pierwszy sformułował ich filozofię. Nic dziw-

nego że pani de Beauvoir nazywa go w lipcowym numerze *Temps Modernes* — „nowym psem podwórzowym burżuazji”.

W lipcowym numerze *Esprit* rozprawia się z Aronem i z Merleau-Ponty J.M. Domenach. Jak zawsze, pozycja jego w dyskusji, jako katolika i obrońcy komunizmu, nie jest łatwa. Trudno mu dyskutować z Merleau-Ponty, skoro główne argumenty „*Przygód Dialektyki*” są mu obce. „Postępowi” katolicy przyjmują komunizm pragmatycznie, jako doczesną i, siłą rzeczy, względną metodę urzędzenia świata. Toteż Domenach chętnie przyznaje, że komunizm naukowy, dialektyczny komunizm Marksa, przestał żyć. Wyciąga on ze „śmierci dialektyki”, która oddaliła od komunizmu Merleau-Ponty, argument w obronie komunizmu jako politycznej i duchowej postawy:

„Dziwna płodność komunizmu: podczas gdy ortodoksyjni komuniści uparcie powtarzają, wbrew oczywistości, materialistyczne schematy zwycięstwa proletariatu, poza nimi i ponad ich głową egzystencjaliści, chrześcijanie, neohegelianie, rzucają w siebie komunizmami które wymyślają na nowo... Ojcowie Jezuici i Dominikanie, pisarze wykluczeni z Partii i profesorowie Collège de France rozprawiają głęboko o marksizmie pod samym nosem osłupiałych wiernych, których dyskusja ta przeraża, i którzy od czasu do czasu usiłują się wtrącić, miotając obelgi które nikogo nie ranią. To fakt, komunizm jest zamieszkały. Co do jego tytułarnych właścicieli, mogą się niepokoić czy cały dom się nie zawali pod tym napływem nieproszonych gości: raz po raz ktoś wynosi bibliotekę, zegar, czy portrety przodków. Sprawa wykracza zresztą poza ideologię: bardziej niż intelektualistów, wypadki same przyczyniają się do odwilży komunizmu. Stalin umarł; Chiny utwierdzają się coraz mocniej; Tito jest zrehabilitowany. Czyżby to miał być koniec, teoretyczny i praktyczny, komunizmu? Czyżby to był początek komunizmów?”

Na marginesie: zarówno Domenach jak i Aron cytują „*Zniewolony Umysł*” Miłosza. W tej najważniejszej dziś dyskusji, „*Ketman*” i „*Nowa Wiara*” zyskały sobie jako pojęcia prawa obywatelstwa na równi z „doublethink”iem” czy „kompleksem Rubaszowa”.

Aron i Merleau-Ponty stawiają swe tezy przyjmując fakt „koegzystencji”. Ale obaj traktują koegzystencję inaczej niż so-wieccy czy zachodni politycy. Nikt na świecie poważnie nie wierzy w koegzystencję obu systemów w ich obecnej formie na długą metę. Koegzystencja ma charakter zawodów o to kto przetrwa, kto zwycięży bez wojny w ciągu dziesiątków lat „pokojowego” współżycia. Wiara w zwycięstwo „Sowietów” czy „komunizmu”, oraz wiara w zwycięstwo „Ameryki” czy „wolnego świata” — to dwie prymitywne formy podejścia do koegzystencji, grasujące w przemówieniach politycznych na użytek wewnętrzny i w propagandzie radiowej. Ale każda z tych prymityw-

nych i optymistycznych wersji ma równoległą realistyczną, w której również u kresu koegzystencji istnieje perspektywa jedności świata, albo przynajmniej unicestwienia zasadniczego konfliktu. Tyle że nie pod przewodnictwem Ameryki czy Sowietów, a w każdym razie ani Ameryki ani Sowietów w ich obecnej formie. Dokonajmy pobieżnego przeglądu tych czterech wersji — dwóch „oficjalnych” i dwóch „realistycznych”.

1) Punkt widzenia komunistów. Tutaj oczywiście dogmatem jest ostateczne zdobycie władzy, „rewolucja” na skalę uniwersalną. Historia gra w każdym wypadku — teoretycznie — na rzecz komunistów. Komuniści „wierzą” że koegzystencja doprowadzi do ich ostatecznego zwycięstwa (konflikty wewnętrzne imperialistów, Azja, Afryka, partie komunistyczne itd.). Ujmujemy słowo „wierzą” w cudzysłów, gdyż ważną jest kwestia czy wiara ta jest żywa, czy nie nabiera charakteru formalnego. Czy Chruszczow jest „komunistą” jak Lenin, czy nawet Stalin? Czy jego następcy nie będą „komunistami” w tym sensie w jakim Eisenhower czy Eden są „chrześcijanami”? Komunizm wydaje się skazany na stopniowe przekształcanie się w formę rządów pragmatyczną. Zmierzają do tego cynizm rządzących, ich przywiązanie do władzy, formacja elit, stopniowe podniesienie stopy życiowej. W tych warunkach „społeczeństwo bezklasowe” może oddalić się w nieskończoność, tak jak „Królestwo Boże na Ziemi” u chrześcijan.

2) Punkt widzenia „amerykański”, względnie oficjalny „atlantycki”. Ten oparty jest na wierzeniach niemal równie naiwnych jak komunistyczne. Polegają ona na przekonaniu o ostatecznym zwycięstwie „dobra” nad „złem”, na przypisywaniu jakiejś nadprzyrodzonej wartości atrakcyjnej „wolności”, szczątkowym pozostałościom „chrześcijaństwa”, „humanizmu” itd. Jest to repertuar propagandy radiowej, rocznic emigracyjnych, amerykańskich kongresmanów z Middle-Westu. Istnieje także i tutaj racjonalistyczna nadbudowa. Będzie tu mowa o „gospodarczych możliwościach” wolnego świata, o „potencjale ekonomicznym” Ameryki, o różnej formie uprzemysłowienia Azji i Afryki przez „wolny świat”, o wyrwaniu komunistom inicjatywy w krajach o słabym stopniu gospodarczego rozwoju. Niestety tego rodzaju marzenia są prawdopodobnie niewykonalne, gdyż nigdy parlamenty nie dopuszczają do opodatkowania i ograniczeń własnych obywateli na skalę wojenną w okresie pokoju. A bez ograniczeń i poświęceń na taką skalę, wszelkie „Point Four”, „Plany Marshalla” i „Technical Assistance” pozostaną tym czym są obecnie: uniwersalną racjonalizacją gospodarczego egoizmu i wiary w siłę atrakcyjną „Free Enterprise”.

Te dwie „ideologiczne” i nierealistyczne formy podejścia do koegzystencji są zrównoważone przez dwie równoległe formy realistyczne, grupujące wszystkich ludzi myślących w „wolnym świecie”, a zapewne i w bloku sowieckim.

3) Równoległą „realistyczną” do fikcji komunistycznej jest punkt widzenia bevanistów, Deutschera, skrajnej niekomunis-

tycznej lewicy europejskiej, od sympatyków komunizmu (którzy jednak zarzucili wiarę w mit rewolucji) aż po „akomunistyczne” stanowisko Merleau-Ponty. Ludzie ci opierają swój punkt widzenia na pewnym realistycznym marksizmie, na wierze, że celem ostatecznym „historii” jest jakaś forma uniwersalnego społeczeństwa „socjalistycznego”, którego jednak nie widzą w utopijnych barwach „społeczeństwa bezklasowego”. W tym ujęciu, do społeczeństwa socjalistycznego prowadzić mogą różne drogi: trudna i okrutna droga stalinowska, jak również parlamentarna droga Labour Party czy krajów skandynawskich, jak również „planizm” Mendès-France’a, a nawet rozwój społeczeństwa amerykańskiego. Z tego punktu widzenia, koegzystencja byłaby długim etapem u kresu którego pragmatyczne społeczeństwo bloku sowieckiego i zetatyzowane społeczeństwo europejskie i społeczeństwo amerykańskie (w którym Trade Uniony będą kontrolować Trusty, „kapitalistyczne” w sensie równie symbolicznym w jakim przemysły upaństwowione są „proletariackie”) — spotkają się na jednym stopniu rozwoju.

4) Podobną drogę myślową do „bevanistów” wybrali myślący realisci „wolnego świata” — neokapitaliści, managerowie, i antyideolodzy. Ci również przypuszczają że nie „zwycięży” ani jedna ani druga forma — ani „komunizm”, ani „liberalizm”, czy „wolna konkurencja” i że nastąpi „spotkanie”. Tyle że do tego spotkania nie przywiązują ani resztek filozofii marksistowskiej, ani socjalistycznych przesądów ideologicznych, ani wizji cywilizacji uniwersalnej. Reprezentatywnym przedstawicielem tej formy myślenia jest Raymond Aron. Jest to forma materializmu uznająca siłę prądów duchowych, przepowiadająca że nie da się wykorzenieć ludzkich „przesądów”, że nie ma co liczyć na mutację człowieka, że jedyną pewną daną obiektywną jest wzrost ludności na globie i konieczność uprzemysłowienia, że formy jakie przebiega uprzemysłowienie sprawiają iż pojęcia „kapitalizmu” i „socjalizmu” tracą sens. Jak mówi Raymond Aron, robotnicy nie są ani mniej ani więcej „właścicielami” fabryk w Detroit czy w Charkowie. W tej koncepcji długa droga koegzystencji prowadzi do zwycięstwa „realistów” nad ideologiami. Któregoś dnia władcy bloku komunistycznego w którym uprzemysłowienie i podniesienie poziomu życia przekształci społeczeństwo nie tyle w idealną „ludzką” bezklasową, co w swoistą wersję uniwersalnej drobnej burżuazji (podobnie jak w Ameryce), w którym sakralna data 1917 stanie się niemal równie odalona (proporcjonalnie) jak data narodzenia Chrystusa, spostrzegą się że nic ich właściwie nie dzieli od podobnych im (jak ludzie i świny przy końcu „Animal Farm”) władców „wolnego” świata. Wtedy zaczną się „prawdziwy” pokój...

Dałem w powyższym skrócie wersję rozmyślnie karykaturalną i cyniczną tych różnych punktów widzenia. Są to dalekie perspektywy, które niewiele wpływają na konkretne, codzienne wybory, które stawia przed nami akcja społeczna, polityczna czy intelektualna. Mimo iż Deutscher nie wierzy w mit rewo-

lucji i proletariatu, jego stanowisko „obiektywnie” wzmocnia dziś blok sowiecki, równie jak stanowisko bardziej naiwnych redaktorów „Temps Modernes” czy „Esprit”. Ostatecznie decyduje o naszej postawie nie to jaką mamy wizję dalekiej przyszłości, ale jakiej wartości chcemy bronić dla siebie i przyszłych pokoleń.

Merleau-Ponty przeszedł ze swej filozoficznej apologii komunizmu sowieckiego do wyznania wiary, w którym nadal chce walczyć z kapitalizmem i jego niesprawiedliwościami, ale stwierdza jednocześnie że „Parlament jest jedyną instytucją gwarantującą minimum opozycji i prawdy”.

A u Raymond Arona, otwarta i sceptyczna inteligencja nie zmniejsza świadomości moralnej, odpowiedzialności za wybór przyjaciół i przeciwników:

„Intelektualista, który przywiązuje wagę do rozsądnej organizacji społeczeństwa, nie zadowolony się podpisywaniem wszelkich manifestów przeciw wszystkim niesprawiedliwościom. Mimo że będzie się starał zakłócać dobre sumienie wszystkich stron, zaangażuje się po tej stronie, która w jego przekonaniu daje człowiekowi najlepszą szansę rozwoju. Jest to wybór historyczny, który zawiera oczywiście wszystkie ryzyka omyłek nieodłącznych od historycznych warunków. Intelektualista nie odmówi zaangażowania się i z chwilą kiedy uczestniczy w działaniu, musi przyjąć jego zasadniczą twardość. Ale będzie się starał nigdy nie zapomnieć argumentów przeciwnika, ani niepewności przyszłości, ani przewinień swej własnej strony, ani tajemnego braterstwa walczących po obu stronach”.

KAJ

Książki ukraińskie

Brutalna i generalna likwidacja kultury ukraińskiej pod rządami Stalina prześciga chyba nawet wyobraźnię Orwella w jego „Rok 1984”. W Podręczniku historii literatury ukraińskiej wydanym w zeszłym roku w Sowieciach nie znajduje się niemal ani jedno nazwisko spośród pisarzy i poetów ostatnich sześćdziesięciu lat. Prawie cała literatura ostatniej doby z wyjątkiem kilku wybranych — została po prostu wymazana z historii. A cóż dopiero mówić o samych utworach! Dlatego należy podkreślić zasługę Eastern European Fund którego pomoc finansowa umożliwiła Ukraińskiej Wolnej Akademii Nauk oraz Naukowemu Towarzystwu im Szewczenki podjęcie wydawania w Nowym Jorku serii przedruków książek dziś nieosiągalnych.

„Wspomnienia” E. Czykalenka (Spohady, 1861-1907, New York, 1955) opowiadają o zamierzchlej już dziś przeszłości. Autor, ziemianin-

mecenas, wspierający hojnie swymi pieniędzmi najróżniejsze instytucje, urodził się w 1861, roku śmierci Szewczenki, jego wspomnienia zawierają niejako całą historię ukraińskiego odrodzenia narodowego poczynając od zakazania języka ukraińskiego przez carat w 1876 aż po rewolucję 1905, która ten zakaz zniosła. W obliczu ucisku carskiego i obojętności społeczeństwa nie tylko niepodległość, o której nikt nie śmiał marzyć, ale i samo istnienie Ukrainy wydawało się należeć do przeszłości. Inteligentów, którzy uważali się za Ukraińców, można było policzyć na palcach, a jednak wysiłek tej elity, oparty oczywiście o istnienie wielkiej masy narodu ukraińskiego i nie bez wpływu ukraińskiego Piemontu w Galicji, doprowadził do stworzenia po roku 1905 sprzyjających możliwości, a po roku 1917 do wielkiego rozkwitu narodowego.

Inna uderzająca lekcja wspomnień Czykalenki, a raczej przypomnienie, to to, jak dalece system carski przypominał zasadniczo system sowiecki. Główna różnica polegała bodaj na tym, że jak to mówi Benjamin Constant stare tyranie są zawsze lepsze od nowych, dlatego właśnie, że są bardziej spróchniałe, innymi słowy mają więcej luk. Tyrania carska, specjalnie okrutna na Ukrainie (jak i w Polsce), była łagodzona przez łapownictwo, a także przez ogólne stosunki patriarchalne, które sprawiały, że policmajster uprzedzał ziemianina rewolucjonistę o grożącym mu aresztowaniu, a z drugiej strony zamożny wywrotowiec miał nieraz w Petersburgu znajomych, którzy umożliwiali mu wydanie tam książki zakazanej przez lokalne władze. Ale zasada — bezlitosne tępienie Ukraińców i ukraińskości, była ta sama.

Dzieje dramaturga M. Kulisza stanowią niejako ilustrację losów Ukrainy od rewolucji aż po „likwidację” resztek autonomii kulturalnej w latach 1930-1934. Kulisz był rewolucyjnym dramaturgiem był partyzantem w czasie wojny domowej, był nawet członkiem Partii, był wreszcie z pochodzenia ubogim chłopem, wszystko to mu nie pomogło. Już to samo, że pisał po ukraińsku i że mógł marzyć (choć zwrot ten jeszcze nie istniał) o ukraińskiej „drodze do socjalizmu” wystarczył aby go zniszczono. Interesującym dowodem tego są wspomnienia wdowy po Kuliszu zamieszczone w dodatku do jego utworów (Mykola Kulisz, *Tvory*, New York, 1955) wydanych przez to samo wydawnictwo.

Gdzieś w 1933, a więc na rok przed aresztowaniem, przyjaciel Kulisza wyraził na głos to, z czego zaczęli sobie zdawać wówczas sprawę pisarze Kijowa i Charkowa: „Wiesz Mykoło, cokolwiek byśmy teraz napisali, to nas już nie przyjmą, już z nami koniec”. Upłynął rok jeszcze szamotania w matni, a potem przyszły aresztowania. W roku 1847 reżym carski skazał poetę T. Szewczenko na zesłanie „w saldaty” z zakazem pisania. Gdy Kulisza skazano na zesłanie na Solówki sędzia śledczy powiedział żonie: Dostał dziesięć lat za to że pisał. Ale Szewczenko wrócił przynajmniej w 1857 na Ukrainę, by wkrótce umrzeć. Kulisz zmarł na dalekiej północy, prawdopodobnie, bo nawet tego nie wiadomo, w 1939. Ówczesni władcy Ukrainy nie darowali mu zapewne znakomitej komedii „Myna Mazajlo”, w której bezlitosnie wyszydza rufusyfiarskie (wbrew oficjalnym hasłom o kursie na ukrainizację) tendencje partii.

W Kuliszu odkrywamy pisarza pierwszej klasy, władającego znakomicie zarówno językiem jak i formą komedii. Nie tylko intryga przeprowadzona jest bez zarzutu, ale każda niemal scena żyje własnym życiem. Po

25 latach sztuka nie straciła na świeżości i czytając ją śmiejemy się nadal z ciotki-Rosjanki, która przyjechawszy z Rosji dowiaduje się, że partia na Ukrainie używa języka ukraińskiego i wykrzykuje z oburzeniem: „To nie może być ta sama partia, u nas w Kursku komuniści mówią tylko po rosyjsku”, nie wspominając już o kapitalnej scenie w której papa-Ukrainiec, snobujący się na Rosjanina, na próżno usiłuje się nauczyć wymowy g, a syn uczy zakochaną w nim Rosjankę ukraińskiego h. Można sobie tylko wyobrazić, jak znakomicie sztuka musiała wyglądać na scenie.

Obie książki wydane są starannie, zaopatrzone w przypiski i biografię autora. Uwagi do utworów Kulisza (opracowane przez H. Kostiuka) są staranniejsze i bardziej obszernie, ale nie wystarczające dla czytelnika nie znającego życia sowieckiego; poza tym bardzo brakuje tu indeksu alfabetycznego osób, za sporządzenie którego należy się pochwalać wydawcy wspomnień Czykalenki. Natomiast z niezrozumiałych powodów nie podano w ogóle skąd te wspomnienia zostały przedrukowane.

Życie toczy się dalej pod najcięższymi okupacjami i życie narodowe znajduje zawsze jakieś łożysko, którym płynie nadal, choćby najbardziej wykrzywione. Powieść Pawła Maliara *Chlib* (Wyd. Prometej, Detroit, 1954) uzupełnia niejako, w innym wymiarze, obie poprzednie książki, dając obraz życia na wsi ukraińskiej poczynając od 1941 pod Sowietami a następnie pod Niemcami. Kierownik kolchozu i oficer sowiecki są nadal Ukraińcami w odmiennych warunkach, „osiągnięcia” Sowietów są ich osiągnięciami lub — by wyrazić się ściślej — przyjmują oni system ekonomiczny sowiecki jako już istniejący i chcieliby tylko być panami we własnym domu. Znów więc coś w rodzaju własnej drogi do socjalizmu. Dla tych ludzi, którym z Zachodu znany jest tylko Hitler, wydaje się to zapewne jedynym wyjściem. Zresztą wiedzą, że na Zachód nie mają co liczyć. Z literackiego punktu widzenia książka zyskałaby, gdyby autor nie nawracał do formy reportażu przerywanego wstawkami ideologicznymi, zresztą wcale interesującymi jako dokument. Ale właściwa droga autora zdaje się leżeć gdzie indziej: do najlepszych scen należy opis — zapewne z autopsji — hitlerowskiego możnowładcy oraz, w innej kategorii, scena nocnego czuwania w sadzie zakończona „polowaniem” na wójta (naczelnika kolchozu).

Ostatnia wojna jest również tłem powieści czy raczej długiej noweli F. Odracza *V doroz* (Wydawnictwo Peremoha, Buenos Aires, 1954). Odracz używa wcale udatnie gwary lwowsko-galicyskiej dla satyrycznego scharakteryzowania głównego bohatera dyrektora Purchawki, jego służącej, jego szofera, oraz małżonki pani Murci. Mniej udane są partie heroiczne, niezupełnie potrzebnie doczepione do satyry, ale sama postać dyrektora Purchawki ma szansę stania się, mutatis mutandis, galicyjskim Zagłobą.

Dziela literackie oparte o znaną legendę mają za sobą długą tradycję sięgającą początków literatury greckiej. Zarówno Homer jak i Sofokles „opracowywali” tematy znane przed nimi, a do tych tematów powracano

potem nieraz aż po nasze czasy. O wiele trudniej jednak jest pisać dzieło realistyczne oparte nie na legendzie, lecz na współczesnej pieśni ludowej, zwłaszcza na pieśni lirycznej, z natury rzeczy krótkiej i mało dramatycznej. O ile mi wiadomo, udało się to dotychczas tylko rumuńskiemu pisarzowi Sadoveanu (w powieści *Baltagul*, może i dlatego, że oparł się na pieśni bądź co bądź epicznej jaką jest *Miorita*, w której dwu pasterzy zabija trzeciego).

W swym opowiadaniu *U nediliu rano zillia kopała*, wydanym po raz pierwszy w 1909 a przedrukowanym w 1954 przez wyd. Peremoha w Buenos Aires, oparła się O. Kobylańska na znanej pieśni „Oj ne chody Hryciu”. Mimo pewnych dramatycznych możliwości zawartych w pieśni (otrucie kochanka przez dziewczynę-czarownicę) opowiadanie, podobnie jak większość utworów Kobylańskiej, pozostaje we właściwej jej sferze „romantycznego”, powiedziałbym nawet „sentymentalnego realizmu”, i ani na chwilę nie osiąga tragicznego napięcia powieści Sadoveanu. Wbrew temu co twierdzi we wstępie P. Fylypowicz, opowieść Kobylańskiej kontynuuje serię utworów pseudo-ludowych XIX wieku, jej cyganie są teatralni, a czarownice nieprzekonywujące — u Sadoveanu cała akcja powieści wywodzi się ze snu, w którym bohaterka widzi zaginionego męża, jak obrócony do niej plecami odjeżdża poprzez mętłą wodę. Tylko tyle. I czytelnik ani na chwilę nie wątpi, wraz z bohaterką, że mąż nie żyje.

Wydawcy nie uznali za stosowne podać skąd przedrukowano tekst opowieści oraz wstęp, poświęcony głównie dziejom pieśni „Oj ne chody Hryciu” w literaturze.

W sympatycznej książce M. Szlemkevycza *Zahublena ukrajinska ljudyna* (New York, 1954) znajdujemy ciekawą charakterystykę galicyjskiego pisarza Bohdana Łepkiego (pod koniec życia profesora na uniwersytecie krakowskim). Łepkyj pochodził z zamożnej rodziny księżej, tak typowej dla Galicji i miał wszelkie dane, aby stać się piewą tego środowiska, z którego wyrosła w dużej mierze kultura zachodnio-ukraińska. Zamiast tego Łepkyj napisał powieść o Mazepie (tłumaczoną przed wojną na polski), w której Mazepa wyglądał jak galicyjski ksiądz dziekan. Potrójna szkoda — zauważyła słusznie Szlemkevycz — i dla Mazepy i dla księdza dziekana i dla literatury ukraińskiej.

Prof. dr Rebet poświęcił swą książkę *Teoria naciji* (wyd. Suczasnna Ukrajina, Monachium, 1955) próbie udowodnienia, że istnieje obiektywna możliwość definicji pojęcia *narod*. Mimo obszerną, prawie wyłącznie nie-miecką erudycję autora, nieuprzedzony czytelnik dochodzi niezbitcie do wniosku, że żadna obiektywna definicja pojęcia *narod* nie istnieje, nawet jeżeli będzie się twierdzić — w jaskrawej niezgodzie z faktami — że Szwajcarzy nie są narodem.

Pochid Karla XII na Ukrainu pióra D. Doncova jest także przedrukiem, książka ukazała się po raz pierwszy po niemiecku w 1917, obecnie wydano ją w Londynie dla upamiętnienia 300-letniej walki Ukrainy z

Moskwą. Książka jest ciekawą analizą rosyjskiej kampanii króla szwedzkiego Karola XII, sprzymierzonego z hetmanem Ukrainy Mazepą, która zakończyła się klęską pod Poltawą i zwycięstwem cara Piotra I. Gdyby nie ta klęska historia Polski i Ukrainy wyglądałaby zupełnie inaczej. Zasluga książki była w swoim czasie rehabilitacja przed czytelnikiem zachodnim hetmana Mazepy, ośmieszonego i okrzykanego przez Rosjan jako „zdrajca”. Tę tradycję carską przejęli komuniści i Mazepa wszedł do wcale zaszczytnej trójcy „izmienników” (zdrajców) których zbrodnią było to, że szukali pomocy na Zachodzie, bądź w Polsce, bądź dalej: hetman Wyhowski, hetman Mazepa, Petlura. Należałoby życzyć Związkowi Ukraińców w Wielkiej Brytanii, aby wydał tę pożyteczną książeczkę po angielsku.



Fantastyczno-detektywistyczną powieść z najbliższej przyszłości pt. *Czy ztjđe zautra sonce* napisał poeta L. Poltava zapewne „dla chleba”. A szkoda, bo jest to poeta ciekawy i obiecujący. Rada, którą dał mu ktoś w swoim czasie, aby zajmował się też prozą, jest najzupełniej chybiona. Oczywiście, być poetą lirycznym to nie jest „whole time job”, ale wtedy już lepiej robić tak, jak wielki poeta ukraiński Rylskij, który w chwilach wolnych od twórczości lirycznej przełożył „Pana Tadeusza”.

(av.)

Słownik wyrazów obcych

Wydany w zeszłym roku słownik ten powinien się właściwie nazywać „Słownikiem wyrazów obcych, wyrazów pochodzenia obcego i ich pochodników”. Wyrazy obce są w zasadzie różne od wyrazów pochodzenia obcego, nawet jeżeli w praktyce rozróżnienie ich stwarzać może trudności. Wyrazem obcym jest w polszczyźnie np. *coup de foudre*, nawet mimo że bywa odmienniany, wyrazem zaś obcego pochodzenia jest np. *filozofia*. Słowa tej drugiej kategorii są równie polskie, jak np. prasłowiańskie *człowiek*, *mąż*, *żona* itd., różni je od elementu całkowicie rodzimego nie obcość, lecz obce pochodzenie. Słownik obejmuje również pochodniki od słów pochodzenia obcego, rozszerzone przyrostkowo, takie jak np. *chlor-ek* (na str. 238 np., gdzie hasel mamy 16, jest wśród nich aż 5 pochodników i rozszerzeń: *fundusz-ow-y*, *funikular-n-y*, *funkcjonalistycz-n-y*, *funkcjonal-n-y*, *furażer-k-a*).

Słowo obcego pochodzenia nie zawsze wzięte jest żywcem z obcego języka. Dość częste są kopie (fr. *calques*, niem. *Lehnuebersetzungen*), np. *wodoród*, zesłowowieczne tłumaczenie *hydrogenium*, które z kolei, dość barbarzyńsko, uproszczono w *wodór*. Owóż tych słów pochodzenia obcego o szacie rodzimej Słownik nie uwzględnił.

Słownik wyrazów obcych. 15.000 wyrazów, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1954, str. XVIII+783.

Komitet redakcyjny *Słownika* składa się z trzech znanych językoznawców, profesorów Rysiewicza, Safarewicza i Słuszkiewicza. Dlatego raczej niespodzianką jest brak informacji o *funkcjonalizmie* i *strukturalizmie* w językoznawstwie.

Sanacja jest objaśniona (oczywiście ściśle według wymagań obowiązującego w Polsce ustroju), ale *sanatora* brak, nie wiadomo dlaczego. *Koegzystencja*, ulubienie dziennikarzy emigracyjnych szalejących za swadkiem tego politycznego noworodka i jakby wynagradzających sobie jego obcością brak powiązań dziennikarskich z prawdziwego zdarzenia, chyba jeszcze do Polski nie dotarła (?), w *Słowniku* jej w każdym razie nie ma. Przy takich brakach nie dziwi już, że nie ma tam np. litewskiego z pochodzenia *świma*, ani *kulszy* (por. *rwa kulszowa*), mimo że *znicz* (niedostatecznie wywiedziony zresztą) jest. Idąc za głosem praktyki redaktorzy unikają słów, które, jak *kościół*, ogół uważa za słowiańsko-polskie, za *kości* idąc, ale w takim razie np. *kawy*, mogli byli właściwie nie podawać, bo słowo to tenże sam ogół, *kawką-plakiem* zwiedziony, chyba również uważa za słowiańsko-polskie. Ogół, który np. *cerkiew*, znaną w polszczyźnie od przyjęcia chrześcijaństwa i dopiero w ciągu XVI wieku ograniczoną do prawosławia i unii, uważa za słowo... rosyjskie.

Z drobnych uchybień warto zasygnalizować fałszywie (jako *majl*) podaną wymowę angielskich *milady*, *milord*, oraz niedostateczne objaśnienia pisowni litewskiej na stronie XV, gdzie należało dodać, że litewskie *q*, *ę* itd., mimo że ogonki są pochodzenia polskiego, nie są już od dawna znakami samogłosek nosowych. Ale tu autorzy mogą się bodaj obronić brakiem przykładów z litewskim *q* itd. w tekście.

Stanisław WESTFAL

Przegląd czasopism

Chiny jako „samodzielne komunistyczne mocarstwo” z dodatkiem tradycji „ludowej”(?), wykraczającej znacznie poza „hop-dziś-dziś”, z teatrem i sztuką a priori uznaną za komunistycznie strawną, a przecież stanowiącą antytezę „sorealizmu”, są naturalnie oczkiem w głowie wszystkich sympatyków komunizmu na Zachodzie nie będących wyłącznie masochistami — i nadzieją bardziej samodzielnych intelektualistów wewnątrz komunistycznego bloku. Zapewne, wiele jest uzasadnienia w tych sympatiach i nadziejach. Nie mówimy w tej chwili o przejawach chińskiej samodzielności politycznej, o polityce azjatyckiej, wschodnim „perskim oku” do Nehru pierwszej roli na konferencji w Bandoeng. Wszystko to do czego komunistyczne Chiny wydają się nawiązywać w dziedzinie tradycji jest przecież bardziej ludzkie, bardziej uniwersalne i potężniejsze od mitycznej genealogii stalinistów i ich spadkobierców w Europie. Opera Pekńska, to ani „Mazowsze” ani „Łabędzie Jezioro”; trudno chińską poezję nagiąć do ordynaryjnych panegiryków (nawet w odach do Mao Tse Tungu więcej mowy o kwiatach niż o batalionach i szpiclach); praabstrakcja krajobrazów rzek,

będących obiegiem krwi świata, to nie pożywka dla Gerasimowów. Stąd kiwanie głowami sympatyków i wrogów: pra-Chiny, tysiące lat tak odrębnej kultury, strawiły niejedną tyranię, strawią i komunizm. Nic dziwnego że „pięknoduchy” komunizmu chętnie śpiewają jak w operetce Lehara: „Chin—cyk—goli—leb z tyłu—war—koc—ma”, że emigrują w imaginacji z imperium Piotra-Wisarionowicza-Groźnego do kraju Nieba. Chinomania, dość rozpowszechniona w Polsce (jak miło że jest i rewolucja i sztuka, a nie ma ani Katynia, ani Powstania Warszawskiego), jest nagminną chorobą we Francji, nie od wczoraj zwanej „Chinami Europy”. Mówię o neo-chinomanii, czy mao-chinomanii. Nie sięga ona wielkich specjalistów, uczniów Graneta, który pierwszy umiał spojrzeć na chińską cywilizację. Balasz i jego koledzy są sceptyczni. Ale komuniści typu Claude Roy, którzy jednak sporo się nacierpieli za czasów Stalina, którzy obserwują Malenkowa i Chruszczowa z Deutscherem pod poduszką — ci odkrywają nam z zachwytem perspektywę nowych Chin, mówiąc zresztą przypadkiem przeważnie o Chinach starych.

Etiemble, dawny przyjaciel Sartre'a i współpracownik „Temps Modernes”, jeden z pierwszych eseistów francuskich, rzadki okaz wszechstronnego erudyty, umiejącego spojrzeć na swój kulturalny dobytek przez pryzmat Marxa, Heideggera, Husserla, ale również własnym bystrym gołym okiem, rozpatruje w lipcowym i sierpniowym numerze „Nouvelle N.R.F.” problem „Chin komunistycznych i myśli chińskiej”. Sam dawny sympatyk rewolucji rozprawia się on surowo z Claude Roy i jego książką *Les Clefs de la Chine* (Gallimard, 1954). Chodzi mu głównie o jedną dziedzinę: stosunku nowych Chin do Konfucjusza.

Przed zwycięstwem Mao, komuniści sowieccy, a za nimi zachodni, skazywali na śmierć chińskie pismo, żądając jego transkrypcji na alfabet łaciński; zachłystywali się zachwytem nad Mistrzem K'ong-tseu (skąd dodaliśmy mu to „fu” w „Konfucjuszu”) — „moralisty” i społecznego „reformatora”. Kiedy dziesięć lat temu Etiemble, biegły w chińskiej kulturze, sugerował że czerwone Chiny winny zachować swe cenne pismo, a że, z drugiej strony, doktryna Konfucjusza, bardzo stosowna dla wszelkich form liberalnego socjalizmu, nie będzie mogła być przełknięta przez tyranię — zerwała się burza przeciw niemu od „Humanité” po „Nouvelle Critique”. Cóż zrobił Mao skoro tylko zdobył władzę? Oświadczył że: 1) Chiny zachowają tradycyjną pisownię; 2) Należy „walczyć aż do śmierci” z Konfucjuszem i konfucjanizmem. Oczywiście zmiana frontu wśród komunistów. Claude Roy, niedawno niemal czciciel Konfucjusza, w swoich „Kluczach do Chin” odsądza go od czci i wiary. Etiemble wyjaśnia całą kwestię spokojnie i bezstronnie. Co innego religia konfucjańska (tu zgoda z Mao), co innego konfucjańska tradycja. Co innego konfucjańska tradycja (tu jeszcze raz zgoda z Mao), co innego nauka K'ong-tseu. Konfucjusz jest z pewnością demokratą (czyż nie mówi, pierwszy w Chinach, że „niczym jest urodzenie jeśli nie ma cnoty”). Jest z pewnością „postępowy” (czyż nie mówi że „mędzrec winien żyć w zgodzie z własnym czasem”). Skąd zatem nienawiść Mao Tse Tung?

Wyjaśnia ją Etiemble w liście do Mao, napisanym w stylu tej „chińszczyzny” w której zwracali się niegdyś uczeni do cesarzy. Zwraca on w nim uwagę na ciekawe rozbieżności zdań na ten temat wśród chińskiej

elity rządzącej. I tak dwaj wiceprezydenci Chin, Kuo-Mo-Dzo i Lin Czaok' i zachowali część i szacunek dla Konfucjusza.

„Skoro dwaj tak wytrawni marksści, i Pana przyjaciele — pisze Etiemble do Mao-Tse-Tunga — tak są przywiązani do Mistrza, którego Pan nienawidzi, powody Pana nienawiści są chyba nie tyle marksistowskie, ile prywatnej natury. I rzeczywiście, niedawno oświadczył Pan Robertowi Payne że nienawidzi Pan Konfucjusza „od ósmego roku życia”. A w owym czasie wątpię żeby go Pan nienawidził ze względów dialektycznych. Jeden z Pana bliskich wszystko nam wyjaśnił: Pana ojciec, brutalny, ograniczony, nie stworzony do rozpoznania w Panu zadatków na geniusza, zamęczał Pana cytatami z Konfucjusza: „Niech ojciec będzie ojcem syn synem — a więc milcz”. Ale — widzi Pan — „a więc milcz”, to nie cytata z Mistrza K'ong — to dodatek... Nienawiść Mistrza K'ong — to prawo Mistrza Mao. Ale wódz „Stu Rodzin” nie powinien mścić się na „Stu Filozofach” za prześladowania których przedmiotem był chłopczyk Mao”.



Express wysłał jako korespondentkę do Genewy Beatrix Beck, powieściopisarkę, autorkę słabej książki „Léon Morin Prêtre”, która parę lat temu dostała nagrodę Goncourt. Trzeba przyznać że korespondencja Beatrix Beck jest mniej szablonowa od innych (zwłaszcza w tak optymistycznym i „koegzystencyjnym” piśmie jak *Express*). Oto migawka z konferencji prasowych w Genewie:

„Stwierdziłam ze zdziwieniem że nie wszystkie pytania są zdrowe: w poniedziałek, na angielskiej konferencji prasowej pewien staruszek, były łotewski minister spraw wewnętrznych zapytał:

— Czy może mi Pan powiedzieć jakie jest stanowisko Czterech na temat Państw Bałtyckich?

Angielski attaché prasowy:

— Odpowiedź na to pytanie jest zawarta we wstępnej mowie Prezydenta Eisenhowera

Nazajutrz, Dyrektor Domu Prasowego odbiera Łotyszowi jego kartę prasową, każe go zaprowadzić na policję, gdzie trzymają go kilka godzin w areszcie pod zarzutem wygłoszenia mowy politycznej w czasie konferencji prasowej.”

A oto rozmowa z polskim dziennikarzem, który „zachodził w głowę jakby zachęcić rodaków na emigracji do powrotu do domowych pieleszy”:

— Można by ich zaprosić na dwa miesiące — zaproponował. — To nie byłoby nic trudnego i sami by się przekonali że u nas jest dobrze. Tylko kto zapłaci za drogę, tu cała trudność, to strasznie drogo.

— A dlaczego tak wam chodzi o to żeby emigranci wrócili?

— Dlatego że jesteśmy dobrymi patriotami. No i także (wybuchając śmiechem), bo brak nam rąk robotczych.

„DZIAŁANIA 2 POLSKIEGO KORPUSU WE WŁOSZECH“

w opracowaniu Sekcji Historycznej 2 Korpusu
pod redakcją płk. dypl. dr. Stanisława Biegańskiego
z przedmową gen. broni Władysława Andersa

„DZIAŁANIA 2 POLSKIEGO KORPUSU WE WŁOSZECH“
przedstawiają zarówno walki jak i prace organizacyjne od szczebla dowództwa 2 Korpusu do batalionu włącznie, w okresie od wyłądowania we Włoszech do zakończenia działań wojennych. Obok opisu i charakterystyki pracy wojennej zawierać będą: 60 szkiców, najważniejsze dokumenty, przypisy wyjaśniające, wykazy dowódców oddziałów i spisy odznaczonych.

Do opracowania „DZIAŁAŃ 2 POLSKIEGO KORPUSU WE WŁOSZECH“ wykorzystano w pełni dostępne źródła archiwalne oraz naswietlenia relacyjne dowódców polskich i niemieckich, a także literaturę drukowaną w tym zakresie.

„DZIAŁANIA 2 POLSKIEGO KORPUSU WE WŁOSZECH“ mimo zespołowego opracowania posiadają cechy ciągłości i jednolitości, dzięki ścisłemu rozplanowaniu i przepracowaniu poszczególnych problemów przez tych samych autorów.

Na treść „DZIAŁAŃ 2 POLSKIEGO KORPUSU WE WŁOSZECH“ złożą się następujące rozdziały: I. Stan 2 Korpusu u progu kampanii włoskiej; II. Obrona nad rzeką Sangro; III. Bitwa o Monte Cassino; IV. Działania zaczepne nad Adriatykiem; V. Działania zaczepne w Apeninach Emiliańskich; VI. Obrona nad rzeką Senio; VII. Rozbudowa 2 Korpusu; VIII. Bitwa o Bolonię.

Całość liczyć będzie 1.350 stron druku, ujętych w 2 tomy formatu 8°, w oprawie płóciennej z tłoczonym w złocie napisem.

Tom I ukaże się z druku w grudniu br. Tom II w czerwcu 1956. Cena całości: £4.4.0 lub \$12.00. W subskrypcji do dnia 30 listopada br. tylko £3.3.0 lub \$9.00. Koszt przesyłki obydwu tomów 7/- lub \$1.00. (Każdy tom będzie wysyłany osobno, natychmiast po wyjściu z druku). Wszystkie zamówienia prosimy przysyłać wraz z należnością pod adresem:

B. ŚWIDERSKI

POLISH BOOK HOUSE, 30, Buer Road, London, S.W.6.

lub do prowadzonej przez nas

Księgarni Kombatanckiej,

18, Queens Gate Terrace, London, S.W.7.

Uwaga. Należność ze Stanów Zjednoczonych i Kanady można przekazywać czekami dolarowymi lub przez pocztę International Money Order'ami, wystawionymi na: Bolesław Świdorski. — Polaków w Austrii, Belgii, Danii, Francji, Holandii, Luksemburgu, Niemczech, Portugalii, Szwajcarii, Szwecji i Włoszech, oraz w krajach pozaeuropejskich: Chile, Egipt, Indie, Kolumbia, Kongo Belgijskie, Liban, Maroko, Meksyk, Persja i Turcja informujemy że należność można przekazywać z najbliższego urzędu pocztowego, który ma obowiązek podaną należność w funtach przeliczyć na daną według kursu obowiązującego w dniu wpłaty. W wypadku jakichkolwiek trudności, prosimy zwracać się do nas listownie, na skutek czego udzielimy biegu wydarzeń wojennych i stworzenie prawdziwego obrazu dokonanego szczegółowych informacji wzgl. podejmujemy interwencję w odp. konsulacie.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze!

Czytelnik ma prawo myśleć co mu się podoba i ma święte prawo wyrażania swoich opinii. Gdyby pp. Taborski i Popławski ograniczyli się tylko do tego, nie próbowałbym odpowiadać na ich listy. Nie mogę jednak zgodzić się na dziwną interpretację, a w wypadku p. Popławskiego na insynuowanie mi plagiatu.

P. Taborski z całą pewnością przyjmuje (skąd ta pewność?), że Europa odrzuciła mnie i skazała na „wspaniałą walkę o życie“, jak to cytuję z przekąsem, po czym „delikwent“ cierpiąc na uraz stosuje „autoterapię“ pod postacią „skrajnie absurdalnych twierdzeń, niewybrednych inwektyw“ itd. pod adresem Europy. Otóż mogę zapewnić p. Taborskiego i innych czytelników, że z Europy wyjechałem zupełnie dobrowolnie, a jedynym przymusem był mój własny przymus wewnętrzny spróbowania, czy jako intelektualista bez żadnego konkretnego fachu potrafię sobie poradzić bez pomocy funduszy, zapomóg, brania czynnego udziału w... lub posadek i zajęć bez przyszłości. W Europie dusiłem się tak, jak do dziś dnia dusi się tam miliony ludzi. To nie Europa odrzuciła mnie lecz mnie odrzuciło od Europy.

Radzę więc na odmianę p. Taborskiemu rozpatrzyć, czy to raczej nie w nim odezwał się kompleks zawiedzanego Europejczyka, który zamiast przeanalizować najpierw siebie, szuka ujęcia dla swoich kompleksów w wykrywaniu ich u innych i dla którego najłepsza obrona Ameryki lub krytyka Europy jest niemal osobistą obelgą. Świadczyłaby o tym jego krytyka moich „absurdalnych twierdzeń“, w której jest w sam raz tyle emocjonalnego tonu, ile on zarzuca mnie.

Co do „Salaire de la Peur“ to może wobec tego p. Taborski zgodzi się z opinią autora powieści, Georges Arnaud, z której Clouzot przyrządził tenże film. „Jest to bardzo zły film — oświadczył Arnaud. — Mówię o scenariuszu. To, czego nie mogę znieść w całym filmie (ce que je déteste partout) to fałsz na płaszczyźnie człowieka (c'est la fausseté sur le plan humain). Otóż osoby filmu są fałszywe... Chłopcy stamtąd uśmiełiby się solidnie“. Uśmiełem się, będąc „stamtąd“.

Jeżeli chodzi o intelektualistów, to chyba bardzo wyraźnie określiłem, o jakich mi chodzi. W moich sądach i „oczywistych nonsensach w formie refleksji“ na ten temat nie jestem odosobniony. Może w takim razie przekona p. Taborskiego doskonały artykuł Herlinga-Grudzińskiego w Nrze 9/465 „Wiadomości“ pt. „Podróże i lektura“. Po przeczytaniu tego poczułem się malutki. I za E. Waugh'em postanowiłem już tylko modlić się „zawsze za intelektualistów, za dusze skomplikowane i wrażliwe. One nie są zapomniane przed Tronem Najwyższego, gdzie i najskromniejsi znajdą swoje królestwo...“

W sprawie anarchii nie zamierzam rozpisywać się, bo i w tym wypadku p. Taborski okazał się antyintuicyjnym czytelnikiem. A użycie przez niego takich określeń, jak „skorumpowana klika na Formozie“, „trzymający

silną rączką naród dyktator Hiszpanii" potwierdzają tylko moje obserwacje o „steżonym sloganie". Natomiast przed subtelnym posądzeniem mnie o sympatie faszystowskie nie usiłuję się nawet bronić. Z moim dziedzicznie obciążonym nazwiskiem przyzwyczaiłem się już do tego supersloganu. O cóż innego można by mnie posądzać? Jasne. Warszawska „Trybuna Ludu" zrobiła to przynajmniej stylowo, barwniej i śmielej. Tyle na ten temat.

W sprawie listu p. Popławskiego ciężko zdecydować mi się na ton odpowiedzi. Trudno bowiem spokojnie odpowiadać na zarzuty postawione — określić to bardzo delikatnie — z takim zawrotnym tupetem i bronić się przed takim bezmiarem pewności siebie, jasnowidztwa i „besserwisterstwa" z jakim zostały one sformułowane. Nie mogę zrozumieć, w jaki sposób p. Popławski może z całą pewnością twierdzić iż mój artykuł o Guatemali był po prostu kopią oficjalnego raportu Department of State, że ja tylko przetłumaczyłem to na język polski, że pisanie nie sprawia mi trudności (skąd ta intymna wiadomość?) i że mnie — nie chciało się. Naprawdę ordynarnie figlame.

O raporcie Departamentu Stanu dowiedziałem się dopiero z listu p. Popławskiego i wyostałem go do przeczytania z archiwum guatemalskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Dokument ten nie był przeznaczony do szerokiego obiegu i byłbym bardzo wdzięczny, gdyby p. Popławski poinformował mnie, z jakiego to źródła udało mu się otrzymać go do bardzo pobieżnego wglądu.

W całym dokumencie są tylko dwa zdania, które mogą nasuwać podejrzenie „przetłumaczenia na polski". Jedno ze zdań dotyczące oddania Stalinowi pośmiertnych honorów przez guatemalski parlament (minuta milczenia), drugie o oświadczeniu posła Foncea (wszystkie partie rewolucyjne przedzie czy później wejdą w skład partii komunistycznej). Obydwa te wydarzenia były tak charakterystyczne i tak komentowane na miejscu, że ujęcie ich w moim artykule, będącym także rodzajem suchego raportu polemicznego, przy użyciu prawie tych samych słów nie wydało mi się dziwne. Są to jedyne dwa zdania, do których można by się przyczepić. Będąc na miejscu, notując w miarę rozwoju wypadków i chowając wycinki z miejscowej prasy, nie musiałem niczego tłumaczyć na polski, ażeby napisać o wszystkim „tak samo". Oczywiście szereg faktów i informacji pokrywa się i po przeczytaniu tego pięciokrotnie dłuższego i miejscami rozwodniego raportu amerykańskiego, musiałem tylko z przyjemnością stwierdzić, że Amerykanie mieli dobre informacje i że moje przedstawienie sytuacji na tle tego nie wypadło wcale słabiej. Artykuł mój nie pretendował do podawania „mnóstwa materiału arcydydaktycznego dla wszystkich ludzi, którzy pragną być wolnymi". Nie uciekłem zza żelaznej kurtyny, a plotkować o czterech krawatkach „Countess Mara" Arbenza lub o klejnotach jego żony nie chciałem. Raport amerykański nie porusza całego szeregu zagadnień, które poruszyłem ja; ja natomiast nie przytoczyłem faktów o mniejszym znaczeniu i mnóstwa nazwisk, wyszczególnionych tam.

Jestem w trakcie starania się o odpis tego dokumentu, aby przesłać go redakcji „Kultury" i przekonać ją, że nie wydrukowała ordynarnego plagiatu i „sprytnie „przyrządzonego" raportu amerykańskiego".

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku.

Andrzej BOBKOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Powieści i dramaty historyczne nie koniecznie muszą zawierać zdarzenia prawdziwe. Nikt nie zarzuca Szyllerowi, że dał możliwość Joannie d'Arc umrzeć na polu chwały; nie zmniejsza również ani wielkości, ani znaczenia trylogii Sienkiewicza, jeżeli ktoś dowiedzie, że przedzierający się przez zbaraskie bagna Skrzetuski był tylko zwykłym kozakiem, a patriotyzm i inne cnoty księcia Wiśniowieckiego były więcej niż wątpliwe.

Należy jednak stwierdzić, że ani Szyller ani autor „Ogniem i Mieczem" nie zaopatrywali swoich arcydzieł w uwagi, że podają jedynie prawdziwe fakty. Natomiast takie uwagi znajdujemy u p. M. Wańkowicza w odsyłaczu do fragmentów jego powieści „Droga do Urzędowa" wydrukowanych w Nr 6/92 „Kultury". Jestem zdania, że to do czegoś autora zobowiązuje, tymczasem, jako bezpośredni świadek tego, co się działo w Rumunii jesienią 1939 roku, muszę stwierdzić, że p. Wańkowicz zmienia obrazy ówczesnych wydarzeń.

Nie mówię tu oczywiście o rozmowach redaktora Haukego z ministrem Beckiem i marszałkiem Rydzem-Śmigłym. Nikt nie był świadkiem tych rozmów i w tym miejscu p. Wańkowicz ma całkowicie wolną rękę, tym bardziej, że pozostali rozmówcy już nie żyją, ale chodzi mi o szereg drobnych „fakcików", mających na celu podanie ogólnej atmosfery panującej wśród polskiego uchodźstwa w Rumunii. Bardzo możliwe, że redaktor Hauke spotkał tam „młodego i przystojnego człowieka „który" zarzekał się, że raczej w Rumunii doczeka powrotu, niżby miał jechać do Francji, bo nie będzie śmiał oczu podnieść na Francuzów", ale jeżeli chodzi o całe masy uchodźstwa, to i przystojni i brzydzy, i młodzi i starzy rwali się do Francji i jechali do niej wszelkimi możliwymi sposobami. Mieli w tym dużą pomoc od Władz Polskich, które były w stałym kontakcie z Misją Angielską i Francuską. Odjeżdżały więc, prawie że pod samym okiem agentów niemieckich — z portu Constanzy statki pełne owych „podchorążych Rzewniczek" i pilotów lotniczych jadących jako emigranci żydowscy do Palestyny, szły prawie codziennie masowe transporty na Zachód przez granicę jugosłowiańską.

Ja osobiście (byłem wtedy w randze szeregowca) dzięki tytułowi inżyniera dostałem wraz z kolegami pieniądze na indywidualną podróż bezpośrednio od Anglików. Zostałem tam skierowany przez naszego attaché wojskowego. Nie pamiętam jego nazwiska. Może to był właśnie „plk. Termopilski". I jakoś ani ja, ani nikt z moich znajomych i przyjaciół nie otrzymał owych instrukcji o pokorze wobec Francji. W jakim celu o tych instrukcjach pisał p. Wańkowicz i skąd się wzięła ta plotka?

Czy sami byliśmy pokorni i zawstydzeni? Dziś bardzo trudno o tym mówić. W każdym razie byliśmy oszołomieni gwałtownym upadkiem tego, co myśleliśmy, że jest niewzruszone i długo nie mogliśmy przyjąć do siebie po tym, co się stało, ale niedorzecznych plotek powtarzaliśmy bardzo mało. Każdy z nas, podczas tych tragicznych dni wrześniowych, przeżył tyle i widział tyle, że wystarczyło to nam całkowicie za temat do ówczesnych rozmów.

Oczywiście w Rumunii było dużo „Lurczyńskich", ale mam wrażenie, że to raczej sam pan redaktor Hauke, który cieszy się taką sympatią Wańkowicza, „był miotany uczuciami niepewności" bo „jeszcze nie mógł złapać wiatru z Paryża".

Poza tym mogę upewnić p. Wańkowicza, że redaktor Hauke miałby pewne trudności legitymowania się „dwudziestoma laty wiców antypisudczykowski" gdyż znany był bardziej jako autor mocarstwowych i radosno-twórczych haseł. Wygląda też trochę nie poważnie przypisywanie redakto-

rowi Haukemu autorstwo obiegających całą Polskę w najrozmaitszych wariantach ogólnie znanych kawałów, którymi zresztą bawili się i sami dostojnicy sanacyjni. Dodam, że i sam p. Wańkowicz nie ma szczęścia do dowcipów w ostatniej powieści. Dowcip z nazwiskiem konsula portugalskiego oświadczyć słyszałem w pierwszej czy drugiej klasie gimnazjalnej na głębokiej prowincji rosyjskiej. Był on połączony z dłuższym dowcipem o jakimś zjeździe międzynarodowym. Wówczas ten dowcip mnie ubawił. Potem słyszałem go, ale już bez uśmiechu, w niektórych męskich pijanych towarzystwach. Nigdy nie spodziewałem się, że spotkam go po tylu latach na łamach „Kultury”. Może to był zresztą ukłon w kierunku wspomnień „wielmoży” z Korpusu Paziów, gdzie się kształcił redaktor Hauke i gdzie ten dowcip na pewno również był opowiadany, ale w takim razie należało go odpowiednio ubrać i zaopatrzyć wstępem, aby nie było podejrzeń, że ktoś za przykładem Haukego chce podawać powszechnie znane dowcipy za swoje własne.

Na zakończenie mała historyjka wydrukowana w nowojorskim „Tygodniku Polskim” (Nr 32 z dnia 15 sierpnia 1943 r.). Świadczy ona o pewnych nastrojach w Bukareszcie jesienią 1939 roku. Mowa tam jest o płk. S. P. znanym pilocie myśliwskim. Ktoś przy nim krytykował wyższe dowództwo. Płk. P. zachnął się:

„A pan to jakim prawem robi? Co pan naprawdę o tym wie? A zresztą uznaję się jeszcze za oficera służby czynnej i wypraszam sobie rozmowy o moich dowódcach. Wojna jest jeszcze nie skończona...”

Płk. P. w dwa tygodnie później był już we Francji. Lecił tam samolotem. Paszport dało mu nasze Poselstwo. Bilet wykupiła Misja Francuska.

„Pilotów myśliwskich zawsze pierwszych potrzebują...” — mówił pulkownik do żegnających go na lotnisku przyjaciół, jakby usprawiedliwiając się, że nie może ich wszystkich zabrać ze sobą i że pojedą z Bukaresztu na Zachód mniej wygodną drogą. Całe to wydarzenie nastąpiło na pewno bez żadnego związku z odczytem redaktora Haukego pt. „Inna twarz Polski” i jego późniejszym „odwalaniem” „Obrony Częstochowy”.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Dr inż. J. PAWLIKOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Popelnivszy w „Kulturze” artykuł na temat współczesnych zagadnień naukowych wiążących się z kulturalną pozycją filozofii mogę się poczuwać do odpowiedzialności za zaostrenie apetytu czytelników na artykuły popularno-naukowe. W związku z tym pragnę wysunąć parę uwag na temat artykułu p. Pospieszalskiego pt. „Tajemnice czasu” z Nr 93/94 „Kultury”. Autor niedostatecznie podkreśla, że omawia tu trzy zupełnie różne rzeczy: czas jako pojęcie filozoficzne, czas jako koncepcję fizyczną, oraz czas jako zjawisko psychologiczne. Stosunki pomiędzy tymi trzema „czasami” nie są ani proste ani dostatecznie zbadane.

Rozumiem dobrze nieprzewidywalne chyba trudności popularnego i „interesującego” przedstawienia filozoficznego pojęcia czasu. Można jednak było zagadnienie to nazkicować choćby dla zaznaczenia iż aczkolwiek fizyczna koncepcja czasu wywiera wpływ na filozoficzne pojęcie czasu, to

jednak stawianie między tymi dwiema rzeczami znaku równości byłoby absurdem.

Koncepcja fizyczna czasu jest nie tylko związana z koncepcją przestrzeni, ale nawet wiemy dlaczego: fizyczny czas jest wyrażany i mierzony wyłącznie w terminach przestrzeni. Koncepcja continuum przestrzenno-czasowego nie jest jednak i nie może być uważana za rzeczywistość lecz jedynie za jej naukowy model. Nauka konstruuje modele dlatego że tylko w ten sposób możemy zrozumieć, obliczać i przewidywać zjawiska rzeczywistości ale należy sobie w pełni zdawać sprawę z faktu, że model nie jest tożsamy z rzeczywistością. Znany jest chyba powszechnie model układów dynamicznych energii w postaci układu zbiorników wody połączonych rurami i zaworami. Przepływ i ciśnienie wody ilustrują i pozwalają przewidywać przemiany energii potencjalnej w kinetyczną. Podobnie sam autor wprowadza model: przedstawia linię z podziałką, położoną na wyspie Wielkiej Brytanii i sięgającą od Londynu prawie do Edynburga, jako obraz czasu historycznego. Jasne jest, że nikt nie powinien tych modeli utożsamiać z rzeczywistością, które reprezentują.

Tak samo trzeba wyraźnie podkreślić, że hipotezy kosmiczne są jedynie, i w takim samym sensie, modelami rzeczywistości. Należy też wyraźniej niż to czyni autor stwierdzić, że omawiany przez niego model wszechświata nie jest ani jedynym naukowym modelem, ani najbardziej zadowalającym. Jedynie jego autor jest najbardziej publicystycznie czynnym współczesnym astrofizykiem brytyjskim. Ale współczesna opinia naukowa nie zajmuje w tej sprawie jednolitego stanowiska. Wręcz przeciwnie, mamy wiele i bardzo różnorodnych modeli wszechświata, z których każdy ma i wybitne zalety i poważne niedostatki. Wszystkie te modele opierać się muszą na założeniach apriorystycznych, z których jednym jest, że podstawowe prawa fizyczne są takie same w całym wszechświecie. Wśród tych praw jednak są również prawa termodynamiczne co do których mamy więcej niż wątpliwości czy założenie takie jest słuszne. W znakomitej swej pracy Caratheodory obliczył teoretycznie fizyczne cechy wszechświata w którym prawo entropii miałoby być wszędzie jednakowo obowiązujące. Okazuje się, że wszechświat taki różniłby się bardzo jaskrawo od naszych modeli kosmicznych. Jeżeli zaś prawo entropii nie obowiązuje jednakowo w całym wszechświecie, to nasze interpretacje wielu obserwacji astronomicznych są nieuzasadnione i przeto, nasze modele nieodpowiednie. Sprawa nie jest zatem tak prosta i wniosków z takiego czy innego modelu nie należy przedstawiać w formie: „uczni mówią nam, że...” jeżeli ktokolwiek mógłby to przyjąć jako przedstawienie pewników naukowych. Jest to bowiem deformacja prawdy, uproszczenie graniczące z karykaturą, kardynalny grzech nieodpowiedzialnej popularyzacji. Oczywiście, filozofowanie na takiej podstawie, to budowanie pałaców na lodzie. Zagadnienie wieku ziemi było ostatnio przedmiotem międzynarodowego konkursu naukowego i grupa najwybitniejszych rozpraw została w końcu ubiegłego roku wydana łącznie w brytyjskim czasopiśmie Filozofii Nauki. Konkluzje tych, autorytatywnych artykułów różnią się poważnie od spekulacji przedstawionych przez p. Pospieszalskiego.

Wreszcie o zjawisku czasu psychicznego. Łączenie go z pamięcią przeżyć indywidualnych jest całkowicie nieuzasadnione. (NB. gdyby autor proponowany przez siebie wykres krzywej wykonał naprawdę w postaci funkcji, to przekonałby się łatwo, że jego krzywa nie jest hyperbolą. Nie stanowi to zresztą większej różnicy w rozumowaniu, ale tym bardziej ujawnia niedostatecznie pedantyczny stosunek do ścisłości szczegółów naukowych).

Równie trudno byłoby wykazać związek czasu psychicznego z postępowym zmianem tempa mitotycznego podziału komówek tkanki łącznej. Wydaje się już dziś niemal pewne, że „psychiczny zegar” znajduje się w komórkach centralnego systemu nerwowego, które, jak wiadomo, nie rozmnażają

się wcale. „Zegar” ten polega zapewne na szybkości pewnej reakcji chemicznej, mianowicie oksydacji glukozy, która jest jedynym źródłem energii w komórkach mózgowych. Szybkość ta nie zależy od wieku organizmu, toteż gdyby udało się wykazać że subiektywna skala czasu psychicznego jest zmienna i zależna od czynników innych niż temperatura krwi i pewne zastrzeżenia, to należałoby czas psychiczny uznać za zjawisko złożone i rozpocząć szukanie jego czynników prostych (jak np. czas fizjologiczny, czas emocjonalny itp.).

Nie byłoby słuszne aby p. Pospieszalski potraktował powyższe uwagi jako krytykę zniechęcającą. Przeciwnie, wydaje mi się, że ujawnił on wyraźny talent przedstawiania zagadnień naukowych w sposób interesujący, żywy i jasny. Jest to rodzaj talentu wśród naszych pisarzy rzadki a pożądany, ale zagadnienia te powinny być przedstawiane także w sposób ścisły. Trzeba być, niestety, przygotowanym na to, że napisanie dobrego artykułu popularno-naukowego wymaga prócz talentu, także systematycznego, pedantycznego wysiłku, nie mniejszego chyba niż napisanie rozprawki naukowej.

J. HORZELSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Inicjatywę p. Horzelskiego skupienia polskich psychologów zagranicą (cf. „Potrzeba psychologów”. „Kultura”, 1955, Lipiec-Sierpień, 177) należy powitać z pełnym uznaniem. Próbowaliśmy swego czasu, skupieni wokół dra Tadeusza Offerta, byłego kierownika Wojskowego Instytutu Psychologii i pioniera wojskowej psychologii w naszej armii, zorganizować polskich psychologów i pracowników psychologicznych. Wydaliśmy nawet w Edinburgu, pod redakcją prof. Mieczysława Sotowicza, kilka numerów Biuletynu Psychologicznego. Niestety zniszczenie wojska polskiego i jego wspaniałego dorobku kazało nam szukać chleba po wszystkich zakątkach świata i pierwsze na emigracji Zrzeszenie Polskich Psychologów Na Obczyźnie uległo zapomnieniu, jak i wiele innych współczesnych nam instytucji polskich. Może jednak najważniejszym powodem naszych niepowodzeń był brak zrozumienia dla psychologii i naszych miarodajnych czynników i negatywny stosunek polskich kół katolickich do psychologii, której przedmiotem nie byłoby studium duszy ludzkiej. Zatem ignoranca i uprzedzająca postawa wobec faktu, że psychologia oderwała się od filozofii i w krótkim czasie stała się samodzielną współczesną nauką, zajmującą się przejawami ludzkiego i zwierzęcego zachowania, możliwego do obserwacji, eksperymentu, statystycznego pomiaru i przepowiedzenia (prediction). Pamiętam jak w latach 1950-1952 drukowałem szereg artykułów na temat osobowości ludzkiej w jednym z naszych londyńskich tygodników katolickich. Sam będąc katolikiem, spotykałem się nie z krytyką ale z zawziętym atakiem pisarzy katolickich i księży, którzy omal że mnie o herezję oskarżyli.

Gdy biegnę pamięcią w te czasy naszej londyńskiej emigracji, zakrzepłej w myśli i zwyczaju, widzę olbrzymią różnicę pomiędzy stanowiskiem negacji naszych kół katolickich (złośliwy nazwałby to „zacofaniem”) a rozmachem i dynamiczną działalnością katolików amerykańskich. Ci nie krzepną li-tylko w tym co było, ale czerpią obficie z dorobku nauk współczesnych. Nie tracą szacunku do scholastycznej psychologii (nieraz zwanej „arm-chair psychology”), ale zdają sobie sprawę z tego, że ta jest prze-

starzała i nie dotyka tak czołowych dzisiaj zagadnień psychologicznych, jak nieświadomość, nienormalność umysłowa, zachowanie się grupy, itp. Stąd mamy tu w Ameryce szeregu znakomitych psychologów, którzy mimo swej „zwierzęcej”, czy eksperymentalnej lub nawet „freudowskiej” psychologii, są dobrymi katolikami. Ba, nawet księża katolicy są psychoanalitykami (osobiście sędzę, że każdy spowiednik winien mieć wiedzę i praktykę psychoanalityczną), a na uniwersytetach katolickich wykłada się i trenuje najnowsze i najbardziej rewolucjonizujące działy psychologii. Zapewne Horzelski jest świadom wspaniałego rozkwitu naukowego u katolików amerykańskich i stąd ma żal (jak i wielu z nas) do zakrzepłych w myśli, jak powiedziałem, katolików polskich.

Wiadomości Psychologiczne mogą spełnić wybitną rolę w przyswajaniu społeczeństwu polskiemu psychologii naukowej. Mogą one również przyczynić się do ustalenia polskiej terminologii psychologicznej. W Polsce była ona głównie oparta na terminologii niemieckiej, a dzisiaj jest tam zapewne silny wpływ psychologów rosyjskich, których kierunek (oparty na filozoficznych przesłankach) jest zdecydowanie różny od naukowego charakteru psychologii zachodniej. Faktem jest, że psychologia w Polsce nigdy (filozofia też nie) nie sięgała zadawalającego poziomu. Zresztą nie tylko w Polsce, ale w całej wschodniej i południowo-wschodniej Europie (z wyjątkiem Węgry), a na Zachodzie w Hiszpanii i Irlandii, psychologia była i jest mocno w tyle za tym co obserwujemy na Zachodzie. Nie nadążają one za olbrzymim rozwojem psychologii w krajach anglosaskich, które (zwłaszcza Stany Zjednoczone) bezsprzecznie w tej dziedzinie od kilku dziesiętności lat światu przodują. Dlatego też praktyczne byłoby oprzeć się na terminologii angielskiej a nawet więcej na amerykańskiej, z której szereg dawno używanych terminów (jak np. wzięta z niemieckiego psychotechnika) wyszły już z użycia. Wobec szybkiego rozwoju psychologii teoretycznej i stosowanej, w jej licznych poddziałach, przed ostatnią wojną, a zwłaszcza w czasie i po ostatniej wojnie, wiele dawno używanych terminów może wprowadzić dużo nieporozumienia lub niepotrzebnego, w najlepszym razie, definiowania pojęć dla kształcących się czy pracujących na zachodzie psychologów. Osobiście proponowałbym, by mające wychodzić *Wiadomości Psychologiczne* oparły się na słownikach psychologicznych angielskich i amerykańskich. Nauka jest międzynarodowa, pewne języki są w niej uprzywilejowane, a w psychologii takim językiem jest angielski. Z tych i innych względów, polszczenie terminów psychologicznych uważam za zbyteczne, a nawet za utrudniające wymianę opinii i osiągnięć naukowych. Również dla celów praktycznych proponowałbym *Wiadomościom Psychologicznym* podział psychologii na główne dziedziny wyszczególnione przez American Psychological Association. Podział ten jest praktyczny i logiczny w odniesieniu do faktycznego stanu psychologii dzisiejszej. Nawet brytyjscy psychologowie, którym psychologia może najwięcej zawdzięcza, często postępują w tym za Amerykanami.

Dr Bolesław A. WYSOCKI,
Marquette University (USA)

Szanowny Panie Redaktorze!

Ostatnie wiadomości ze świata nasunęły mi pewne refleksje którymi pragnę podzielić się z Panami, tym bardziej, że myśli nie są wyłącznie moje

i mam wrażenie, że będę wyrazicielem opinii wielu Polaków, zamieszkałych w krajach zamorskich.

Otóż wypadki ostatnich paru miesięcy zdają się wskazywać na to, że tzw. zimna wojna traci na intensywności, a tendencje zbliżenia między Wschodem i Zachodem biorą górę. W tych warunkach wydaje się, że jest to ostatnia chwila, kiedy mamy możliwość upomnieć się o nasze prawa do wolności z jaką taką szansą powodzenia. Z chwilą bowiem, gdy obecna sytuacja się skonsoliduje i uzyska ostateczną sankcję państw zachodnich sprawę naszą będziemy mogli chyba uważać za ostatecznie przesądzoną na bardzo długo. Jeżeli mówię „my” to mam na myśli nie tylko Polaków, ale wszystkie te narody, których kraje znalazły się w orbicie wpływów rosyjskich.

Kiedy rozpoczęła się konferencja genewska można się było spodziewać że w wielkich centrach emigracyjnych, jak Nowy Jork, Londyn, Paryż itp., odbędą się masowe demonstracje emigrantów domagających się swoich praw. Przecież prasa polska niejednokrotnie — i słusznie — podnosiła, że mimo rozbicia naszej emigracji (a raczej jej politycznych przewodców) umiemy zdobyć się na solidarność. gdy chodzi o sprawy naprawdę ważne i istotne, jak ratowanie życia czy wolności rodaków, uciekających z polskich statków itp. A czyż mogą być sprawy ważniejsze dla nas, jak te które waga się obecnie w naradach między wielkimi mocarstwami? Można więc było się spodziewać że teraz coś podobnego nastąpi i że tysiące emigrantów demonstrujących na ulicach poprze nieśmiało wypowiedzi gen. Eisenhowera o narodach wschodnio-europejskich „które nie uzyskały wolności zapewnionej im układami wojennymi”. Niestety nic nie nastąpiło, a przynajmniej nic o skali dostatecznej, by zwrócić na siebie uwagę świata. Nie wątpię że posypały się memoriały i noty różnych prezesów, „premierów” itp., które wszystkie znalazły swoją ustaloną już drogę — do kosza. Ale nie o to nam przecież chodzi. Wydaje mi się, że tylko przez zmobilizowanie mas emigracyjnych i to na skalę naprawdę gigantyczną można by wywołać pewną reakcję na zachodzie, pogrążającym się coraz bardziej w słodkim „wishfull thinking” o ugodowości Bolszewików i zdecydowanie zamykającym oczy na wszystko co mogłoby zamącić błogi spokój.

Lecz kto mógłby stanąć na czele takiej akcji? Czy owi skłóceni londyńscy przewodcy partii bez partii, i dygnitarze państwowi bez obywateli? Wydaje się że jedynymi którzy mogliby to z powodzeniem uczynić to jak w okresie pierwszej wojny światowej ludzie cieszący się prawdziwym zaufaniem mas emigracyjnych, bez względu na ich status w hierarchii państwowej, czy partyjnej — przy udziale poważnych pism takich jak „Kultura”, „Wiadomości”, „Dziennik Polski” itp.

W 1920-ym roku, kiedy Bolszewicy zagrażali Warszawie umieliśmy się zdobyć na chwilowe zawieszenie sporów partyjnych i wielką ofiarę w formie wielotysięcznej armii ochotniczej. Mam wrażenie, że chwila obecna posiada pewne cechy podobieństwa z tamtą. Zbliża się 25-ta rocznica bitwy warszawskiej. Czy nie byłaby to odpowiednia okazja do zorganizowania potężnych demonstracji, które wytrąciłyby Zachód z jego wygodnego snu i zmusiły do zajęcia się tą tak niewygodną sprawą Europy centralnej?

Z poważaniem

S. GINWITT

Szanowny Panie Redaktorze!

Przypadkowo przeczytałem w Nr 3/89 „Kultury” adnotację A. Vincenza o studium sowieckiego autora M.V. Gorna dotyczącą powodów, po-

budzających ruchy powstańcze ludności ukraińskiej na Rusi Czerwonej w latach „przed burzą” (1630-1640).

Moim zdaniem, Szanowny Pan A. Vincenz ma całkowitą rację twierdząc, że ten ruch miał charakter więcej nacjonalno-społeczny, aniżeli socjalny. Jednak on niesłusznie uważa brak przytoczonych za Gornem argumentów za bezzasadność głębokiego religijnego tła tego narodowego ruchu (przecież to byłoby dowodem „antymarksistowskiego tłumaczenia” przez Gorna historii — z nieuniknionymi dla niego stamtąd konsekwencjami...), więc właśnie o przeciwnym twierdząc świadczą duża ilość archiwaliów, z których dajemy tu przykład, najbardziej cechujący napięcia nie tylko pomiędzy katolikami a prawosławnymi, ale nawet między ostatnimi a unitami w przeciągu długich stuleci:

„Roku tysiąc siedmsetnego trzydziestego wtorego miesiąca julij dnia dwudziestego osmego.

Na urządzie i. k. mści grodzkim Wilenskim przede mną Janem Hotairem, podwiewodczym województwa Wilenskiego, starostą Krasieńskim, comparendo personaliter ienerał iego królewskiej mści niżej wyrażony kwit swoy relacyiny czyniony obdukcyy zeznał, w te słowa spisany. Ja, ienerał iego królewskiej mści, niżej wyrażony, czynnie wiadomo y zeznam tym moym relacyinym czynienia obdukcyy kwitem, iż co w roku terażniejszy tysiąc siedmsetnym trzydziestym wtórym miesiąca julij dnia dwudziestego siódmego będąc wzytym y wezwany od wielebnego imści xiedza Ambrozego Juszkiewiczza, zakonu świętego Bazylego wielkiego superiora klasztoru Wilenskiego, y od wszystkich w. w. ich mściów xieży bazylianow greko-ruskich nie-unitów tegoż konwentu pod tytułem świętego Ducha zostających dla widzenia poczynionych szkód y odbicia klasztorney fortey, porębania oney, podarcia obrazów y wybijanych okien w cerkwi, jako też dla oglądania zbitych zakonników y włosów wytarganych przez ludzi subordynowanych w. pana Marcyana Pozniaka, stolnika Oszmianskiego, a deputata trybunatu gll-o W. X. L., jako też ja, jenerał, zadość czyniąc moiey funkcyy, in primario, do klasztoru przyszedszy pomienionych x. x. bazylianów, in assistentia nabilitatis, widziałem dzwonek z krzyżem oderwany, w forcie okienicną w kraie fortey wybitą, szablami forte samą porąbaną, obrazy na forcie będące ss. Antoniego y Theodozego Pieszarskich widzące podarte na kilkukroć kawalków, na drzwiach cerkiewnych inszym świętym oczy powylupano, inszym pokłoto, okien wielkich kilka w cerkwi wybitych, potłuczonych, nad samym ołtarzem wielkim, gdzie służbą Bożą odprawiają całe okno wybitey kamieniami w samy ołtarz narzucano pod czas samey ofiary Boskey. Widziałem też oycę fortynara rżnięty przez gębę, inszym zakonnikom brody y włosy na głowie wytargane, szmatami leżeli. O kótorey wiolencyi, gdy mści xiedza starszego pytał, kótoby takowy zbytek popełnił, czyniona relacyia, że to z rozkazu w. imści pana Pozniaka, stolnika Oszmianskiego, przez sług imści stało się, a tak com widział y słyszał, w ten moy relacyiny kwit spisawszy, podpisuję się. Działo się w Wilniu ut supra. U tego kwitu podpis ręki strony szlachty y jenerała w te słowa wyraża się: ja, będąc przy tey obdukcyy, widziałem to wszystko, co wyż wyrażona wiolencya klasztoru s-o Ducha, na co ręką moią własną przy jenerale j.k. mści, do tey samey obdukcyy wokowanego, podpisuję się, Jan Hlizowski województwa Nowogrodzkiego. Józef Kaminski jenerał j.k. mści w. Wilenskiego. Który to takowy kwit obdukcyy, za zeznaniem onego przez wyż wyrażonego jenerała, iest do xiąg grodzkich Wilenskich przyięty y wpisany, z kótorych y ten wypis pod pieczęcią urzędową grodzką Wilenską w Bogu ww. oo. dyzunitom wilenskim iest wydany. Pisan w Wilniu ut supra.”

(Arhiw swiatowo Sinoda 1733 g. d. 260 T. I, I. 43.)

Ze zbiorów „Pamiętniki prawosławija”, Kijów 1905, T. I. Str. 256-257.

Analizując podobne liczne historyczne fakty, wyniosłem przekonanie, że oto właśnie przesadna katolizacyjna gorliwość ówczesnego polskiego kleru spowodowała żywiołowe odrzucenie Ukraińców od Rzeczy-Pospolitej, z czego później podstępnie skorzystała Moskwa — tak fatalnie dla Polski!

Czy nie przemawia to wszystko za ścisłym *polsko-ukraińskim* *aliansem* — jako historyczną koniecznością — za wszelką cenę?!

V. STAR

Szanowny Panie Redaktorze,

Od dawna przyjęło się na uchodźstwie używanie wyrażenia „futo z nurków” zamiast „futo z norek”. Ostatnio w Nr 91 „Kultury” nawet Józef Łobodowski w świetnych „Polemikach poetyckich” pisze na str. 20: „Czy kobieta w sukni balowej i w płaszczu z nurków musi celebrować swoją urodę?” To samo czyni Zofia Romanowiczowa w „Plackach kartoflanych” na str. 55. Jest to nieporozumienie, gdyż futo z nurków nie ma. Nurki są ptakami, stanowiącymi olbrzymi dział ornitologii tzw. Colymbidae i jako takie futo nie mają. Futo „nurkowych” dostarcza tzw. po angielsku Mink (Lutreola Vison), a po polsku Norka amerykańska. Tę nazwę dawno przed wojną ustalili prof. Moczarski, Trybalski i inni zawodowcy. Zagranicą dostępny z nich jest inż. St. Rogoziński. Proszę sprawdzić w jego „Chowie zwierząt domowych”, T. II. Londyn, 1946, str. 236.

Łączę wyrazy poważania.

Zbysław SIEKIEL-ZDZIENICKI



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog

100 POPULARNYCH PACZEK
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

Korespondent londyński „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 3^e Trimestre 1955.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S. & O.)
Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	15 peso	90 peso	180 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£A.1.7.6.	£A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, Vanderkindere, Bruxelles-Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Hanna Lekszycka, rua Guirara 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 700 Queen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmen Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 13, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kalkskärgatan 3/IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 1818 N. Sierra Bonita Av., Hollywood 46, Calif.; S. Dziarczykowski, 3216 W. 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 11 Cooper St., New York 34, N.Y. The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 fr.; 1/2 str. 10.000 fr. (okładka + 50%)

Wydawnictwa Biblioteki

„Kultury”

W BIEŻĄCYM MIESIĄCU UKAŻE SIĘ
JAKO XI TOM BIBLIOTEKI „KULTURY”

MARIANA PANKOWSKIEGO

SMAGŁA SWOBODA

odznaczona nagrodą literacką „Kultury” za rok 1954.

„Obrona Wolności” nie schodzi nam z ust na emigracji. Ale pojmujemy ją najczęściej formalnie. Czy WOLNOŚĆ to tylko prawo do wyborów, strajków, wolność prasy i zgromadzeń? Czy WOLNOŚĆ to nie przede wszystkim wewnętrzna postawa człowieka? Może najlepiej wówczas nazwać ją skromnie: SWOBODĄ. Swoboda Pankowskiego — to sztuka, której uczyć się trzeba od dziecka. W niektórych okresach przychodzi ona naturalnie: niosą ją sady, strumyki, ogniska na polach. Ale są czasy w których człowiek odcięty jest od niej od kołyski. Stąd SMAGŁA SWOBODA Pankowskiego jest zarazem odwiecznym przypomnieniem i elementarzem wolności.

◆

Nowa powieść

TEODORA PARNICKIEGO

KONIEC „ZGODY NARODÓW”

*licząca ponad 700 stron druku ukaże się w najbliższym
czasie jako następne wydawnictwo
BIBLIOTEKI „KULTURY”.*

Szczegóły podamy w następnym numerze.